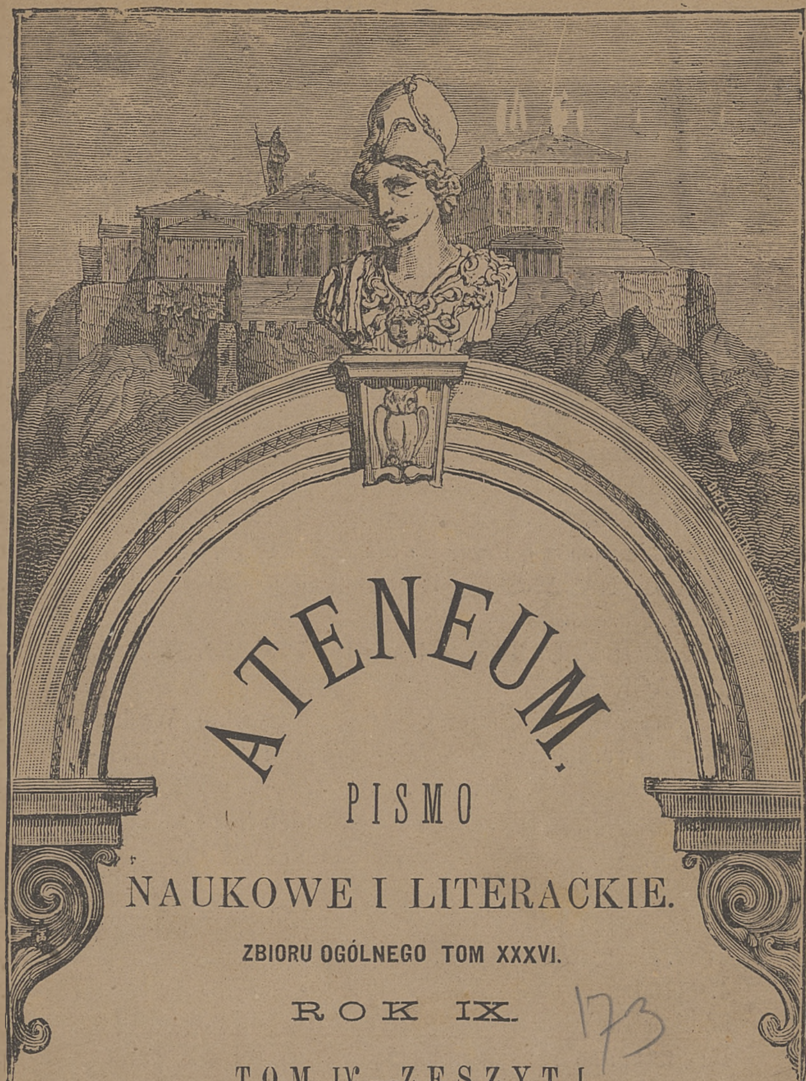


ATENEUM.

PISMO

NAUKOWE I LITERACKIE.

ZBIORU OGÓLNEGO TOM XXXVI.

ROK IX.

TOM IV.—ZESZYT I.

Październik.

WARSZAWA.
DRUKIEM K. KOWALEWSKIEGO,
ulica Królewska, Nr. 23.

—

1884.

SPIS RZECZY.

Druk ukończono 2 Września 1884 r.

ZYZMA.

V.

Po wizycie Bluma Zyzma odetchnął; lżéj mu się zrobiło na sercu, myśli jaśniéj zaczęły się układać. Nowe zasady, rzucone z gwałtownością przez młodego Topaza, powoli, powoli przerabiał i przyswajał sobie.

Duszno mu było w pokoju, bał się niepotrzebnego gościa, przed którym musiałby kłamać. Kazał chłopcu przyprowadzić osiodłanego konia i dobrym kłusem uciekł z miasta, a wrócił późno w noc.

Przez cały następny dzień unikał ludzi, nie przyjmował nikogo. Śledził go Blum, cieszył się i ręce zacierał.

— Twój mózg,—mówił z uśmiechem—musi pracować, zanim z Nowopresisty zmieni się w patryotnika. A za głupi jesteś, aby jednym rzutem myśli objąć całość, zdać sobie z niéj sprawę i wiedziéć czém się jest. Na to trzeba Bluma. On nie tylko wie, czego chce i dokąd idzie, ale umie prowadzić ludzi tam, gdzie mu potrzeba.

Wieczorem pojechał Zyzma swoim powozem po Sali. Tęsknił za młodą kobietą, jej dzieckiem i rad był zobaczyć wesołą dziewczynkę.

— Zyzma,—wołała z okien wagonu drugiéj klasy.

Młody człowiek pobiegł otworzyć drzwi, służący zabrał rzeczy.

— Tęskniłyśmy za tobą, ja i pani; Staś płakał i szukał cię.

Wsiedli do powozu.

— Czy to twoje konie?

Zyzma potwierdził skinieniem głowy.

— Toś ty naprawdę wielki pan.

Młodzieniec uśmiechnął się.

— Pani,—szczebiotała dziewczyna,—była pewna, że będziesz czekał na mnie, ja nie bardzo wierzyłam. Pani cię bardzo lubi. A jaka ona dobra, radaby jak najprędzéj przyjechać i wziąść się do roboty. Przykrzy się jéj saméj. Będziemy się śpieszyć. Prawda?

— Zaczniemy od jutra. Cóż jeszcze mówiła pani?

— Co mówiła? Wiele rzeczy o tobie mówiła, że jesteś szlachetny i delikatny, jakbyś się całe życie z panami chował.

Wjechali na wały Hetmańskie obok Angielskiego hotelu.

— To i Lwów wielkie miasto,—zawołała dziewczynka.—Ale ja wolę Kraków. Wiesz Zyzma, że ja już zapomniałam o Wiedniu dla Krakowa.

— To i we Lwowie o nim zapomnisz.

— Ale nie zapomnę Krakowa. A sklep nasz czy ładny, duży?

— Jak na Grabenie.

— To miło będzie w nim siedzieć, sprzedawać. Ja to bardzo lubię.

Zajechali przed bramę wspaniałéj kamienicy. Na pierwszém piętrze Zyzma drzwi otworzył, służący pozapalał lampy.

— Nikogo nie przyjmuję; dla mojéj siostry przygotować ostatni pokoik. Kolacyą przynieść od Małeckiego.

Służący się skłonił i wyszedł.

— Zyzma ty rozkazujesz, jak prawdziwy pan. Pani miała racyą... Jak tu pięknie,—mówiła patrząc do koła,—jak tu po pańsku. Kto ci to wszystko kupił?

Zdziwienie dziewczynki pochlebiało Zyzmie, naiwność rozweselała. Rozśmiał się szczerze, pierwszy raz po przybyciu do Lwowa. Przy kolacyi i rozmowa toczyła się wesoło. Sali mówiła ciągle o „pani“ i Stasiu, koleżankach z Kazimierza i staréj komornicy z jéj domku. Była ożywiona, rozpromieniona i szczęśliwa.

Ona ma rządzić, sprzedawać, pilnować.

— Czy będzie kto z naszych w sklepie?—spytała się,

— Tylko ty jedna żydówka, pani i dwóch subiektów polaków.

— To może i lepiéj,—rzekła zamyślając się Sali.

— Boję się, aby pani nie pomyślała sobie, że jéj dajemy stróżów.

— Prawda,—zawołała dziewczyna.—Pani nic sobie nie powinna pomyśléć, bo by to było paskudnie. Ona i tak nieszczęśliwa. Z takiéj damy wyjść na sklepową.

W umyśle młodego człowieka odtwarzały się wspomnienia tylko co minionéj przeszłości. Pierwsze chwile poznania, odwiedziny w Baden, podróż i czas spędzony razem w Krakowie. Opanował go

spokój i pewna błogość, spowodowana szlachetnemi myślami i rozradowaniem się w nich jego serca.

— Sali, trzeba się śpieszyć, aby w trzy dni wszystko ukończyć i panią sprowadzić.

— Ja tego pragnę,—zawołała Sali.—Nie tylko tobie, ale i mnie tęskno za panią.

— Cicho,—rzekł Zyzma zarumieniony.—Zaklinam cię, abyś tego nie powtórzyła przed panią, przed nikim, przed sobą samą. Przysięgnij.

— Przysięgam,—powtórzyła przestraszona;—lecz cóż tak strasznego powiedziałam.

— Nie rozumiesz tego, lecz mogłabyś panią zrobić nieszczęśliwą...

— Ja ją kocham.

— A więc milcz i nie wymawiaj nigdy mego imienia i pani razem.

— Dobrze,—szepnęła smutna i rozżalona.

Zyzma pocałował ją w głowę.

— No Sali, nie gniewaj się i przebacz mi, a pamiętaj, że tu idzie o honor pani.

Rozeszli się.

Sali nie mogła sobie wytłómaczyć, w czém może cierpiéć honor pani, jeżeli ona mówić będzie, że Zyzma tęskni za nią.

Zyzma nie spał; smutne, ponure przeczucia szarpały mu serce. Nareszcie po długich walkach i kombinacyach twarz rozjaśnił uśmiechem.

— Przynajmniéj przed nią jedną nie będę się krył. I chociaż będą mnie spotwarzać, ona jedna będzie wiedziéć prawdę. Ona pierwsza uwierzyła w moję uczciwość i powiedziała mi to głośno. I ona będzie wiedziéć wszystko.

Żywa, namiętna jego natura szybko się przeobrażała. Najsprzeczniejsze pojęcia, dobre i złe skłonności walczyły w nim i powoli, prawie bez jego wiedzy, pod wpływem ludzi i pracy własnych myśli przeobrażały się.

Na wąskiéj ulicy prowadzącéj do rynku, długa sień i ciemne schody kamienicy Topaza były niezwykle oświecone. Ludzie w białych krawatach i jasnych rękawiczkach znikali w podwojach jego mieszkania.

Przed długą sień zajechał powóz, wysiedli z niego doktór Blum i Zyzma ubrany wytwornie.

— Ktoś wyjrzał przez okno,—odezwał się Blum,—widzą nas. Topaz przyjmie cię brylantowo, jego Rut odda ci pokłon jak królowi. Zobaczysz i starszego jego syna, Samuela, który się wcielił w cetnar pszenicy, jest echem ojca i jego manekinem.

— Za to Józef,—rzekł Zyzma.

Zanim weszli na schody, już się drzwi otwarły; Blum nie mógł odpowiedzieć.

W przedpokoju najęci lokaje zdjęli przybyłym paletoty. Topaz i jego syn, Samuel, we frakach czekali w pierwszym pokoju na przyjęcie znakomitego gościa. Józef umieścił się we framudze okna.

Wszedł Zyzma, za nim Blum. Topaz postąpił naprzód.

— Wdzięczny panu jestem,—przemówił po niemiecku,—żeś raczył nie zapomnieć.—Podał rękę Blumowi.

Zyzma odpowiedział również po niemiecku komplementem i nim chwycił go za serce. Stary zwrócił się do syna.

— Samuel, moja prawa ręka. Szukał oczami młodszego i przyzwał go do siebie.

— Józef, prawnik.

— Znamy się już,—przerwał Zyzma po polsku,—wyciągając rękę do młodzieńca.—Wprawdzie niedawno, poznanie trwało zbyt krótko, lecz pochlebiam sobie, że znajomość nasza zmieni się w przyjaźń.

— Radbym—szepnął nieśmiało młodzieniec mocno zakłopotany. Ojciec i Samuel spojrzeli po sobie zdziwieni. Blum się uśmiechnął tryumfująco. Stary wyrażenie Zyzmy wziął za wysoką dyplomacyą i podał mu rękę, prowadząc do salonu.

Na widok młodego człowieka powstał szmer. Poważne damy w brylantach i perłach, siedzące na kanapie, skłoniły się pochyleniem głów; młodsze czarownie się uśmiechnęły, pokazując szeregi białych zębów. Ich stroje drogie i gustowne, odkryte ramiona białe i okrągłe, czarne oczy, rzęsy długie, nozdrza lekko rozwarte, mówiły o utajonych ogniach rozkoszy i rasie południa.

Gospodarz zwracając się do mężczyzn, wymówił głośno nazwisko swego gościa. Znajomi witali go serdecznie, nieznani ze skwapliwością starali mu się przedstawić. Doktór Fuchs wziął go pod rękę, przeszedł się z nim ostentacyjnie po salonie i stanąwszy w rogu, zaczął z namiętnością opowiadać o fatalnym kierunku wewnętrznéj polityki austryackiéj. Mężczyzni ugrupowali się koło nich. Zyzma słuchał go z dyplomatyczną miną i dyplomatycznym spokojem.

— Jesteśmy krzywdzeni i odpychani,—zawołał Fuchs.

— Raczéj odpychający,—podchwycił Zyzma.

Na twarzach mężczyzn ukazały się uśmiechy, doktór Fuchs zmięszał się nieco i zamilkł.

Józef, słysząc wyrażenie Zyzmy, spojrzał znacząco na kolegę, tego samego, który czekał na niego w bramie podczas jego poselstwa.

— Co pan przez to chcesz powiedzieć,—zdecydował się na pytanie Fuchs, robiąc poważną minę.

— Krzywdy, o których doktór mówisz, wybornie wyglądają, ale tylko w szpaltach „Nowéj presy.“

— T-a-a-k.

— Rzeczywiście. Tu jesteśmy panami pozycyi. Mamy takie stanowiska, jakie zająć chcemy, na jakie nas stać pod względem naszego majątku i rozumu. Szczęśliwy to dla nas kraj, bo nie tylko że nam tu nikt nie przeszkadza, lecz wielu ułatwia zdobycie wszelkich dóbr ziemskich. I to przekonywa o wyższości naszéj rasy.

W towarzystwie zapanowała cisza.

— Sądzę, że przed sobą samymi,—pochwycił Zyzma,—nie mamy potrzeby odgrywania ról pokrzywdzonych ofiar. To może być użyteczne w Wiedniu, w obec centralistów, w „Nowéj presie“, lecz gdy jesteśmy w najściślejszém kółku,—spojrzał po towarzystwie...

— Bezwątpienia. Za starzy jesteśmy na występowanie w rolach naiwnych,—przerwał Blum.—Wątpię, aby doktór Fuchs, umiał odegrać rolę Pomponiusza w Donnie Juanicie.

Towarzystwo wybuchło śmiechem. Blumowi każdy dowcip uchodził bez skompromitowania go.

Topaz, który z synem układał nuty na pulpitach do mającego się odegrać kwartetu, przybiegł zwabiony ogólnym śmiechem. A dowiedziawszy się, o co rzecz idzie, dodał z przyciskiem.

— Stanowisko nasze w tym kraju nie jest najgorsze, dzięki stronnictwu liberalnemu i jego prasie,—skłonił się Zyzmie.—Mając zatém wolność, powinniśmy się starać wszczepiać w nasze społeczeństwo kulturę, która ją nam zapewniła, i starać się, aby tak jak jest, pozostało nazawsze. To jest, abyśmy byli i nadal wyzyskujący, a nie wyzyskiwani. Doktór Fuchs pracuje i poświęca się dla téj idei; i w tém tkwi wielka jego zasługa.—Spojrzał na Fuchsa, usta jego układały się do szyderskiego uśmiechu, lecz je w téj chwili otworzył, dodając:

— Dzisiejsze wpływy polskie w radzie państwa są chwilowe, są kaprysem korony; dla tego minąć muszą. I nareszcie, one nam nic nie szkodzą.

Fuchs wyprostował się i spojrzał dumnie dokoła, jakby miał ochotę powiedzieć: Patrzcie, to ja jestem tym wielkim człowiekiem,

który potęgę żydów utrwala we Lwowie. Przecież wszyscy w towarzystwie byli swoi. I dla tego doktór Fuchs płaszcz purpury żydowskiéj, kładł na oba ramiona.

Zaczęła się ogólna rozmowa na temat wielkości rasy semickiéj. Usiłowano popisywać się przed dyplomatyczną potęgą „Nowéj presy.“ Przytém drwiono z Polaków, z głupoty szlachty, z pyszałkostwa i chciwości arystokracyi, ciemnoty i pijaństwa chłopa, lenistwa mieszczan. Dowcipy się sypały po większéj części zapożyczane od Sacher-Masocha i Franzosa.

Zyzma milczał. Nie chciał zabierać głosu, aby się nie zdradzić. W téj chwili przyszła mu na myśl „pani“ i zarumienił się. Gdyby ona te wszystkie dotkliwe szyderstwa słyszała, a potém spojrzała na niego bez słowa skargi i wyrzutu... Smutna, wziąwszy na rękę dziecko, pewnoby poszła i wolałaby żebrać jak dotykać jego ręki.

Wzdrygnął się cały i ocucił.

— A jednak, niech co chce będzie, chleb polski jest smaczny i widocznie zdrowy,—odezwał się, wysuwając naprzód, aby przerwać rozmowę.

Idąc, spotkał się ze spojrzeniem Józefa i jego kolegi. Chłopcy się uśmiechnęli do niego serdecznie. Podziękował im również uśmiechem.

Wysunięcie się na środek salonu młodego człowieka dało hasło do rozpoczęcia kwartetu. Topaz ojciec pochwycił za skrzypce, przyniesiono wiolonczelę. Pierwsze skrzypce objął w posiadanie młodzieniec, jak mówiono, przyszła gwiazda Izraela w dziedzinie sztuki. Do fortepianu zasiadła młoda dziewczyna o czarnych dużych oczach, długich rzęsach i połyskujących włosach, których czarny jak heban warkocz, spadał na białe, okrągłe ramiona, przez co czynił białość ich jeszcze bielszą. Usta miała zaciśnięte wązkie, zato czoło proste, niskie, dobrze rozwinięte. Typ to był dalekiego wschodu zmięszany z greckim. W rysach jéj twarzy odbiła się wędrówka jéj przodków po brzegach Śródziemnego morza.

Zyzma spojrzał na nią. Była piękniejszą od córki bankiera w Wiedniu, była piękniejszą od dam siedzących w lożach wielkiéj opery.

Dziewczyna, biorąc nuty, spojrzała na niego, uczuła promienie jego wzroku na swéj twarzy, zarumieniła się i z tém większą pilnością zaczęła nuty przeglądać.

Gospodarz uderzył smyczkiem w swój pulpit: uciszyło się i poważne tony muzyki niemieckiéj wypełniły salon.

Topaz grał z uroczystym nastrojem, rozkoszując się harmonią, na jego twarzy malowało się podniesienie ducha. Przyszła gwiazda

Izraela, trzymając pierwsze skrzypce, porywał swą siłą i cieniowaniem. Damy siedząc na kanapach, dawały takt miarowém kiwaniem głów.

— Dobrześ im powiedział — szepnął Blum do Zyzmy. — Chleb polski jest smaczny i zdrowy, widać to po ich tłustych policzkach. Już to ofiarami nie są. Sama kanapa w kamieniach i perłach reprezentuje kilkadziesiąt tysięcy guldenów. Opowiem hrabiemu o twém dowcipném znalezieniu się. Będzie się śmiał. Zawstydziłeś ich tu wszystkich, każdy to czuje, tylko tego głośno nie powie. Dobrześ się znalazł, bo cię wezmą za człowieka, który się oblagowywać nie daje, a przytém szanować cię muszą, a i troszkę bać się będą.

Zyzma słuchał Bluma, a patrzał się na dziewczynę grającą na fortepianie, na jéj czarne oczy i białe ramiona.

Pierwsze skrzypce odegrały swoję koncertową część. Przyszła koléj na fortepian. Widać było na twarzy grającéj silne wzruszenie, oczy jéj płonęły ogniem, blado-różowe kolory przesuwały się po twarzy. Grała z siłą, uczuciem, nawet pewną namiętnością. Akompaniament ustał, jeden fortepian rozbrzmiewał potokami tonów, wydobywanych wprawną ręką.

Parę jeszcze akordów, odegranych razem przez wszystkie instrumenta, gospodarz podniósł smyczek w górę: ucichło.

Stary był rozpromieniony, goście tłumnie składali podziękowania improwizowanym artystom. Zyzma zbliżył się do młodéj, czarnookiéj dziewczyny.

— Zakończenie ukoronowało dzieło — odezwał się po niemiecku, pochylając głowę.

Młoda dziewczyna, rozsuwając wachlarz, usiadła na kozetce, robiąc miejsce, z czego Zyzma w téj chwili skorzystał.

— Pan podobno mówisz po polsku?—odezwała się metalicznym głosem.

Zyzma się uśmiechnął i skłonił potakująco.

— Ach jak to wybornie—mówiła daléj;—nie będziesz się pan śmiał z mojéj niemczyzny, a ja nie będę potrzebowała pracować.

— Czy pani mówiąc po niemiecku, pracuje?—odezwał się po polsku.

— Zawsze. Po śmierci matki wychowałam się na pensyi.

— Polskiéj?

— Naturalnie. Brat zawsze mówi ze mną po polsku.

— A ojciec?

— Z ojcem rzadko się widuje; zwykle w drodze, zajęty interesami.

— Brat pani jest tutaj?

— Natan—zawołała, przyzywając młodzieńca wachlarzem.

Młodzieniec się zbliżył, ten sam, który czekał w bramie mieszkania Zyzmy na powrót delegata.

— Oto jest mój brat i opiekun, serdeczny przyjaciel i kolega pana Józefa Topaza.

Zyzma i Natan zarumienili się, podając sobie ręce. Młodzieniec spójrzał znacząco na siostrę, która się uśmiechnęła, na znak, że wié o co mu idzie.

— Brat mój jest tak zapalonym polakiem, że ja jego siostra nie mogę dobrze mówić po niemiecku—zwróciła się do Zyzmy.

— Żałujesz pani tego?

— Dotąd nigdy mi to na myśl nie przyszło. Literatura polska wystarcza mi. Chcąc poznać i pokochać naród, należy poznać jego literaturę, gdyż w niéj składa on „skarby swych uczuć i swych myśli przędzę“ — uśmiechnęła się. — Wyrażam się jak na prozę zbyt poetycznie, lecz to już nie moja zasługa, tylko poetów polskich, których język mimowolnie sobie przyswajamy.

— Musisz pani często i dużo czytywać.

— Rzeczywiście. Natan kocha Mickiewicza, ja przepadam za Słowackim. Natanowi czytuję głośno Mickiewicza, sobie Słowackiego.

— Pewno pani ładnie deklamujesz?

— Nie wiém, lecz brat mój jest dosyć zadowolony ze mnie.

— Nie usłyszymy pani dzisiaj?

W tym domu, w obec tego towarzystwa, ukamienowano by mnie. To są zjadacze chleba, smacznego polskiego chleba, jak pan wybornie powiedziałeś. Słyszałam i zrozumiałam. Oni mają tylko apetyt na polski chleb i umieją go jeść. Wszystkiém innéın szlachetniejszém, co nie jest chlebem polskim, którym się tuczyć można, gardzą. Dla potrzeb swego ducha mają kulturę niemiecką.

— Przekładają wyższą cywilizacyą—zaczął Zyzma tłómaczyć się zarumieniony.

— Bo dla niéj nie potrzeba żadnych ofiar ponosić, ona do niczego nie obowiązuje, a do niedawna dawała protekcye, rozszerzała stosunki, była przy władzy.—Młoda dziewczyna mówiła z nerwowém rozdrażnieniem.

— I pani w obec mnie, znając moje stanowisko.....

— Przepraszam pana—przerwała,—lecz z tego, coś pan powiedział głośno, domyślam się, że jesteś bliżéj nas, mnie, brata i jego przyjaciół. Nareszcie—dodała ciszéj—przeczuwam w panu lepszego, wyrosłego nad poziom zwykłych ludzi, człowieka. Radabym, aby mnie przeczucia nie zawiodły. Musisz pan miéć utajony a ważny interes występować chwilowo w roli, jaką odgrywasz.

— Po czém to pani poznajesz?—mówił wzruszony.

— Ja nie wiém, może dźwięk głosu pańskiego, może promienie oczu, może rysy twarzy, dość że odgadłam—zatrzymała się.

— Cóż takiego?

— To, że.... powiém otwarcie, pozwolisz pan?

— Proszę.

— Szlachetna dusza mieszka w panu.

Zarumienili się oboje. Młody człowiek nie wiedział co odpowiedziéć; dziewczyna czuła, że powiedziała za dużo.

Obserwowali ją Józef i brat z rogu salonu, uśmiechając się.

Natan zbliżył się do niéj i pochylając się, pocałował ją w czoło.

— Idziemy z Józefem, nadto tu duszna atmosfera dla nas.— Uścisnął ją znacząco za rękę, siostra również uściskiem odpowiedziała.

— Dobrze się bawisz?

— Wybornie.

— A więc o jedénastéj przyjadę po ciebie.

-- Dobrze.

Dwóch przyjaciół wysunęło się pocichu z salonu na ulicę.

— I cóż ty mówisz o dygnitarzu „Nowéj presy“ — odezwal się Józef.

— Ja mówię, że się cofa i alboś go przekonał, albo przestraszył.

— Nie wiém, lecz za to tylko mogę zaręczyć, że wtedy, gdym mu groził, był wściekły. I gdybym się był w porę nie cofnął, mogłoby być źle ze mną.

— Ciekawy jestem, co siostra nam powie—odezwał się Natan.

— Dowiemy się dziś jeszcze, a teraz chodźmy do Daniela.

Po artystycznych popisach, grze w karty i dobréj kolacyi, goście Topaza zaczęli się rozchodzić.

Gospodarz był dumny i zadowolony z siebie. Na pożegnanie uścisnął serdecznie rękę Zyzmy.

— Do widzenia — rzekł wesoło.—Nie mam ja czasu oddawać wizyt, lecz moi synowie wyręczą mnie. Uważaj pan mój dom za swój rodzinny i jeżeli lubisz muzykę i gawędkę, przychodź wieczorami.

Zyzma odpowiedział zaledwo jednym frazesem. Spieszył się ubrać siostrę Natana i podać jéj rękę, aby ją sprowadzić ze schodów.

Przed bramą czekał jego powóz.

— Zrobisz mi pani wielką łaskę, jeżeli pozwolisz, aby moje konie dowiozły cię do domu.

— Dziękuję panu, lecz z warunkiem, że siądziesz pan z nami.

— W téj chwili pragnę samotności—odpowiedział cicho.

Młoda dziewczyna wyrażenie to zrozumiała zbyt pochlebnie dla siebie. Nie umiała na nie odpowiedzieć, była wzruszona. Zyzma czuł drżenie jéj ręki.

Powóz zajechał, młody człowiek otworzył drzwiczki, dziewczyna siadła.

— Natan—zawołała, oglądając się.

Młodzieniec skoczył do powozu, kłaniając się Zyzmie.

— Czy pan pozwolisz odprowadzić kolegę — spytał się Józef, stojący przy drzwiczkach powozu.

— Ależ proszę, a nawet będę to uważał za zaszczyt dla siebie.

Pomógł mu wsiąść do powozu i drzwiczki zatrzasnął.

— Do widzenia—szepnęła młoda dziewczyna.

Zyzma zdjął kapelusz, konie ruszyły z miejsca.

W téj chwili doktór Fuchs wsunął rękę pod ramię Bluma, uprowadzając go z sobą.

Zyżma został sam, szukając oczami Bluma i smutny, z pochyloną głową poszedł, mijając teatr, na wały Hetmańskie.

— Wiesz Blum, jestem zdania, że powiernik naszego Wiedeńskiego organu, jest to sam spryt—mówił cicho Fuchs.

— Po czém to poznałeś?

— On już zaczyna rozumiéć sytuacyą naszych stosunków, przeczuwa, że polszczyzna bierze górę, że się z nią liczyć należy, że w Wiedniu do coraz większych wpływów dochodzi. Nie jest on tego rodzaju fanatykiem, co Topaz i jego przyjaciele. Słyszałeś, jak się odezwał?

— Słyszałem—odparł Blum.

— A widziałeś, jak był uprzedzająco grzecznym dla tych dwóch zapaleńców polskich i młodéj entuzyastki?

— Widziałem.

— No i cóż ty na to?

— Ja na to powiem ci tyle, że on jest większym nieprzyjacielem polaków aniżeli Topaz i jego przyjaciele, lecz zarazem sprytniejszym od nas wszystkich.

Fuchs stanął, wysuwając rękę z pod ramienia Bluma.

— Co ty mówisz?

— Słyszałeś przecie. Nie chce roznamiętniać stron walczących, gdyż wié, że to do niczego nie prowadzi, lecz przeszkadza. Zobaczysz, że mu się otworzą salony naszych panów. I któż mu to może mieć za złe.

— Nikt — zawołał Fuchs. — Lecz nie wiész, jakie on może tu mieć interesa? Bo bez nadziei grubego zarobku nie opuszczał-by Wiednia.

— Przedewszystkiém jest bogaty — mówił uroczyście Blum — bardzo bogaty...

— O tém wiem—przerwał Fuchs.

— A więc może radby złapać koncesyą na bank, koléj żelazną.... Zadrwić z nas i Polaków i..... uciec. Dobranoc ci.

— Dobranoc.

Blum zostawił zamyślonego Fuchsa, stojącego na ulicy. Sam szedł pośpiesznie i nareszcie zaśmiał się cicho.

— Kochany Fuchs—mówił w duchu—już ty daleko ze mną nie zajdziesz. Wbiłem ci maleńki gwoździk w twoją wielką głowę. Bo to ty jesteś większym fanatykiem od Topaza, a chciałbyś być sprytniejszym od nas. Zneutralizowałem cię i przynajmniéj parę miesięcy przeszkadzać nam nie będziesz. Właśnie tyle, ile mi potrzeba.

— No cóż?—zapytał Natan siostry.

Józef, wzorem młodych konspiratorów, wskazał palcem na woźnicę.

— Śliczna noc—odezwał się poważnie.

Natan i jego siostra rozśmieli się serdecznie, lecz również przejęci ważnością misyi, unosili się głośno nad pięknością nocy.

Dopiero w salonie ojca Natana, gdy młoda dziewczyna zrzuciła okrywający ją szal, brat zapalił lampę, rzekła uroczyście:

— Jest to bardzo sympatyczny i, jestem pewna, szlachetny człowiek.

— To nie dosyć—odezwał się Józef.

— Czyż nasza sprawa nie jest najszlachetniejszą ze szlachetnych i tylko dla szlachetnych—mówiła żywo dziewczyna.

— Można być zacnym człowiekiem, a mieć inne przekonania.

— Nie, nie; zacny człowiek musi kochać swój kraj—zawołała.

— Żanciu, jesteś entuzyastką—rzekł łagodnie Natan.—Prosimy cię o szczegóły, o fakta.

— Na razie, nie ma żadnych; lecz jestem pewna, że pójdzie z nami. Powiedziałam mu wszystko, odkryłam nasze cele, mówiłam o potrzebie założenia dziennika.....

— Pani—szepnął Józef.

— Żanciu—zawołał brat.

— Więc czegóż mamy się ukrywać. Czyż nasz cel nie jest szlachetnym, drogi nie są uczciwe?

— Obcemu nie mówi się wszystkiego—rzekł Józef.

— Tém więcéj poplecznikowi „Nowéj presy“—dodał Natan.

— On nie jest obcym—odparła z mocą dziewczyna. — Przysięgam wam.

— Dla tego, że się pani podobał.

Twarz dziewczyny oblały rumieńce, spuściła oczy. Po falowaniu piersi widać było, że serce jéj biło gwałtownie.

— To inna kwestya—odpowiedziała poważnie—i to nie należy do rzeczy. Podobał mi się, prawda, jak każdy lepszy i szlachetny człowiek. Nie zna on naszéj literatury, poezyi, sztuki, język jego nie jest jeszcze wyrobiony. Chłopcem opuścił kraj, młodość spędził z niemcami. Dajcie mu czas poznać się z nami. Nie odpychajcie go i nie maltretujcie.

— Nikt go nie odpycha i nikt nie maltretuje — tłómaczył się Natan.

— Nikt, tylko pan Józef i to zaledwo kilka dni temu—odpowiedziała.

— I może dla tego był dla pani uprzedzający i słodki—odrzekł młodzieniec.

— Nie był ani słodki, ani uprzedzający.

— Więc jakimże był?

— Szczerym i serdecznym.

Józef pożegnał się w milczeniu, przyjaciel odprowadził go do przedpokoju.

— To taka sprawa z kobietami—szepnął.

— Zwyczajnie jak z kobietami.

— Dość, że się nas boi. To już pół zwycięstwa—odparł Natan, ściskając rękę kolegi.

Młoda dziewczyna siedziała na kozetce, z podpartą głową na ręku.

Brat stanął przed nią. Milczeli oboje.

— Żanciu, boje się, czy się nie gniewasz na nas?

— Nie—odpowiedziała, a głos jéj drżał rozżaleniem, był miękki i tkliwy.— Przykro mi tylko, że my żydzi za mało mamy w sobie serdeczności i uczucia, a nawet sprawiedliwości. Namiętności rządzą nami.

Natan się zamyślił.

— Może to wina naszéj rasy, gorącéj krwi—rzekł zakłopotany.

— Aleśmy porzucili gorące strefy dwa tysiące blisko lat, a pięćset mieszkamy na północy.

— A jednak, moja Żanciu, gdyby nie ta krew i gdyby nie ta rasa, twoje oczy nie byłyby tak czarne i pełne blasku, twój warkocz nie miałby koloru hebanu, a twoje ramiona nie byłyby wykute z marmuru.

— Chcesz mnie ułagodzić komplementami — odpowiedziała, uśmiechając się smutnie.

— Nie, tylko chciałem to powiedzieć, że gdyby nie twoje oczy i dźwięczny głos, zdradzający ukryte namiętności, elegant wiedeński nie siedziałby cały wieczór przy tobie i z tobą.

— Więc cóż?

— Nic, tylko że krew południa, rozpalająca ognie w twych oczach, coś warta.

— Wszystko obliczasz i ważysz — mówiła, udając zadąsaną.

— To także wina naszéj rasy, jesteśmy praktyczni i we wszystkiém radzi szukamy użyteczności. Ty jednak, moja Żanciu, nie możesz się skarżyć na brak uczucia z méj strony. Chodź—ujął ją w pół i prowadząc do drzwi jéj pokoju dodał: — Z dyplomatą wiedeńskim rób co ci się podoba, byleby nam nie dokuczał.

Pocałował ją w czoło, dziewczyna mu nic nie odpowiedziała. Otworzył drzwi i gdy weszła, zamknął je za nią.

— Jeżeli ona naprawdę się zakochała w tym Wiedeńczyku— mówił, mierząc dużemi krokami swój studencki pokoik,— byłoby to dla nas wielkie nieszczęście. Nie ma odpowiedniego dla takiego bogacza posagu..... w ostateczności moglibyśmy ją stracić. Kobieta zawsze idzie za mężem. Muszę ją strzedz: nadto wrażliwa w téj dziewczynie natura, a jeszcze wyegzaltowana poezyą.

Takie wygłaszał opinie nieodrodny brat swéj siostry.

W tym czasie Zyzma już po raz trzeci przechodził aleje wałów Hetmańskich.

— Dziewczyna ta, córka najpospolitszego handlarza, upokorzyła mnie i zawstydziła. Dobroć jéj tylko i szlachetność nie pozwoliły wyzyskać swéj wyższości nademną. Przyjechałem, aby tutejszych żydów prowadzić na zdobycie świata, tymczasem przekonywam się, że jestem od nich głupszy.

Dziewczyna przytacza mi wiersze ukochanych przez siebie poetów, mówi ze mną o nich, jak o wspólnych naszych przyjaciołach, a ja nie słyszałem nawet nigdy o nich. W wiośnie życia, w któréj się ona uczyła, ja naprawiałem chłopom kożuchy, skupowałem kości i faktorowałem przy kupnie koni..... oskarżał się, bo przecież dawno już rwał się do gazet polskich, skupował je od lokai i zanim sprzedał odczytywał je z ciekawością. Później dopiero niemczyzna zabiła w nim polaka.

— Dla czego jednak „pani“ nigdy nie mówiła ze mną o wielkich poetach polskich? W nieszczęściu nie mówi się o poezyi. Dla niéj to rzecz zwykła, a nareszcie nie chcąc mnie kompromitować, milczała..... z litości.

Wyraz *litość* wydobył na jego twarzy rumieńce wstydu i gniewu na siebie samego.

I tak, dziś wieczór zamiast się bawić, ciężko pracowałem i oszachrowywałem dziewczynę, aby nie zdradzić przed nią swojéj głupoty.

Może byłoby lepiéj uciekać do Ameryki—zawołał.—Żal mu się zrobiło kraju, swéj pozycyi, „pani“, dziewczyny z czarnemi oczami i Sali.

Zmęczony powrócił do domu, zapalił lampę i po cichu na palcach podszedł do ostatniego pokoju. Odchylił drzwi: Salka spała, uśmiechając się przez sen.

— Ty jesteś szczęśliwa, dla ciebie sklep jest rajem, nie widzisz jeszcze swéj nędzy.

Usnął zaledwo nad ranem i spał póki go nie zbudziła dziewczynka, stukając do drzwi jego pokoju.

— Kawa czeka, śpiochu—wołała przez drzwi.

Młody człowiek się zerwał i w parę minut późniéj wszedł do jadalnego pokoju.

— Jeszcze cztery, a najwięcéj pięć dni, a wszystko będzie w sklepie ułożone; wtedy pojedziemy po panią na koléj. Wiesz Zyzma, ja co dzień do niéj pisuję.

— Umiesz ty pisać po polsku?

— Przecież ja piszę po niemiecku—odpowiedziała naiwnie.

— A polką jesteś.

— Mówisz, jakbyś spal; czyż nie wiesz, że jestem taką żydówką, jak ty żydem. Oj Zyzma, Zyzma, tyś wczoraj za dużo pił wina.

— A mówisz po polsku.

— Bo ty ze mną mówisz.

— Lubisz mówić po polsku?

— Lubię, chociaż mi to wszystko jedno. „Pani“ polka i lubi po polsku mówić, to i ja lubię.

Zyzma się zamyślił.

Jakaż to przepaść wyobrażeń rozdziela Sali od wczorajszéj znajoméj.

Dziewczynka zaczęła się szybko ubierać do wyjścia.

— Gdzież ci się tak śpieszy—zapytał ją Zyzma.

— Jakto, nie wiesz? Przecież do sklepu. Codzień tam chodzę.

— Radbym, abyś mi zrobila jeden sprawunek.

— Mów, ja bardzo lubię robić sprawunki i targować się umiem.

— Idź do księgarni i kup mi wszystkie dzieła Mickiewicza i Słowackiego. — Dał jéj dwadzieścia guldenów. — Tylko się nie targuj. Jeżeli się będą pytać dla kogo, powiedz, że dla ciebie.

— Dobrze, dobrze—odpowiedziała i wybiegła.

— Proszę o pana Mickiewicza i pana Słowackiego — odezwała się rezolutnie w księgarni.

— Wszystkie dzieła —zapytał księgarz—i oprawne?

— Wszystkie, i pięknie oprawne—płacę odrazu.

— Proszę więc przyjąć w dodatku i „Maryą“ Malczewskiego.

— Dziękuję — szepnęła, zapłaciła i wybiegła, niosąc pakę książek.

— Są, masz — wołała, wbiegając do pokoju; — a ja dostałam w prezencie śliczną książeczką w czerwony safian oprawną: jakaś Marya, pana Malczewskiego. Patrz są i obrazki. Jak tylko wrócę ze sklepu, będę czytać. Ja dawniéj dobrze czytałam po polsku. Ale to już dawno—westchnęła.—Śpieszę się, do widzenia. A wcześnie dziś wrócisz?

— Dziś wieczór nigdzie nie wychodzę.

— To bardzo ładnie z twéj strony, bo mi saméj smutno i wtedy tęsknię za panią i Stasiem.

Wybiegła. Zyzma posłał chłopca, aby mu przyniósł od najlepszego ogrodnika w mieście piękny bukiet kwiatów. Sam zaś rzucił się do Słowackiego. Czytał z chciwością, lecz zrozumiéć blasków fantazyi i głębokiéj, serdecznéj ironii autora nie umiał. Natura jego zbyt była praktyczna, a przy tém za mało był wykształcony.

— Ja nawet tego nie mogę zrozumiéć za czém ta dziewczyna przepada i co kocha namiętnie — pomyślał, wstrząsając smutnie głową. Zaczął przeglądać Mickiewicza. Po chwili uśmiechnął się. Jasność, wyrazistość, spokój, porządek i trzeźwość poglądów zgadzały się z jego przekonaniami.

— Co do Mickiewicza, podzielam opinie Natana—zawołał uradowany i czytał daléj.

Wrócił chłopiec z bukietem róż, otoczonym białemi azaleami.

Młody człowiek na wykwintnym arkuszu papieru listowego pisał po polsku.

Lecz niestety zachwiał się przy trzecim wyrazie. Nie wiedział jak go napisać. Był zawstydzony i zły na siebie. Już chciał pisać po niemiecku, gdy w tém przyszła mu szczęśliwa myśl..... Posłał chłopca po słownik niemiecko-polski i dopiero z jego pomocą udało mu się napisać:

„Korzystając z wczorajszych objaśnień, jakiemi dobroć pani „zechciała mnie obdarować, mam sobie ten honor posłać pięćset zł. „reń. na cele towarzystwa „Dorsze Szulom“, a głównie na jego or„gan, który ma być tak wielce pożądanym. Proszę co do tego faktu „o tajemnicę.

„Dla wczorajszéj koncertantki załączam spóźniony bukiet, tyle „zasłużony boską jéj grą.

Zyzma“.

Odczytał, przekreślał, poprawiał i w końcu rad z siebie, przepisał go, dołączył pięć nowych stówek i zaadresował.

Przywołany chłopiec otrzymał rozkaz, aby masztalerz (takim tytułem zaszczycał swego woźnicę) zaprzągł do amerykanki:

— Gdy zajedzie, weźmiesz ten bukiet i list, wsiądziesz z nim razem i razem pojedziecie na ulicę i przed dom, gdzie wczoraj w nocy odwiózł Mateusz młodą damę i dwóch panów.

W kilkanaście minut późniéj usłyszał turkot w bramie, zbliżył się do okna. Na ulicę wyjechało parę ładnych koni, ciągnąc za sobą zgrabną, o dużych kołach, amerykankę. Na koźle, obok masztalerza, w zielonéj liberyi i białych rękawiczkach, siedział chłopiec, trzymając w ręku wspaniały bukiet.

Rozśmiał się na ten widok i mimowoli z chaosu myśli jego wynurzyła się Kasia Zawrzykrajka: słyszał jéj śmiech szczery i serdeczny, widział różowe usta, białe zęby, falującą pierś i ognie w oczach. Zaczął ją porównywać z „panią“ szlachetną, dystyngowaną „panią“ i młodą, ładną dziewczyną, artystką i namiętną patryotką.

— Jaki ja wielki skok zrobiłem—szepnął... A jednak po Kasi Zawrzykrajce nikogo nie kochałem... Nikogo — powtórzył — jakby próbował badać własne serce.

Rzucił się na fotel, twarz ukrył w dłonie i usiłował odpychać myśli, które wytwarzały się w jego mózgu pobudzone biciem serca i podrażnionemi nerwami.

W tym samym czasie konie Zyzmy wpadły na ulicę Sykstuską, zatrzymując się przed bramą jednéj z nowo-wybudowanych kamienic.

Chłopiec zeskoczył z kozła, wypytał się stróża o mieszkanie, pobiegł na drugie piętro, zadzwonił.

Otworzyła mu drzwi sama Żaneta.

— Mój pan przysyła—rzekł chłopiec, podając bukiet i list.

Spójrzała na kopertę, odebrała bukiet, lekko się zarumieniła i wolno, poważnie poszła do salonu.

Tam dopiero gorączkowo rozdarła kopertę, papierowe pieniądze spadły na dywan. Czytała, uśmiechając się ze stylu i paru błędów ortograficznych, lecz była dumną, w oczach jéj zapłonęły ognie, jak po odniesionem zwycięztwie. Wzięła w rękę bukiet, popatrzała na róże i azalee, przysunęła go do ust, powąchała i westchnęła, kładąc do szklannego wazonu. Jeszcze raz z pewnego oddalenia rzuciła

na niego wzrokiem, rozśmiała się filuternie i pozbierawszy z dywanu rozrzucone pieniądze, przeszła do swego pokoju, aby pisać.

Nie namyślała się długo.

„W imieniu „Zwiastunów pojednania“ dziękuję za ofiarę. Zło-
„żona przez pana suma, w połączeniu z uzbieranym już kapitałem,
„przyśpieszy wydawnictwo „*Zgody*“. Taki tytuł będzie miał nasz
„organ.

„Walczący umieją milczéć, gdy do zwycięztwa daleko.

„Przysłany bukiet będzie dla mnie miłą pamiątką naszego po-
„znania, jak również pamięci pańskiéj

szczerze życzliwa

Żanetta“.

Z portmonetki wyjęła srebrnego guldena i wraz z listem wsunęła go w rękę chłopcu.

Drzwi się zamknęły, dziewczyna została sama. Pobiegła do bukietu, ciesząc się jego zapachem i pięknością. Po raz drugi i trzeci odczytywała list. Za każdym razem mniéj ją raziły błędy. Liczyła stówki, rozkładając je na stole, patrzała na zegar, skazówki posuwały się dziś tak leniwo. Radość szarpała jéj serce, układając usta do uśmiechu, a mimo to, czy na dnie serca, czy w zagłębieniach mózgu, czy skutkiem podrażnionych nerwów powstawał nieokreślony strach, z pod władzy którego wydobyć się nie mogła.

Samotność zaczęła ją dręczyć. Brat nie przychodził, nie była w stanie niczém się zająć. Od bukietu zwracała się do listu i pięciu stówek.

Nareszcie trzeźwy jéj umysł zdobył się na pytanie, które głośno i wyraźnie wypowiedziała:

— Czy te pięćset guldenów i bukiet są przysłane, aby się mnie przypodobać, czy téż dla pozyskania młodzieży naszego stowarzyszenia?

Gdy myślała o sobie, rumieniła się. O pozyskaniu młodzieży myśléć nie chciała, a jednak nieubłagana loika zmuszała ją do tych przypuszczeń.

Odgłos dzwonka przerwał te zapasy własnych myśli.

— Natan — zawołała radośnie, otworzyła drzwi, ujęła go za rękę i robiąc tajemniczą minę, zaprowadziła do swego pokoju.

Na stole leżało pięć nowych stówek.

— To na dziennik, a teraz czytaj.

Wzruszony młodzieniec przebiegł szybko wystylizowany na niemiecką manierę list Zyzmy.

— A teraz mów—zawołała nerwowo.

— Ja powiem tylko tyle — rzekł wesoło Natan — że za miesiąc wyjdzie pierwszy numer „Zgody“.—Popatrzał siostrze w oczy, pocałował ją w czoło, schował pieniądze i zaczął szukać kapelusza.

— Uciekasz już?

— Muszę, moja droga. Twój protegowany dobrze się znalazł. Zwyciężyłaś!

— Kogo?

— Nas, a może i samego Zyzmę. Wiesz ty najlepiéj.

— Ja nic nie wiem—szepnęła.

Natan się uśmiechnął.

— Odprowadź mnie do Jezuickiego ogrodu. Smutno mi saméj w pustym domu.

— Dziś w teatrze dają Horsztyńskiego. Pójdziemy, będziesz się rozkoszować językiem swego ulubionego mistrza.

— Nie prowadź mnie tam. Nie mam dziś sił patrzéć na konanie wśród cynicznego śmiechu i rozdzierających serce katuszy, gdy do zmartwychwstania jeszcze daleko.

Natan nic nie odpowiedział, zamyślił się, posmutniał, podał siostrze okrycie i w milczeniu prowadził ją do ogrodu.

— Zaczekaj na mnie, wrócę za chwilę, wyjedziemy z miasta, będziemy się błąkać po polach, układać plany, mówić o wielkich projektach i bawić się.

— Tylko wracaj, mój drogi. Samotność mnie męczy.

W oficynie na drugiém piętrze, w pokoju Daniela zgromadzili się „Zwiastuni pojednania“. Na stole jako *corpus delicti* leżało pięć nowych stówek.

Po przedwstępnych naradach, zabrał głos Daniel.

— Streszczając nasze wywody, dadzą się one ułożyć w następujące wnioski, które oddaję pod głosowanie. A mianowicie:

— Czy można przyjmować pieniądze na założenie dziennika od człowieka, którego zasad nie znamy.

— Brać, brać—zawołali Józef i Natan.

— I ja tak sądzę—dodał Daniel.

— Jeżeli to jest zasadzka, aby wśród nas żydów wywołać większy jeszcze rozdział, to lepiéj mu te nędzne pięć stówek rzucić w twarz—odezwał się jeden z młodzieńców.

— Ale my—przerwał koledze Józef — nie damy się złapać. My jesteśmy panami sytuacyi, będziemy unikać starć, a co do antagonizmu, ten już istnieje: usunąć go lub zniszczyć niepodobna.

— A więc?—pytał Daniel.

— Brać, brać—powtarzano.

— Drugie pytanie—zabrał głos Daniel.— Czy mając ośmset guldenów kapitału, powinniśmy zaraz rozpocząć wydawnictwo?

— Natychmiast—oświadczyli młodzi ludzie.

— Komitet redakcyjny.

— Ależ mój Danielu, wiesz dobrze, że do dziś jesteśmy wszystkiém: komitetem redakcyjnym, redakcyą, korespondentami, administracyą.

Koledzy się rozśmieli.

— Po cóż więc—mówił daléj Józef—rozprawiać.....

— A więc za dwa tygodnie..... — odezwał się Natan.

— Pierwszy numer „Zgody“ ujrzy światło dzienne—dodał Józef.

— Za dwa tygodnie—poświadczyli z zapałem młodzieńcy.

— Kochany Danielu. My papier, druk, format i potrzebne formalności bierzemy na siebie—zdecydował młody Topaz.—Ty myśl o programie, artykule wstępnym, słowem, aby było co drukować. Ty, mój drogi, gdybyś nie miał być doktorem filozofii i drugim naszym Spinozą, byłbyś rabinem. W tobie pokutuje dusza mędrca wschodu, zdolna do kontemplacyi.

Daniel się melancholijnie uśmiechnął.

— Ależ niczém nie będę, jeżeli mi odmówicie swéj pomocy—zawołał.

— Każdy z nas zasypie cię artykułami — odparł Natan; — ty jednak musisz je czytać, poprawiać i brać na swoję odpowiedzialność.

— Ja się palę do tego rodzaju pracy. Co to za rozkosz mieć swój organ! To znaczy przemawiać codzień do tłumów. Do wszystkich razem i do każdego z osobna. Opinie nasze wciskać się będą do domów bogaczy i na poddasza biedaków... My będziemy im rozkazywać, kierując ich myślami, podług naszéj woli. Napadnięci potrafimy się bronić głośno w obec całego świata. Nie zawahamy się demaskować nędzników. I biada ci, panie Zyzmo, jeżeli myślisz, że pięciuset guldenami potrafisz nam usta zamknąć.

Walczyć, bronić swego, wyrzucać z mózgu najszlachetniejsze pomysły, nadawać im ciało, formę; koledzy, czyż to nie należy do wielkich przyjemności życia.

Powstał wśród kolegów szmer przyciszonych, lecz entuzyastycznych wykrzykników.

Daniel widocznie został porwany zapałem. Blade jego policzki oróżowiły się, z za długich rzęsów przebłyskały tajemnicze ognie. Powstał.

— Tém więcéj — mówił wzruszony.... — że my bronimy najszlachetniejszych idei, gdy oni muszą kłamać przed sobą samymi i światem. Walczyć kłamstwem, uporem, wybiegami, ciężka to rola.

„Zwiastuni pojednania“ wchodzimy w nową fazę: z ukrycia wynurzamy się na dzienne światło. Promienie słońca zaczną nas ogrzewać, lecz i burze nad naszemi głowami będą szaleć, wichry nami wstrząsać. Wytrwajmy!

— Wytrwamy—odpowiedzieli uroczyście.

— Żydzi muszą mieć ojczyznę dla swego umoralnienia—mówił daléj — inaczéj barbarzyństwo będzie ich tępić, lub wyrabiający się w ludzkości *altruizm* zaprzeczy im racyi bytu w rodzinie ludów.

— My im ją damy—zawołał z butą i pewnością siebie Józef.

— Gdybyśmy im, jak Jozue, pokazać ją mogli, gdyby ją zdolni byli zobaczyć, o większém zwycięstwie nie marzę — mówił cicho Daniel.

— A ja pragnę, spodziewam się i wierzę w zupełne zwycięstwo. Jesteśmy młodzi i jeszcze czterdzieści lat pracy mamy przed sobą.

— Tyle właśnie, ile żydzi potrzebowali do dojścia do ziemi obiecanéj—dodał jeden z kolegów.

Daniel się uśmiechnął.

— Jeżeli Zyzma daje pieniądze ze strachu przed nami — zabrał głos Natan—to widać, że jesteśmy potęgą, nie znającą jeszcze dobrze swych sił. On nam pierwszy powiedział, czém jesteśmy, i w tém wielka jego zasługa. Jeżeli zaś przychodzi do nas jako przekonany i nawrócony, w takim razie powinniśmy obchodzić podwójne zwycięstwo, żywotności naszych zasad i zdobyczy tak pożądanéj osobistości, jaką jest Zyzma. Porzucić „Nową presę“ dla „Zgody“, to w naszych stosunkach wiele znaczy.

— Natan jest tylko echem swéj siostry,—szepnął Józef, lecz tak głośno, że go koledzy slyszeli.

Natan się zmięszał i zarumienił. Daniel w téj chwili przyszedł mu z odsieczą.

— Niezawodnie, że siostrze Natana zawdzięczać będziemy możność naszego wydawnictwa. My potrafiliśmy na niego napaść, ona go zjednać.

Na tém się skończyło posiedzenie komitetu „Zwiastunów pojednania“.

Po odejściu kolegów, Daniel pobiegł do mistrza. Chciał się przed nim pochwalić i prosić o pomoc. Nie zastał go. Na wizytowym bilecie napisał: „Dziennik przychodzi do skutku“, bilet wsunął w dziurkę od klucza i wrócił do siebie.

Wieczorem wpadł mistrz. Śniadawa jego twarz nabrała rumieńców, łagodnie patrzące niebieskie oczy rzucały blaski, uśmiechał się serdecznie i tą serdecznością w uśmiechu pociągał ku sobie.

— Mistrzu — zawołał wzruszony młodzieniec — przyszedłeś umyślnie.

— Chciałeś abym przychodził nieumyślnie — odparł mistrz wesoło,—tém więcéj że są wielkie nowiny.

Daniel opowiedział wypadki ostatnich dni.

— Dobre chęci się kończą, zaczynacie już iść o własnych siłach, a więc my z wami.—Uścisnął za rękę Daniela.—Wypowiadamy walkę przesądom urodzenia i różnicy ras. Patrz, w obec tylu zdobyczy cywilizacyi, rozdzielają nas wstrętne widma; gdzieindziéj dawno już pogrzebane, u nas są to jeszcze niestety potęgi. Walczmy razem, aby je zdusić. Pisz artykuł wstępny i przynoś go: poprawimy wspólnie. Dzisiejszy dzień jest dla mnie i moich przyjaciół świętem cywilizacyi i zapowiedzią przyszłéj potęgi naszych pragnień. Chodźmy na kolacyą.

— Chciałbym się poradzić—zaczął Daniel.

— Nie radź się w niczém, idź sam o własnych siłach, pisz, bo wtedy będzie to twoja myśl. Gdy napiszesz, pomówimy. Do Nowopresisty stawajcie czołem. Jak każe wam sobie płacić, pokazać mu drzwi. Biedakom waszym z Ormiańskiéj ulicy dajcie pokój: ich mordują straszna nędza, ciemnota, przesądy i rabini. Lecz tych waszych kulturników, którzy na dnie poezyi Goetego widzą same geszefty, z tymi walka nieubłagana; ci to są wspólnymi naszymi wrogami. Kiedy wyrzucacie pierwszy numer?

— Może już za dwa tygodnie—odparł Daniel.

— Aż za dwa? A dla czego nie jutro, pojutrze? Życie tak krótkie, a czasem dzień bywa długim i pamiętnym, gdy się w nim wielka batalia stacza. Rozpoczynajmy kampanią zaraz.

Zapał mistrza porywał młodzieńca. Fantazya jego pracowała, rad był w téj chwili pochwycić pióro i pisać wstępny artykuł.

Mistrz roztworzył drzwi „pod Gruszką“. Światło, dym cygar unoszący się w powietrzu i wesołe rozmowy onieśmieliły młodzieńca. Za stołem siedziała garstka ludzi w sile wieku, o szlachetnych i sympatycznych rysach.

— Panowie! oto młody redaktor „Zgody“, któréj program już znacie.

Wyciągnęły się do młodzieńca ręce. Zarumieniony i wzruszony ściskał je po kolei.

W gronie tym poznał swych profesorów, głośnego imienia prawników, dziennikarzy i sławnych doktorów.

VI.

Sklep został uporządkowany, towary rozdzielone. Rozwinięta nad wiek Sali obeznała się ze wszystkiém. Dwóch subiektów polaków, jeden z Wiednia drugi ze Lwowa, zajęli swe miejsca.

W tym samym domu na trzeciem piętrze, Zyzma urządził skromnie lecz ze smakiem mieszkanko, złożone z trzech pokoi; Sali po drugiéj stronie miała swój własny czwarty, uszczęśliwiona, że będzie mogła razem z panią mieszkać.

Nazajutrz rano wbiegła zdyszana do mieszkania Zyzmy.

— Odebrałam od pani telegram. Już jedzie; o dziesiątéj będzie we Lwowie. Patrz.... Pojadę po nią, dasz mi swój powóz.

— Nie mogę. Najmiesz remizę.

— Czy już ci się pani sprzykrzyła,—odezwała się żałosnym tonem.

— Głupia jesteś, rzekł Zyzma rozdrażniony;—mówiłem, abyś nigdy nie wspominała mojego imienia i pani razem, bo możesz zrobić panią nieszczęśliwą.

Sali zamilkła, lecz nie mogła wyjść z podziwienia. Przypomniała sobie historyą niemieckiego romansu, w którym kochankowie unikali się. Ależ Zyzma nie kocha się w pani, ani pani w Zyzmie.—Pani w nim...—powtarzała w duchu,—to niepodobna.—Nie wierzyła stanowczo.

O godzinie 10-téj wieczorem obok koszar Ferdynanda stał Zyzma, wpatrując się w przejeżdżające powozy.

Nadjechała parokonna remiza. Pierwsza spostrzegła go Sali. Chciała krzyknąć „Zyzma“, lecz się wstrzymała.

— On,—zawołała tajemniczo,

Zyzma dał znak, remiza stanęła. Staś wyciągnął do niego ręce. Wzruszony pochwycił chłopca, aby nim zasłonić rumieńce.

Pani była również wzruszona, chociaż nie umiała sobie tego wytłómaczyć, nie myślała nawet o tém.

Młody człowiek przysunął się do powozu.

Powitano go serdecznie, Sali promieniała szczęściem.

— Stosownie do rozkazu...

— Pani już wie wszystko,—przerwała Zyzmie,—i dosyć jest kontenta.

— Żałuję, że nie mogę dziś odwiedzić pani.

— Dziękuję, — przerwała zarumieniona, wyciągając rękę. Przyjdź pan w dzień, w południe, gdy podczas obiadu będę u siebie.

— Sklep od pierwszéj do trzeciéj zapewne będzie zamknięty.

— Ależ dosyć do drugiéj.....

— No, no Zyzma, niech tylko będzie do drugiéj—rzekła poważnie Sali.

— Jutro przynajmniéj racz pani odpocząć.

— Nie jestem zmęczona.

— Pani chce jutro i tak być musi,—zdecydowała rezolutna dziewczynka. Chciała jak najprędzéj pokazać pani sklep, który uważała za swój własny.

Rozkazujący jéj ton wywołał uśmiech na ustach pani i Zyzmy.

— A zatém do jutra.

— Do widzenia,—rzekła młoda kobieta.

— Jedź,—zawołała rozgorączkowana Sali.—Chciała jak najprędzéj zawieść panią do jéj mieszkania, pokazać jéj wszystko, cieszyć się nią i Stasiem.

Zyzma zeszedł na drugi plan; zrozumiał to, lecz się nie gniewał na dziewczynkę, bo i dla niego wszystko co się dotąd robiło we Lwowie zeszło na drugi plan w obec „pani.“ Jéj wdzięk, uśmiech, szlachetny układ, prostota przy wytworności czarowały go.

— Ona jedna jest panią,—powtarzał, wracając do miasta smutny i zamyślony.

Nazajutrz rano młoda kobieta w czarnéj sukni gładko uczesana, schodziła z trzeciego piętra do sklepu pracować. Uprzedziła ją Sali.

— Pani idzie,—szepnęła z tajemniczą miną subiektom. Boczne drzwi odchyliły się, weszła nieśmiało blada, wystraszona. Szczęściem dla niéj nikogo w sklepie nie było.

Subiekci oddali jéj ukłon, Sali promieniała szczęściem. Jeden z subiektów wpatrywał się w nią z wrastającém zdziwieniem i gdy usłyszał jéj głos, zbliżył się nieśmiało.

— Pani hrabina,—szepnął—tu z nami za ladą.

Młoda kobieta spojrzała na niego zdziwiona.

— Pani hrabina mnie nie pamięta. Wieleż to razy do hrabiny cioci, będąc jeszcze chłopcem, odnosiłem towary.

— Zmieniły się czasy,—odpowiedziała, siląc się na uśmiech,—majątku nie mam, trzeba uczciwie pracować na kawałek chleba, dla syna i siebie. Cieszę się, że w panu poznaję znajomego. Śmieléj mi będzie; mam nadzieję, że mi nie odmówisz swéj pomocy i rady.

— O pani hrabino,—zawołał,—wszystko co tylko w méj mocy.

— Proszę pana, nie nazywaj mnie pan hrabiną. Mąż mój nie był hrabią, straciłam więc ten tytuł i... nie rozpaczam,—dodała.—Bądźmy przyjaciołmi.

Subiekt się skłonił z oznakami głębokiego szacunku i przedstawił kolegę.

— Nie mam pojęcia, jak się wziąść do rzeczy, jak sprzedawać co mówić.

— Niech tylko pani słucha i patrzy—my panią nauczymy za parę dni,—zawołała Sali pewna siebie.

— Ale zkąd ty, Sali, nauczyłaś się?...

— Nie byłabym żydówką,—odpowiedziała z dumą i pewnością siebie.

Drzwi się otworzyły, młoda kobieta pobladła, Sali się uśmiechnęła: do sklepu weszły dwie panie, zwracając się do młodéj kobiety, która ze wzruszenia i obawy zarumieniła się mocno. Sali ją wyręczyła, subiekci przyszli w pomoc.

— No i widzi pani,—odezwała się Sali po wyjściu kobiet,—że sprzedawać nie jest nic tak trudnego. Pokazać, zmierzyć, odciąć, zawinąć i wziąść pieniądze.

Pani uśmiechnęła się.

— Lecz trzeba to wszystko umiéć,—odpowiedziała.

— Za tydzień będzie pani taką kupcową jak ja, albo jak pan Teodor,—rzekła Sali z wiarą w swą wielkość.

O godzinie pierwszéj Zyzma obserwował ulicę i gdy się przekonał, że nie ma na niéj nikogo ze znajomych, skoczył do bramy i po schodach dotarł na trzecie piętro, rad, że go nikt nie widział.

Naprzód poszedł do pokoju Sali, a z nią razem udali się do pani.

— Panie Zyzma, zaraz na wstępie musimy się sprzeczać. Cóż znaczą te drogie meble,—odezwała się młoda kobieta, podając mu rękę.

— Wszystko to idzie na kapitał pani, który będziesz powoli spłacać. Już to my żydzi umiemy rachować i nie damy sobie krzywdy zrobić.

— My żydzi umiemy rachować, bądź pani pewną—powtórzyła za Zyzmą Sali.

Tego rodzaju wyrażeniami Zyzma zawsze odbierał głos młodéj kobiecie. Delikatność jéj nie pozwalała przedłużać drażliwéj dla młodego człowieka dyskusyi.

— Wiesz Zyzma, że pani dziś już sama sprzedawała, rachowała guziki, mierzyła koronkę. A jak się bała z początku. A wiele dziś ludzi było w sklepie: tłok. Teodor poznał „panią“ i nazywał ją hrabiną, ale mu zakazała. Wiesz, subiekci mówią, że z pani będzie dobra kupcowa.

Młoda kobieta odwróciła się, chcąc ukryć mimowolne wzruszenie. Zyzma nasunął brwi i wzrokiem dał znak Sali, aby milczała. Zakłopotana dziewczynka wybiegła po Stasia.

— Pamiętałeś pan i o moich idealnych potrzebach, wskazala na pianino i elegancką etażerkę, zapełnioną książkami. Sami poeci polscy. Dziękuję panu. Przyznam się ze wstydem, że nie miałam sposobności, a późniéj i czasu poznać się z nimi. Kształcono mnie na innych wzorach.

— To zupełnie tak samo jak nas żydów.

— Niezawodnie.

— A zatém mamy to wspólnego...

— Że nas nie wychowywano po polsku. Raz jeszcze dziękuję panu, żeś mnie namówił do powrotu do kraju i dałeś mi niezależne stanowisko. Zamilkła, rada że wypowiedziała to, co jéj na sercu ciężyło.

— Będziemy razem pracować,—rzekł wesoło Zyzma.

Młoda kobieta spojrzała na niego z obawą i żalem. Zmięszał się pod promieniami tego spojrzenia.

Twarz młodéj kobiety rozpogodziła się serdecznym uśmiechem radości. W uśmiechu tym musiała mieć jakiś czar, bo Zyzma nieco zbladł, przymknął oczy i zakłopotany spytał o Stasia.

— Bawi się z synkiem naszéj sąsiadki, z którą Sali zrobila znajomość. Sprytna dziewczynka ta pańska krewna, rządzi całym sklepem. I dobrze się stalo, że mieszka tuż obok mnie.

— Boję się, żeby nie była zbyt natrętna swoją miłością dla pani.

— Czyż można grzeszyć zbytkiem przywiązania.

— Można,—poświadczył cicho Zyzma.

Nastała cisza męcząca dla młodéj kobiety, ciężka dla Zyzmy.

Za chwilę otworzyły się drzwi, weszła Sali, prowadząc za rękę Stasia.

Chłopiec rzucił się do Zyzmy jak do starego przyjaciela, z którym się zawsze bawił.

— To i ona, idealna, szlachetna, wykwintna, była tak samo zaniedbana jak i ja,—rozważał mlody człowiek, wracając do domu. I te wielkie panie, które widuję we wspaniałych karetach, również wiedzą tyle co i ona... O ileż siostra Natana wyżéj od nich stoi.

Poszedł do domu, zamknął się, pochwycił książkę i czytać zaczął. Lecz cóż, uśmiech młodéj kobiety rozrywał jego uwagę, mącił mu myśli. Ten uśmiech szczery, serdeczny, czarujący.

Wieczorem wyszedł na miasto, kierując się do kamienicy, w któréj był jego sklep i mieszkanie „pani“ i Salki. Stanął na drugiéj stronie ulicy, spojrzał na otwartą bramę, rzucił okiem na trzecie piętro, lecz nie śmiał wejść. Bał się spojrzenia obawy i żalu.

— I do własnego sklepu, własnego mieszkania i mojéj krewnéj, jeżeli Sali ma nią być, nie wolno mi wejść,—szepnął rozgniewany; a jednak nie wszedł. Powoli, oglądając się, poszedł daléj, zwracając ku jezuickiemu ogrodowi.

Nazajutrz rano napisał kartkę do Sali, prosząc ją, aby przyszła do niego.

Zdyszana wbiegła za chwilę.

— Niepotrzebnie wyciągasz mnie ze sklepu. Drzwi się do niego nie zamykają; mówię ci: tłok! Dwóch subiektów, cóż to jest; a pani przecie rady sobie dać nie może.

— Zdejm kapelusz i siadaj,—rzekł Zyzma, udając powagę.

— Tylko ci zapowiadam, że ja czasu nie mam,—odpowiedziała rezolutnie mała.

— Muszę ci powtórzyć, o czém pewno sama wiesz dobrze.

— Cóż, cóż takiego.

— Że jeszcze jesteś bardzo głupia.

— Czym co źle sprzedała?

— Sprzedajesz wybornie, tylko nic nie umiesz, niczegoś się nie uczyła.

— Mój kochany, nie zabieraj mi czasu takiemi głupstwami. Pani prosiła, abym zaraz wracała. W sklepie tłok, a ty mi zawracasz głowę mojém umieniem, albo nieumieniem.—Zawiązywała gorączkowo wstążki od kapelusza.—A wiesz, co ja ci powiem, że samo szczęście idzie ci w ręce. Chcesz pogadać o moim rozumie, to przyjdź do nas na górę, kiedy sklep będzie zamknięty. A teraz bądź zdrów. Wczoraj utargowaliśmy 50 guldenów, dziś utargujemy dwieście.

Wybiegła.

— Oto jest nasza dziedziczność,—zawołał Zyzma.—Wprawdzie to daje pieniądze, ale czy wystarcza, aby panować nad światem. Zaśmiał się smutno. Był jednak ucieszony z rezultatu rozmowy. Będzie miał prawo przyjść w południe do pani i przyjdzie z pewnością.

Czając się na ulicy jak poprzedniego dnia, dopadł na trzecie piętro.

— Pani niezawodnie domyślasz się powodu mego natręctwa,—rzekł nieśmiało, witając się.

— Sali mi coś wspominała,—odpowiedziała młoda kobieta poważnie.

— Idzie tu o nią, o jéj los, o jéj przyszłość.

— Aż tak daleko.

— Mam względem niéj obowiązki. Część majątku, jaki posiadam, zawdzięczam jéj zaufaniu do mnie.

— Dajesz jéj pan zatém odpowiednie dla niéj stanowisko i dobry kawałek chleba.

— A jednak wyrzucam sobie.

— Cóż takiego?

— Że dotąd nie pomyślałem o jéj wykształceniu.

— Do prowadzenia sklepu, ma ona aż nadto dużo wrodzonego sprytu. Świetnie rachuje.

— Niezawodnie; lecz nie chciałbym, aby całe życie była tylko kupcową.

— Więc czemże ma być?

— Chciałbym, żeby zrozumiała że jest polką—odparł spuszczając oczy.

Po krótkiéj chwili milczenia, która jednak była bardzo długą dla Zyzmy, przemówiła młoda kobieta.

— Nie pomyślałam nad tém, że każdy ma prawo korzystać z dobrodziejstw nauki. Tém więcéj jeżeli go stać na to. Przebacz pan.

Młody człowiek podniósł oczy i uśmiechnął się.

— Radbym dla niéj znaleść nauczyciela.

— A sklep?

— W południe mógłby przychodzić a Sali uczyć się wieczorami, lub przeciwnie. Ponieważ mnie tu nie wolno często przychodzić, ośmielam się prosić panią, abyś raczyła zwrócić czasem uwagę na młodą uczennicę i młodego prawdopodobnie jéj nauczyciela.

Wbiegła Sali.

— I cóż państwo uradziliście o mojéj głupocie, jak mówi Zyzma.

— To, moje dziecko, że będziesz miéć nauczyciela,—rzekła dobrotliwie pani.

— A sklep,—zapytała i w tém zapytaniu zeszla się z młodą kobietą.

— Będzie przychodził wtedy, gdy sklep będzie zamknięty.

— No to mi już wszystko jedno, byle ten nauczyciel nie był bardzo stary i nudny.

Pani i Zyzma uśmiechnęli się.

— A czego on mnie będzie uczył?

— Twój opiekun sobie życzy, abyś była polką i dobrą obywatelką.

— A cóżto, czyż nie jestem polską żydówką. A niechno tylko będę bogatą, to i obywatelką zostanę, jak zamąż pójdę.

Zarumieniona wyszła.

— Umysł téj dziewczynki szybko się rozwinie, jeżeli tylko nauczyciel nie będzie pedantem i potrafi ją prowadzić,—broniła swéj faworytki „pani.“

— Nie przypuszczała, że i żydzi mają prawo do wiedzy i cywilizacyi,—rozważał Zyzma w swoim pokoju i rozśmiał się gorzko. Pochodził, pomyślał, i nareszcie na bilecie wizytowym napisał parę wyrazów, prosząc młodego Topaza do siebie. Wysłany chłopiec pobiegł z listem do uniwersytetu szukać młodzieńca.

— Już to nasza dziedziczność, téj najstarszéj w cywilizacyi rasy, nie jest tak świetna,—powtarzał. Nie wiedział jednak i ani się domyślał, że parę wykrzykników młodego zapaleńca, parę z ogniem i namiętnością wypowiedzianych zdań przez piękną żydówkę, zrobiły tak szybko i gwałtownie przewrót w jego myślach, może właśnie skutkiem dziedziczności... Nie pomyślał w téj chwili o swoim ojcu: dziada nie znał. Nie zadawał sobie nawet pytań, jakie koleje ród jego przechodził. Jedno potrącenie myśli w szczęśliwéj chwili, sprzyjający zbieg okoliczności wystarczyły na zmianę kierunku jego usposobień. Musiały w nim tkwić szlachetne popędy i rozbudzone szybko się rozwijały.

Niecierpliwy, nerwowy, spodziewający się nadzwyczajnych rzeczy, zajechał młody Topaz jednokonką ze swym nieodstępnym przyjacielem przed dom mieszkania Zyzmy. Natan został na ulicy.

Drżącą ze wzruszenia ręką zadzwonił. Gospodarz sam mu otworzył, uścisnął za rękę wprowadzając do salonu.

— Dużo panu mam do zawdzięczenia,—rzekł zaraz na wstępie. Pan pierwszy obznajmiłeś mnie z tutejszemi stosunkami i wskazałeś drogę, po któréj iść pragnąłem.

— Tak,—odezwał się zarumieniony ze wstydu młodzieniec.

— Może pan, mam nadzieję, uwierzysz, że gdybym miał inne zasady, nie zmieniłbym ich skutkiem pańskich pogróżek.

— Wierzę i przepraszam,—szepnął Józef.

— Zapomnijmy więc przeszłości, żyjmy w zgodzie i przyjaźni.

— Ach panie, będzie to dla mnie zaszczyt i rozkosz—dodał Topaz ciszéj.

— Pięćset guldenów na wydawnictwo dziennika to za mało.

— Mamy trzysta własnych.

— I tyle nie wystarczy, — rzekł Zyzma z uśmiechem.—Gdy wam tylko zabraknie, przyjdź pan i powiedz. Tajemnica, o którą prosiłem, polega na tém, że chciałbym coś jeszcze zrobić za pomocą pisma, z którém jestem w stosunkach.

— Czyż to podobna?

— Podobna,—odparł protekcyjnym tonem Zyzma, pewien swéj wyższości.—Przekonasz się pan, a tymczasem mam prośbę do pana. Moja kuzynka, młoda dziewczyna mająca zaledwie pietnasty rok, jak w ogóle młode żydówki bez majątku, jest zaniedbana. Szukam dla niéj nauczyciela. A że przysiągłem jéj ojcu, że nie przyłożę ręki do zabicia w niéj wiary, radbym, aby nauczyciel był żydem. Misyą wyszukania go powierzam kochanemu panu, gdyż jest pewność, że będzie kształcona podług naszych zasad.

— Dziękuję panu za zaufanie,—odparł uradowany młodzieniec,—nauczyciela mam. Przyprowadzę go.

Zyzma napisał parę wyrazów.

— Oto adres uczennicy, trzecie piętro, wieczór. Lekcyę mogą się zacząć od dziś. W księgarni Wilda mam kredyt i proszę mnie nie żałować.

Zdumiony i zachwycony młodzieniec powstał, Zyzma mu podał adres.

— Byleby nauczyciel nie był pedantem. Z dziewczynki nie będzie uczona. Niech ją tylko wyprowadzi z upodlenia nicości kosmopolitycznéj. Pamiętasz pan mowę swoję, wypowiedzianą mi przy pierwszém poznaniu.

Młodzieniec nie odpowiedział.

— Z nauczycielem poznam się u uczennicy, lub wtedy, jeżeli będzie łaskaw przyjść odwiedzić mnie.

— Dobrze. Jesteś pan szlachetny człowiek,—rzekł z patosem młodzieniec.

— Dziękuję panu,—odpowiedział z uśmiechem Zyzma, odprowadzając swego gościa do przedpokoju.

— Zaimponowałem mu,—zawołał, gdy się drzwi zamknęły.—Mam nadzieję, że teraz nie będą robić poszukiwań w celu zdemaskowania mnie. Znalazłem się jak wielki pan, albo jak wielki bankier wiedeński. Chłopak był odurzony. Zkąd mi się wzięło tyle elegancyi i tyle pańskości.—Przypomniał sobie swoje przelotne stosunki na gieldzie i treść romansów niemieckich, w których wielcy panowie grają główne role.

Nareszcie przyszła mu na myśl „pani.“

— To ona, — szepnął, to ona przezemnie mówi i zarumienił się.

— Natan,—zawołał Józef, biegnąc do przyjaciela;— przysięgam ci, że to szlachetny człowiek. Kobiety mają dobre przeczucia: siostra twoja się nie omyliła. I gdyby nie to, że ma napisane na czole, iż jest żydem tak jak my, wziąłbym go za angielskiego lorda. Zkąd on to nabył, gdzie się nauczył?

— To już jest jego tajemnica,—odparł Natan.

— Dał mi świetną lekcyą, dla Daniela. Gdy nam tylko zabraknie pieniędzy na nasze wydawnictwo, prosił abym przyszedł, lub napisał. Upokorzył mnie parę razy,—dodał ciszéj,—i zemścił się za pierwszą moję napaść, pamiętasz?

— Pamiętam.

— Postąpiliśmy jak studenci.

— Nie żałujmy, jeżeli z tego tak dobre rezultaty powstają.

— Chodźmy do Daniela. Przyszłość naszego pisma zapewniona. Gdybyśmy upadli zaraz w pierwszém półroczu, narazilibyśmy się na śmieszność.

— Nie mogło się lepiéj stać,—poświadczył Natan.—Żal mi tylko,—pomyślał—Żanci, bo on o niéj widocznie nie myśli. Nie przyszedł...

— Józef,—odezwał się nieśmiało,—nie mów nic przed Żancią o szlachetności Zyzmy.

— A to dla czego?

— Ona już i tak jest zarozumiałą.

— Prawda, kobiet w najbliższe nasze sprawy nie należy wtajemniczać.

Rozpromienieni szli, żywo giestykulując rękami, aż póki nie znikli na dziedzińcu wielkiéj kamienicy.

(*d. c. n.*) *Sewer.*

Poselstwo hr. de Broglie w Polsce.

II. Hr. de Broglie w r. 1754; rola jego w sprawie Ordynacyi Ostrogskiéj.

Są niezaprzeczenie w polityce francuzkiéj, z ostatnich lat panowania Ludwika XV, dwa, odnośnie do spraw polskich, mimo siebie biegnące, ścierające się z sobą tu i owdzie, a czasem w stanowczym antagonizmie występujące prądy. Rok 1736 i traktat Wiedeński, zamykający dawne rachunki Francyi z Polską, w wiadomy, korzystny dla pierwszéj sposób; wyraźniéj jeszcze rok 1743 i śmierć kardynała Fleury, oddająca kierunek polityki zagranicznéj w ręce mężów nowéj szkoły, oto podwójny punkt wyjścia jednego z tych prądów. Prowadzi on zwolna, ale stale, do zerwania tradycyjnych węzłów, solidaryzujących niejako interesa francuzkie ze sprawami Rzeczypospolitéj, do zajęcia biernego i jak najbierniejszego, w obec tych spraw stanowiska, i do szukania na północo-wschodzie innych, dogodniejszych dla wpływu francuzkiego w téj stronie, punktów oparcia i innych, francuzkim interesom lepiéj jakoby odpowiadających kombinacyj. W pojęciu kolejnych następców starego kardynała, Polska staje się coraz bardziéj tą z rachuby wypuścić się dającą ilością, którą-by dzisiejszy minister republikańskiéj Francyi nazwał: *une quantité négligeable.* Utwierdza się z każdym dniem, w biurach gabinetu Wersalskiego, przeświadczenie, że dając Francyi Lotoryngią, dała jéj Polska wszystko, mniéj więcéj to, co dać mogła; że wolno ją skwitować z reszty, a w każdym razie nie warto poświęcać jednéj pistoli, ani kości jednego grenadyera, dla bardzo hypotetycznych, co najmniéj, zysków. Tém bardziéj poświęcenie tym wątpliwym, a w najlepszym razie, bardzo drugorzędnym korzyściom,

daleko ponętniejszych widoków, otwierających się na odległej północy, zda się bezpośrednim poprzednikom księcia de Choiseul, i jemu samemu prostą niedorzecznością.

W drugim atoli, ze wspomnianych wyżéj prądów, tkwi jednocześnie i przechowuje się, bądź co bądź, tradycya dawnéj, po ministrach *wielkiego króla*, oddziedziczonéj myśli politycznéj, téj myśli, która czyniła rozrzutnym i do ofiar pieniężnych skłonnym samego Colberta, która nie pozwalała żadnemu sejmowi, nad Wisłą czy Niemnem, obejść się bez białego, liliami osypanego sztandaru, zatkniętego wśród ścierających się z sobą stronnictw, niby godło zjednoczenia i pokoju, i za któréj sprawą na koniec, wycofywująca się z Polski Francya zostawiała za sobą niczém nie dającą się wypełnić próżnię. O obronie Rpltéj, o zabezpieczeniu jéj żywotnych interesów nie było i tu, trzeba to sobie powiedzieć raz na zawsze, i nie mogło być nigdy mowy. Opiekuńcza, na jakiémś sentymentalném pojęciu narodowych przeznaczeń oparta rola, z któréj uroku i majestatu pełną maską dawna Francya pokutuje dotąd w niektórych nadwiślańskich wyobraźniach, nie była nigdy czém inném, jak dobroduszną iluzyą naiwnych, na plewę dyplomatycznéj frazeologii znęconych umysłów. Jeżeli, co zda się zresztą dotąd wymagać stwierdzenia, mogła ona, w nowszych czasach,powstać na chwilę w majaczącym umyśle ukoronowanego lunatyka, tedy z wszelką stanowczością trzymać godzi się, że nie pokusił się o jéj podjęcie żaden z mężów stanu i dyplomatów francuzkich XVIII wieku, czy to w szeregach urzędowéj, czy nawet w luźniejszych kadrach tajnéj polityki i dyplomacyi. Tu i tam mogła być mowa tylko o obronie, w odmienny tu i tam sposób pojętego interesu francuzkiego.

Z tego tedy dualizmu wynikł i z oznaczoną przez tę jego charakterystykę doniosłością utrzymał się, w ciągu dwudziestu kilku ostatnich lat panowania Ludwika XV, rozdział ów politycznéj oryentacyi, którego następstwem stała się tak nazwana: „Tajemnica", albo „Sprawa tajemna królewska" (1), zjawisko należące niezaprzeczenie do najoryginalniejszych, pomiędzy temi, których pamięć zachowała historya, i które, dziwić się nie można, iż znęciło w ostatnich czasach kilku z najznakomitszych historyków francuzkich (2). Odnoszące się Rpltéj polskiéj zaprzątnienia nie pozostały wprawdzie od początku do końca jedynym przedmiotem zabiegów tajnego

---

(1) „*Le secret*", albo „L'affaire secrete du Roi". Tajemni korespondenci Ludwika XV używają jednego i drugiego wyrażenia.

(2) Dzieło księcia de Broglie poprzedzone zostało dwoma tomami, wydanemi w r. 1866 przez Boutaric'a, p. t. „Correspondence secrete de Louis XV.

wydziału kancelaryi królewskiéj; zachowały jednak zawsze pierwsze i naczelne w tych zabiegach miejsce, a były bezsprzecznie punktem wyjścia całéj téj nie tyle misterną komplikacyą zewnętrznego mechanizmu, ile czczością swoją wewnętrzną zdumiewającéj intrygi. Jeżeli zaś, mimo téj czczéj treści, dopomina się, bądź co bądź, ta intryga o miejsce szeroko wymierzone w historyi francuzkiéj, tedy i w polskiéj odmówić go jéj niepodobna; i dla tego pokusiłem się właśnie o przyswojenie szerszemu kołu polskiéj czytającéj publiczności najnowszych zdobyczy historyografii francuzkiéj na tém polu, oraz osobistych moich na niém poszukiwań „*Zamiarami choć nie skutkiem*“, i jeżeli nie osiągniętemi bezpośrednio rezultatami, to wywołanemi pośrednio następstwami, zaznaczyła się tajna dyplomacya Ludwika XV w naszéj przeszłości zbyt pamiętnie, abyśmy mogli nie znajdywać interesu w śledzeniu jéj działalności — nawet w jéj płochych i komicznych szczegółach.

Komiczną najsamprzód postacią wyziera już, z pierwszego późniejszych komplikacyj dyplomatycznych zawiązku, sam król, ten monarcha wszechwładny, grający w chowanego ze swoimi poddanymi i kreaturami. Jedno słowo z jego ust wystarcza, aby położyć koniec rozterce sprzecznych poglądów i antagonizmowi idących na wspak kierunków. Dyszel spoczywa w jego ręce i wóz potoczy się tam, gdzie ta ręka zechce, chociażby się miał stoczyć w przepaść. Ale ta sprzeczność, którą roztrzygnąć trzeba, ale *dualizm* ów jest właśnie w nim samym, w jego pozbawionym trzeźwości i jędrności potrzebnéj, chwiejnym i przeciwnemi a równoważącemi się wpływami miotanym umyśle. Jest w nim także, i przedewszystkiém nawet, ogromne lenistwo, wyrafinowanego i tém wyrafinowaniem spodlonego egoizmu owoc. Jest radykalna niemoc w obec tego wysiłku, jakiego wymaga każdy wybór. I wyobraźnia, posługująca się wrodzonym, instynktownym pociągiem do ubocznych dróg i krytych ścieżek, nastręcza temu królewskiemu mazgajstwu wybieg, który pozwoli mu nie wybierać. Oto da on, monarcha wszechwładny, byt materyalny niejako i rzeczywistość istnienia téj dwoistości natchnień, z którą rozprawić się nie jest w stanie. Dwa *słowa* spierają się w jego duszy: oba staną się ciałem. Wóz *urzędowéj* polityki pójdzie tą drogą, na którą ciągnie go przyczepiony doń *urzędowy* zaprząg. Ale obok będzie drugi wózek, na którym Jego Królewska Mość stanie drugą nogą i który obierze inną, *tamtą* koléj. Podróż, w ten sposób podjęta, nie będzie wolną od niewygody i kłopotu, jak dla dusz miękkich nie masz nic niewygodniejszego i kłopotliwszego nad potrzebę decyzyi. Byle dwa wozy nie rozchodziły się zbyt daleko, z narażeniem na szwank królewskiéj powagi, Jego Królewska Mość

uzna się zadowoloną. Od tego zaś lejce pozostają w królewskiém ujęciu.

A dokąd droga tym podwójnym torem i tym podwójnym cugiem? — „*Do potopu*“, zapewne; ale meta odległa i Jego Królewska Mość zsiądzie pierwéj z kozła. Do końca swego zawodu Ludwik XV zachowa swoje chwiejne, z ćwiczeniami cyrkowych ekwilibrystów współzawodniczące stanowisko na dwóch wózkach.

Pierwszém wcieleniem się w czyn „królewskiéj tajemnicy“ stają się, o ile wnosić można, około roku 1750, sekretne instrukcye, udzielone przez księcia Conti, w imieniu królewskiém, a za plecami gabinetu Warszawskiemu rezydentowi, panu Castera, instrukcye, mające na celu przygotowanie gruntu dla ewentualnéj kandydatury księcia do otwieranego przedwcześnie spadku po Auguście III. W myśli królewskiéj wszelako, jeżeli nie w pojęciu samego Conti'ego, kandydatura ta jest tylko narzędziem, środkiem do utwierdzenia hegemonii francuzkiéj nad brzegami Wisły, jak były nim wszystkie niemal kolejne kandydatury francuzkie, z wyjątkiem jednéj może tylko. Rys to charakterystyczny w historyi naszych stosunków z Francyą, a także w dziejach naszéj elekcyjnéj przeszłości: Walezyusz jest jedynym, ośmieliłbym się rzec, kandydatem, którego przeprowadzenie podejmuje Francya na seryo. Kwestya to tym razem przyzwoitego opatrzenia dla królewskiego brata; kwestya także oddalenia niepożądanych wpływów. I kandydatura ta zwycięża. O zwycięztwo innych, kolejnych kandydatur, chodzi gabinetowi Wersalskiemu o tyle tylko, o ile niezbędném być ono może do usunięcia Habsburskiego współzawodnictwa. Te za tym kardynalnym względem, zwycięzkie lub nie, służą one zawsze do czynnego na polu elekcyjném występu, do wywieszenia francuzkich znaków, do odbycia przeglądu rozporządzalnych sił, a przeto służą jednakowo dobrze,—i biskup Marsylijski, przerzucający w stanowczéj chwili z Neyburczyka na Sobieskiego całą wagę zdobytych wpływów i trzymanych w rezerwie środków pieniężnych nie ściąga na siebie żadnéj nagany.

Zgłaszając się, w r. 1750, ze swemi odnowionemi pretensyami, książe Conti występuje w charakterze reprezentanta téj tradycyi politycznéj, a i w roli rzecznika także mężów stanu staréj szkoły, takich jak de Noailles, Puysieux, St.-Florentin i inni, zeszłych z pola czynnéj akcyi, ale zachowywujących głos w radzie, używanych peryodycznie do uprzedzenia, wyrazem osobistéj opinii, narzuconych przez wypadki stanowczych postanowień i oświadczających się stale

za odnowieniem dawnego programu czynnéj w sprawach polskich interwencyi. W tym téż charakterze i w téj roli przypuszcza Ludwik XV swojego krewniaka do tajnego udziału w kierownictwie polityki zagranicznéj. W ten sposób téż tłómaczy się, zagadkowy z pozoru, fakt, że usunięcie się na bok, w roku 1756, książęcego organizatora i naczelnika tajnéj dyplomacyi nie tylko nie kładzie końca podjętym tą drogą zabiegom, ale nie sprowadza nawet najlżejszéj zmiany w dotychczasowéj ich oryentacyi. „Sprawa tajemna“ pozostaje „sprawą tajemną“, bo elekcyjne widoki, które stanowiły, w założeniu, jéj właściwy i jedyny cel, zeszły oddawna na drugi plan. O kandydaturze książęcéj niema już mowy w r. 1757, a i przed tą już datą głucho o niéj było, nawet w ścianach tajnéj kancelaryi dyplomatycznéj, i odzywając się z nią niefortunny kandydat, nie znajdywał echa u własnych swoich ajentów.

W tych warunkach, geniusz polityczny hrabiego de Broglie spotykał się w r. 1752 z szerokiém, w saméj rzeczy, polem działalności, na téj polsko-niemieckiéj, w środku samym Europy, rozpościerającéj się scenie, na któréj zjawiał się on z podwójnym mandatem reprezentanta urzędowéj polityki i powiernika osobistych królewskich poglądów. Kto wie, czy podejmując te poglądy na własną rękę, w myśl osobistych niewątpliwych skłonności, udzielając im tego jasno określonego kształtu, którego im brakło, wcielając je w konsekwentny, praktyczny, a interesom swojego państwa odpowiadający program, wiążąc je z ową tradycyjną przeszłością i znadując dla nich naturalne tym sposobem oparcie, jeżeli nie w samym gabinecie Wersalskim, to w jego najbliższym sąsiedztwie,—kto wie, czy nie byłby on zdołał przerzucić na drugą, na swoję stronę wahającego się między dwoma wozami środka ciężkości politycznéj. Na swoje, na nasze może także nieszczęście, nie pokusił się on nigdy o nic podobnego, a jeżeli pokusił się, to (cokolwiek podoba się trzymać o tém dzisiejszym jego francuzkim biografom) z użyciem środków, nie odpowiadających zgoła zamiarowi.

Pierwszą część dzieła księcia de Broglie, p. t. „*Le secret du Roi*“ zamyka wyczerpujący rozbiór projektu przymierza, z którym w końcu r. 1755, dyplomatyczny antenat dzisiejszego *leadera* francuzkich konserwatystów wracał z Wersalu do Drezna. Opracowany na podstawie dostarczonych przez samego hr. de Broglie wskazówek, a zawierający ofertę rocznego subsydyum, w kwocie 2,000,000 franków, w zamian za obowiązek dostarczenia posiłkowego korpusu wojska, w sile 6,000 ludzi i porozumiewania się z ministrami francuzkimi, w kwestyi wyboru cesarza Niemieckiego. Projekt ten jest częścią składową tylko innego, na obszerniejszą skalę zakreślonego i w cią-

3*

gu zeszłego już roku przez tegoż dyplomatę przedstawionego planu. Na czém polegał ten plan? Autor dopiero co wspomnianego dzieła rozwija z upodobaniem jego szczegóły. Skłaniają go nawet one do lirycznego prawdziwie porywu uwielbienia. Ale w tym względzie naśladować go nam trudno. Liryzm jest w tym przypadku co najmniéj zbytkiem, a znakomity pisarz francuzki ofiarą swéj nieznajomości naszych polskich stosunków. Hrabia de Broglie sięga w saméj rzeczy daleko i opracowana przezeń kombinacya zdumiewać może szerokiemi swemi proporcyami. Podejmuje on ni mniéj ni więcéj jak utworzenie olbrzymiéj federacyi obejmującéj Polskę z Saksonią, Prusy, Szwecyą, Danią i Turcyą, i oddającéj w ręce Francyi cały rozporządzalny, na téj połowie blizko kontynentu Europejskiego kontyngens sił wojennych. Powołana w ten sposób do życia liga państw północno-wschodnich, wypędza Rosyą z Europy, za pomocą sprzymierzających się w tym celu Tureckiéj lądowéj i Szwedzko-Duńskiéj morskiéj potęgi; oswobadza tém samém Prusy, otwierając im drogę do posiadłości angielskich w Hanowerze i do wypędzenia z kolei za morze niepożądanego na kontynencie sąsiada i zostawia nakoniec odosobnioną Austryą w obec Francyi i sympatyzujących z nią południowo-niemieckich państewek.

Owóż najpierw, można, w braku praktycznéj próby zastosowania, któréj nie doczekała się ona, rozumiéć wiele o teoretycznéj wartości téj kombinacyi, można jednak trzymać także, iż praktyczność jest jednym a nawet pierwszym z warunków, którym nawet z czysto teoretycznego stanowiska, podlegają polityczne pomysły. Domyślném uzupełnieniem projektu, z którym zglaszał się hr. de Broglie do Drezna, w końcu 1755 r., była odezwa powołująca wszystkie wchodzące w nim w grę czynniki do podjęcia przeznaczonéj im roli. Wiadomo w jaki sposób Fryderyk II odpowiedział na to wezwanie. Wiadomo także, iż wyprzedzający francuzko-saskie układy, anglo-pruski traktat z d. 18 stycznia, tę w układach tych radykalną zaprowadził zmianę, że w miejscu przeznaczonych jéj w założeniu losów, przekazał on Rosyi naczelną rolę w koalicyi, w któréj Francya sama znalazła się niebawem prostym figurantem. Te dyktowane samemu h-mu de Broglie i podjęte przezeń, aczkolwiek ze wstrętem, zabiegi celem zabezpieczenia rosyjskim wojskom swobodnego przez ziemie R-ptéj przechodu—oto udzielona z kolei improwizowanemu francuzkiemu mężowi stanu odpowiedź brutalnéj rzeczywistości.

Ale nie na tém koniec. Zwichnięty tym sposobem w samym zawiązku plan koalicyjny powinien że być więc odsądzonym od wszelkiéj politycznéj wartości? Nie, zapewne. Myśl jego zasadnicza, polegająca na sparaliżowaniu dźwigającéj się przewagi rosyjskiéj

z pomocą zgalwanizowanych do wspólnego wysilenia od północy i od południa sąsiednich potęg, myśl ta pozostaje jeszcze, bądź co bądź, przez kilka dziesiątek lat, na północno-wschodnim kontynencie europejskim, kamieniem węgielnym wszystkich, w duchu konserwacyjnym, staro-europejskim, podejmowanych, a tém samém antirosyjskich konstrukcyj politycznych. Kiedy atoli, uderzony tą myślą, zdumiewa się dzisiejszy historyk francuzki przed „samotną pracą" genialnéj inteligencyi, która natchnęła, w tym przypadku, „trzydziesto-dwuletniego brygadyera przekształconego w dyplomatę," trudno czytelnikowi lepiéj oswojonemu z treścią historyi polskiéj XVIII wieku powstrzymać się od uśmiechu. Trudno mu powstrzymać się od uwagi, że trzydziesto-dwuletni brygadyer wyręczonym się tu znajdywał „w swéj samotnéj pracy" przez długi już szereg poprzedników. Program polityczny h-go de Broglie z r. 1755, to od pierwszéj do statniéj litery, program zeszłowiecznych polskich *patryotów*, program tak dawny jak to stronnictwo samo, a więc już kilka dziesiątek lat mający za sobą.

W r. 1755, tak jak przedtém i potém, w programie tym, tak jak we wszystkich wcześniejszych swoich i późniejszych wystąpieniach, jest hrabia de Broglie prostym adwokatem pojęć i pomysłów politycznych właściwych temu stronnictwu; powołanym się znając do kierowania niém, ale przyjmując natomiast od pierwszéj chwili narzucone mu przez nie jarzmo i nie umiejąc już otrząsnąć się zeń do ostatka.

W ten nawet właśnie sposób tłómaczy się jałowość ostateczna jego politycznego zawodu i niełaska, którą, po pierwszéj szybko przemijającéj chwili wziętości, spotykają stale we Francyi jego plany i uparte za niemi orędownictwo,—nie wyłączając tych sfer, pośród których najprędzéj spodziewać się on mógł dla nich poparcia. Już pod datą 14 lipca, 1754 r., w memoryale przedstawionym przez powołanego do rady byłego ministra spraw zagranicznych, pana de Puysieux, jednego z owych wyżéj wspomnianych mężów stanu staréj szkoły, czytamy:

„Zalecić należy h-mu de Broglie, aby starał się widzieć rzeczy tak jak są i brać je za to czém są, wystrzegał się zaś wszelkich osobistych względów w zabiegach swoich, odezwach i stosunkach. Żałować przychodzi, iż zabrakło mu dotąd czasu" (po dwóch latach pobytu w Polsce!) „do zyskania w tak zwaném republikańskiem" (czyli patryotyczném) „stronnictwie polskiém takiego stanowiska, które by mu pozwalało kierować tém stronnictwem, zamiast przyjmować jego dyrekcyą" (1).

---

(1) Archiwum spraw zagranicznych. Dział polski V. 243.

Natychmiastowy, w starciu z rzeczywistością, upadek planu, podjętego, w r. 1755, z naprawy niefortunnego posła, zapieczętował na zawsze los tego dyplomaty—a może i po części los Polski. Stanąwszy na gruncie mniéj polskim, a przynajmniéj mniéj stronniczym, mógł był h-bia de Broglie dobić się jakowegoś kompromisu między temi interesami, których z urzędu swego był reprezentantem, a temi, obcemi, ale bliższemi na pozór jego serca, z któremi pobyt w Polsce zesolidaryzował go tak prędko. W obranéj przez się roli zapamiętałego zelanta polskiéj, na właściwy swym przyjaciołom patryotom sposób pojętéj *wolności*, doczekał się on tylko gwałtownéj reakcyi w przeciwnym kierunku, uosobionéj niebawem przez Choiseul'a, a prowadzącéj do absolutnego wyparcia się wszelkiéj wspólności interesów z Rpztą. Nauczono się niebawem, nietylko w gabinecie Wersalskim ale i po za tym gabinetem, patrzyć nań niby na jakowegoś polako-mana, gotowego do zaprzedania własnéj ojczyzny powziętym na obczyznie urojeniom i sympatyom. Wykrzywiano usta do uśmiechu, skoro tylko odzywal się ze „swymi polakami,“ i od téj chwili w rodzaj donkiszoteryi politycznéj przekształcona dyplomatyczna działalność chybionego męża stanu straciła tu, we Francyi, wszelką poważną wartość. Służyć mogła jeszcze przez lat kilkanaście do rozrywki zdziecinniałego monarchy, bawiącego się mistyfikowaniem własnych ministrów; nie była zdolną do innego użytku.

Niestety! gdzieindziéj, tam u nas, zachowywała ona jednocześnie daléj sięgającą doniosłość; stawała się narzędziem innéj, szersze rozmiary przybierającéj mistyfikacyi, téj, która przez te same kilkanaście lat wprzęgała bądź co bądź do francuzkiego woza jedną i to, nie wahamy się rzec, najlepszą połowę stojącego nad przepaścią kraju, z całym zapasem sił żywotnych, odwracając ją od innych, zbawczych może kolei!

Oto, w treściwéj analizie, rzetelna, o ile uchwycić ją byliśmy w stanie, charakterystyka téj specyficznéj kombinacyi żywiołów politycznych, z któréj wyszła i któréj wcieleniem niejako stała się późniéj dyplomatyczna działalność h-go de Broglie. Pogląd ten ogólny niezbędnym zdał się nam przed zamierzoném tu wniknięciem w dalsze szczegóły tego pełnego treści zawodu. Obraliśmy tym razem tę pamiętną datę, którą zapisała w jego historyi sprawa ordynacyi Ostrogskiéj. Nie mamy oczywiście zamiaru śledzenia całego przebiegu téj sprawy. Nie mamy téż téj potrzeby: w epoce ostatecznego jéj rozwiązania. hr. de Broglie opuścił dawno już Polskę; właściwy jego udział, w rozkładającym się na długie lata dramacie, bierze koniec z pierwszym aktem, który zamyka się tryumfem obrońców

konstytucyi i całości ordynackiéj: oddaniem zakwestyonowanych dóbr w administracyą. Tryumf to, jak wiadomo, krótkotrwały, i za przyczyną tego braku konsekwentności, który należy do charakterystycznych cech polityki naszéj w téj epoce, niechlubni wspólnicy księcia Janusza doczekują się rychłego odwetu. Z tą chwilą wszelako efemerycznego zwycięztwa, po stronie prawa i sumienia, wiąże się inny donioślejszy i trwalszemi następstwami zaznaczający się moment dziejowy: data jéj jest także datą, sprawa zaś sama ordynacyi głównem jeżeli nie jedyném narzędziem tego stanowczego przewrotu, który zmienił, w ciągu 1754 r. dotychczasowy punkt oparcia polityki dworskiéj. Ten więc moment zamierzyliśmy uchwycić tutaj. Jakoż nie łatwo znaleść moglibyśmy lepszą sposobność uwydatnienia rozmaitych czynników wchodzących w grę na wyznaczoném naszemu dyplomacie polu. Jednocześnie zaś nie moglibyśmy prawdopodobnie także spotkać się z drugim, w obranym przez nas kierunku, epizodem, odnośnie do którego dostarczone przez historyografią francuzką wskazówki pilniejszego od nas dopominałyby się sprostowania.

I.

Jakąż więc była w tym epizodzie rola h-go de Broglie i jaki jego w tymczasowym wypadków obrocie udział? Gdyby nam zdać się w tym względzie przyszło na świadectwo dzisiejszego literackiego spadkobiercy téj z synowską prawdziwie miłością na jaw przezeń z wiekowego zapomnienia dobywanéj chwały, rolę, o któréj mowa, uznać byśmy musieli za decydującą, udział zaś za prawdziwie opatrznościowy i zbawczy. Jeżeli mianowicie niebezpieczne, natychmiastowem i krwawem w tym razie starciem dwóch przeciwnych pośród Rzeczypospolitéj obozów grożące przesilenie zażegnaném być mogło, wahająca się zaś przez chwilę w stanowczym wyborze oryentacya polityczna gabinetu Saskiego skierowaną została w końcu na stronę stronnictwa patryotycznego, całą w tym względzie zasługę przypisać by godziło się szczęśliwemu, w ówczesnych działaniach h-go de Broglie, zbiegowi zręczności i sprzyjającéj fortuny.

Powiedzmy od razu, iż nigdzie może stała, w apologicznem ubarwieniu faktów, tendencyjność, którą mieliśmy już sposobność zaznaczyć w dziele p. t. „Le secret du Roi“ nie występuje jaskrawiéj przy zetknięciu z rzeczywistością prawdy historycznéj. Nigdzie może nie pokusił się znakomity autor o bezwzględniejsze zastosowanie przyswojonego przezeń z powieściowéj literatury, a do godności

metody historycznéj dźwigniętego procederu. Każden rezultat dodatni, z którego do apoteozy pośmiertnéj powołany dyplomata zdaje sprawę, w swoich urzędowych czy poufnych relacyach, staje się *eo ipso*, na zasadzie dobrowolnego przypuszczenia, rezultatem bezpośrednio przez tegoż samego dyplomatę osiągniętym—oto proceder, o którym mowa. Wszystkie, obok wyidealizowanego w ten sposób bohatera, w grę wchodzić mogące czynniki, wszystkie po za możliwym zakresem jego działalności przypuszczać się dające wpływy i domyślać się dające kombinacye znikają w cieniu. Pozostaje jedynie na placu zręczność i fortuna dyplomatyczna trzydziesto-dwuletniego brygadyera.

Owóż były takie postronne czynniki, były takie wpływy i kombinacye i był wreszcie także człowiek, którego osobistéj inicyatywie przypada tutaj, w podziale historycznych odpowiedzialności i zasług, część najszerszego podobno dopominająca się wymiaru; ale człowiekiem tym był kto inny. Trzydziestodwuletniemu brygadyerowi, tutaj jak i gdzieindziéj, nic, w ścisłéj historycznéj sprawiedliwości, przypisać niepodobna po za rolą dość wiernego, przyznać to godzi się, sprawozdawcy i nader wymownego, choć nie trafiającego do przekonań, orędownika cudzych poglądów i planów.

Nie mamy także na myśli, w téj chwili, legendowego a i historycznego potrosze bohatera téj epoki, hetmana w. k. Branickiego. Nie o nim mówimy, choć naczelna rola odegrana przezeń w sprawie, o którą chodzi, otacza imię jego, dotąd przez czasów i pojęć zmienność uszanowaną aureolą, i choć za piedestał do téj pomnikowéj sławy służące fakta nie podlegają w saméj rzeczy zaprzeczeniu. Opozycyjna postawa, zajęta od pierwszéj chwili przez hetmana, a zaznaczona późniéj z zupełną stanowczością przez zbrojne osadzenie dóbr ordynackich, wywarła niezaprzeczenie na cały przebieg wypadków spółczesnych wpływ pierwszorzędny i stała się skądinąd podstawą tego stanowiska, które mu dotąd—*i dopiero odtąd*—przypadło, w charakterze uznanego przez patryotów przywódcy. Pierwszego wszelako inicyatora rozwijających się późniéj własną siłą wypadków, głównéj choć ukrytéj sprężyny, która im pierwszego udzieliła impulsu, szukać należy gdzieindziéj. Przypisując ryczałtowo Czartoryskim chciwością jakoby natchnione rozdrapanie dóbr ordynackich, składa francuzki historyk tych czasów dowód nietylko niedostatecznego oswojenia się z wewnętrzną stroną naszych dziejów, ale nadto zdumiewającéj prawdziwie lekkomyślności w traktowaniu będących pod jego ręką i wyzyskiwanych jakoby przezeń źródeł. Znajdujący się w Paryzkiém Archiwum spraw zagranicznych bardzo szczegółowy inwentarz dokonanego tranzakcyą kolbuszowską po-

działu ustrzedz go mógł przed popełnioną w tym przypadku faktyczną pomyłką, a zarazem naprowadzić na poparty zresztą dostatkiem postronnych wskazówek domysł odnośnie do rzeczywistych względów, które kierowały tym razem polityką Familii. Nie ulega wątpliwości to, iż projekt podziału z jéj wyszedł naprawy. Świadczył by o tém dostatecznie, w braku innych dowodów, sam czynny i kierowniczy udział przyjęty przez obu braci Czartoryskich w przeprowadzeniu projektu i w podtrzymywaniu wywołanéj naokoło niego walki. Nie weszło bowiem nigdy do zwyczajów kanclerza w. l., czy też jego brata, przyjmować na swój rachunek cudze pomysły. Od początku do końca długiego i burzliwego zawodu, wszędzie gdzie są obaj, tam są z własnego natchnienia i własnéj woli, o ile przynajmniéj nie ulegają przemocy nie dających się zniewolić sił i despotyzmowi nie dających się ujarzmić wypadków. Tak też i tutaj. Ale zaiste nie Konstantynów ze swemi 36-ma wsiami stał się im, w tym przypadku, pokusą do podjęcia niechlubnego bądź co bądź a hazardownego dzieła. Zagadka, z którą się tu spotykamy, dopomina się innego wyjaśnienia. Znaleść zaś można to wyjaśnienie jedynie w dokładném objęciu téj sytuacyi, w któréj początek r. 1754 znalazł dwóch potężnych wspólników księcia Janusza. Wchodzimy już teraz w sam środek naszego przedmiotu.

II.

Była ta sytuacya, o któréj wspomnieliśmy, dziwnie fałszywą i niebezpieczną. Naprzeciwko organizującego się coraz potężniéj, pod znakami Potockich, i do energicznéj akcyi coraz jawniéj gotującego się anti-saskiego, *patryotycznego* (wedle samozwańczego przezwiska), albo republikańskiego stronnictwa, Familia pozostawała dotąd na czele partyi dworskiéj. Ale jednocześnie widziała ona swoje stanowisko u dworu zachwiane i podkopywane, w sposób coraz to groźniejszy, nowemi nurtującemi pod niém wpływami. Już w październiku zeszłego roku przewaga tych wpływów ujawniła się charakterystycznie przy formacyi trybunału Piotrkowskiego. Marszałkiem stanął Paweł Sapieha, wojewoda Smoleński, jeden z przywódców patryotycznego obozu; w podjętéj zaś własnemi siłami walce przeciwko téj nienawistnéj kandydaturze, nie doczekali się Czartoryscy żadnego poparcia ze strony dworu. Wysłany do Piotrkowa z ramienia królewskiego Jan Mniszech, podkomorzy w. l., okazał dbałość jedynie o uniknięcie niebezpiecznego z tryumfującymi Potockimi starcia. Prawdopodobnie dogadzał w tym względzie żo-

nie (1), nienawidzącéj Brühla i rozciągającéj nienawiść tę do Czartoryskich; prawdopodobnie jednak także nie zadawał gwałtu osobistym skłonnościom. Widzimy go w saméj rzeczy, kilkoma miesiącami późniéj występującego w Dreznie, z podjętém w imieniu hetmana w. k. orędownictwem za pogwałconemi prawami ordynackiemi w jawnym przeto antagonizmie z Familią. Tém więcéj téż zastanawiać musiał uczyniony w jego osobie wybór na przedstawiciela i obrońcę zesolidaryzowanych jakoby dotąd z Czartoryskimi, dworskich interesów w Piotrkowie.

Tego rodzaju zaś niespodzianek i mistyfikacyj nie liczyli już od niejakiego czasu Czartoryscy, obwiniać jednak nie mogąc o nie ani króla, ani samego Brühla. Był obok króla i Brühla ktoś, o kim coraz bardziéj przypuszczać było wolno, że sobie założył zrujnowanie zdobytego przez Familią kredytu. Był ktoś dążący coraz wyraźniéj do zajęcia jéj stanowiska obok tronu. Historya nie wydzieliła dotąd podobno téj postaci miejsca odpowiadającego temu, jakie trzyma ona w rzeczywistéj treści wypadków wypełniających kilkanaście ostatnich lat panowania Augusta III. Historya rzadko bywa sprawiedliwą dla tych, dla których fortuna nie okazała się przyjazną. Podobno téż tylko przyjaznego uśmiechu fortuny zabrakło temu, o którym mowa, aby doczekać się tych przeznaczeń, których dla siebie wyglądał. W starszym bracie podkomorzego w. l., Jerzym Mniszchu, marszałku nadw. kor. wszystko domyślać się każe człowieka nie pospolitéj zaiste miary. Dla ludzi pospolitych, stan wewnętrznych stosunków R-téj, w połowie XVIII wieku, jedną tylko zostawiał alternatywę, a mianowicie wybór między dwoma, na dwie równoważące się jeszcze połowy dzielącemi społeczeństwo obozami. Można było być z Potockimi; można było trzymać się Czartoryskich; trzeba było być tu lub tam. Zięć pierwszego ministra saskiego pokusił się o wybór inny. Rola podrzędna nie odpowiadała jego temperamentowi, ani téż jego ambicyi. Tém samém nie widział on dla siebie miejsca po stronie Czartoryskich, gdzie obok dwóch braci nie mogło być mowy o innéj roli. Przerzucenie się na drugą stronę ponętniejsze z pozoru otwierało widoki. Pierwsze miejsce było tu jeszcze do wzięcia. Ani w wojewodzie Bełzkim, ani w jego współzawodniku, wojewodzie Smoleńskim, nie znalazło stronnictwo patryotyczne materyału na wodza. W hetmanie w. k. znajdowało ono dotąd pogrążonego w sybarytyzmie i do czynnéj roli mało pochopnego wygodnisia. Ma się rozumiéć jednak o porzuceniu klamki dworskiéj, o poświęceniu stanowiska okupionego wstrętnym aliansem z rodziną grafów z Bryle-

1) Zamojskiéj, siostrze kanclerza w. k.

wa, nie mógł myśléć Mniszech. Nie jemu była droga do patryotów ale im do niego. Chwytał się on innego zgoła kompromisowego środka. Pożądane zbliżenie się do Potockich przedstawiało mu się w kształcie nowéj kombinacyi żywiołów politycznych, w skład któréj weszłyby z luźnéj swéj dotychczasowéj aglomeracyi, przez rozbicie pseudo-republikańskiego obozu, wyswobodzone atomy, a któréj on byłby duszą. Na czele takiego związku, rozporządzając temi środkami, które dotąd dawało Czartoryskim ich stanowisko u dworu, a nie mając Potockich przed sobą, mógł on w saméj rzeczy wszystko. W tym téż kierunku pracował usilnie. Do wciśnięcia się klinem w dość luźną linją bojową republikańskich szeregów, znajdywał on gotowe i wyborne narzędzie w owéj wspomnianéj już nieprzyjaciółce Czartoryskich, jednéj z najruchliwszych pomiędzy politykującemi niewiastami tego czasu, latającéj bez przestanku od męża swego do szwagra, od tego ostatniego do pana de la Fayardie francuzkiego rezydenta, (który zastępował w Warszawie bawiącego przy Drezdeńskim dworze pana de Broglie), śmiałéj i zręcznéj podkomorzynie w. l.

W pierwszéj połowie grudnia, 1753 roku, robota była już dość daleko posuniętą. Potoccy słuchali bez wstrętu komunikowanych im przez podkomorzynę oświadczeń, gwoli którym wszystkie wakanse rozporządzalne na przyszłym sejmie ich wyłącznym stać się miały udziałem. Nawzajem zaś, w myśl udzielanych sobie tą samą drogą insynuacyj, ustawali oni w dotyczasowych swych zabiegach celem skłonienia wahającego się hetmana do podjęcia stanowczego przeciwko dworskiéj polityce kroku. Krokiem takim mogło być w téj chwili, agitowane oddawna wyprawienie hetmańskiego posła do Konstantynopola. Poruszona już w pierwszych miesiącach pobytu h-go de Broglie w Polsce, wielkie nadzieje od owéj pory budząca pośród patryotycznego obozu i długo jeszcze nie ustępująca z porządku dziennego sprawa tego poselstwa służyć może w téj epoce za barometr w wymiarze właściwéj siły ciśnienia uzyskiwanéj, w każdym momencie, przez dworskie wpływy, pośród otaczającéj obóz patryotyczny atmosfery. W pierwszéj połowie grudnia 1753 roku barometr stoi bardzo wysoko. O Stambulskiem poselstwie niema już zgoła mowy. W poufnych swoich rozmowach z panem de la Fayardie, pani podkomorzyna oświadcza się z najżywszą sympatyą względem starosty Tłomackiego (Eustachego Potockiego), starosty Oświecimskiego (Adama Małachowskiego), Kazimierza Lubomirskiego—prawdziwych filarów patryotycznego stronnictwa, zdradzając zaledwie cokolwiek niechęci dla wojewodów Bełzkiego i Smoleńskiego. Jednocześnie zaś Czartoryscy nie zdają się już wchodzić w rachubę dworskiéj polityki.

Ci ostatni widzą nagle przed sobą wytworzoną tym sposobem groźbę zupełnego odosobnienia. W obec Brühla, który pilnie strzeżony przez zięcia, staje się coraz mniéj potulnym; w obec króla, który chłodnie widocznie, nie spotykający już na poprzek dróg swoich dawnego, królewską powagą popartego antagonizmu, i jakby nowy wiatr z téj strony czujący patryoci, podnoszą śmieléj czoło. Schyłek roku 1753 przynosi ich obozowi niepośledni przyczynek sił. Doprowadzony do skutku związek między młodym miecznikiem litewskim, Karolem Radziwiłłem, synem hetmana w. l., a córką słynnéj z wdzięku, dowcipu i zręczności, starościny Bolimowskiéj, Lubomirskiéj, rodzonéj hetmana Branickiego siostry, jednoczy, w zbliżonych tym sposobem dłoniach całą wojenną potęgę Rplitéj; wprowadza do patryotycznego obozu ogromny kontyngens Radziwiłłowskiéj na Litwie przewagi. Skojarzone, pod wpływem politycznych raczéj niż innych względów, stadło, o którém mowa, nie dopisuje wprawdzie w pierwszéj chwili położonym w nie nadziejom. Jeżeli mamy wierzyć złośliwym konfidencyom pana de la Fayardie, młody miecznik przyniósł nadobnéj oblubienicy, w liczbie podarunków ślubnych jeden z hulaszczego dotychczasowego życia wyniesiony, który zatruł pierwsze chwile małżeńskiego pożycia (1). W marcu już wszelako następnego roku widzimy młodą parę, a z nią i połączone przez nią rodziny w najlepszéj zgodzie. Aczkolwiek zaś opóźnione tak opacznie miodowe miesiące długotrwałemi być nie miały i rozwód rozwiązał ostatecznie losy źle snać dobranych małżonków (2), nie przeciął on już, jak wiadomo, politycznych węzłów, do których zadzierzgnięcia posłużył rozerwany związek.

Rzec można, iż obok Czartoryskich pozostaje w téj chwili jeden prymas, figura, któréj znaczenie, po za epoką bezkrólewia, zależném czyni organizacya Rplitej od osobistych przymiotów, piastującego tę godność reprezentanta. Owóż w r. 1754, reprezentantem tym jest Komorowski, człowiek, o którym francuzki rezydent ośmiela się donosić, iż upijając się codziennie z niejakim księdzem Colas'em, swoim powiernikiem, ponosi on częstokroć cielesne obrazy, w wywiązujących się z pijatyki rozprawach na pięści (1); w których to doniesieniach czyni się p. de Fayardie echem kłamliwych, jak to przypuszczamy chętnie, a przynajmniéj przesadzonych, ale smutne,

---

(1) De la Fayardie do p. de St. Contest; Warszawa, 4 marca 1753 r. Arch. Spraw Zagr. V. 240.

(2) Ob. wydaną w Niwie w ciągu r. 1883 korespondencyą miecznikowéj litewskiéj.

(3) de la Fayardie do p. de St. Contest; Warszawa 5 grudnia 1753 r. Arch. Spraw Zagr. V. 239.

(4) Tamże.

bądź co bądź, świadectwo stanowiących pogłosek. Położenie zdaje się obu braciom Czartoryskim tak niebezpiecznném, że przez chwilę myślą oni o pojednaniu się z Potockimi. jako o jedynym środku ratunku i wyciągają pierwsi rękę. Kanclerz w. l. pisze w tym sensie do krajczego koronnego (Stanisława Potockiego). Przynajmniéj Mokronoski zapewnia, że widział list w oryginale. Niejakiego zaś prawdopodobieństwa udziela temu szczegółowi zaznaczyć się niebawem dająca obecność krajczego w pierwszym szeregu uczestników Kolbuszowskiéj roboty.

Jakoż, w braku niedochodzącego do skutku porozumienia z nieprzyjacielską rodziną, ordynacya Ostrogska dostarcza wprędce przemyślnym graczom politycznym skuteczniejszego jeszcze narzędzia do rozbicia formującéj się przeciwko nim koalicyi. I w tym téż fakcie szukać należy prawdziwego sensu całéj téj gorszącéj awantury i prawdziwéj jéj genezy. Podział Kolbuszowski, to rozpaczliwe, ale genialnie obmyślane posunięcie pionów w partyi szachów, rozpoczętéj przez Mniszcha, marszałka nadwornego. Partya rozpocząć się może połowiczną porażką, tryumfem patryotycznéj opozycyi i wysuniętego teraz na jéj czoło hetmana w. k. Tryumf to dokonany z rozbitą już i zdezorganizowaną armią, a rozegranie ostateczne partyi wiadome. Obok krajczego koronnego zjawia się w Kolbuszowie Małachowski, kanclerz w. k., Jabłonowski, podstoli w. l., Sapieha, wojewoda mścisławski, sześciu Lubomirskich—ile imion, tylu pozyskanych przez familią wspólników i tylu także odstępców patryotycznego sztandaru. Między nimi zaś, wahający się długo i nieco wstydliwy, ale idący, bądź co bądź, na lep (na lep pojedyńczéj mizernéj wiosczyny Halczy, w województwie wołyńskiém!) jeden z najgorętszych dotąd zelantów patryotycznéj sprawy i francuzkiéj przyjaźni, uczestnik, na urzędowéj i na tajnéj liście, szafowanych przez hr. de Broglie gratyfikacyj: starosta oświecimski, Małachowski!

Nie koniec na tém jeszcze. Tranzakcya z d. 7 grudnia 1753 r. nie jest skończoném sama w sobie i zamkniętém dziełem. Stół to raczéj otwarty dla zgłaszających się apetytów. Dwa miesiące jeszcze nie upłynęły, a oto bierze miejsce przy tym stole jeden z dwóch dotychczasowych przywódców patryotycznego obozu (1): „*Le palatin de Smoleńsko a complétement tourné casaque*“, pisze podkomorzyna w. l. do pana de la Fayardie pod datą 13 marca 1754 r. Połakomił się wojewoda na kilka wsi oderwanych od działu wyznaczonego Czar-

(1) W pierwotnym akcie podziałowym, podług wykazu przesłanego gabinetowi Wersalskiemu pod datą 24 lipca przez Jakubowskiego (Archiw. Spraw Zagr. V. 243) figuruje, z pomiędzy Sapiehów, jeden tylko wojewoda mścisławski.

toryskim. Uległ też podobno, w tym przypadku, namowom żony, Sułkowskiéj z domu, pozyskanéj przez Familią. Dodajmy tłum drugorzędnych, drobnych uczestników, od szarego końca, bo zapisując imiona magnackich jedynie figurantów, w Kolbuszowskiéj biesiadzie, historya dopuściła by się jeden raz więcéj powszedniego błędu i powszedniéj, jedną połowę naszego społeczeństwa dosięgającéj krzywdy. Historyczny komunał o przedajności naszéj arystokracyi ma wartość większéj części historycznych komunałów. Ścisły, na prawdzie i rzeczywistości w tym względzie oparty wymiar odpowiedzialności dziejowych tę jedyną między *wielkimi* a *małymi*, pośród dawnéj Rzeczypospolitéj, zaprowadzić jest w stanie różnicę, że *wielcy* kiedy *biorą*, biorą więcéj, a *mali* mniéj. Zresztą zaś jedni i drudzy biorą równie często. Obok Czartoryskich i Lubomirskich cisną się naokoło Kolbuszowskiego stołu: Bogatkowie, Szydłowscy, Krajewscy, Dzierzkowscy, Ilińscy, Ołtarzewscy, Romanowicze, Ciesielscy, Sobiesczańscy, Bleszyńscy..... Nie zapominajmy pana Fajgla, burgrabiego krakowskiego!

Przemyślni amfitryonowie tego bankietu mogą teraz stracić swoje stanowisko u dworu, a pozostać potęgą. Mogą nawet patrzyć ze spokojem na otwierające się przed Potockimi wrota królewskiéj łaski. Najgorzéj na całym tym, przez niego samego w części przygotowanym, przewrocie, wychodzi Mniszech. Nadspodziewanie energiczny występ hetmana w. k. jego jest prawdopodobnie dziełem. Domyślamy się tego, widząc w robocie podkomorzego w. l. Ma się rozumiéć jednak, chodzi marszałkowi nadwornemu o zdobycie, w starym hetmanie, podatnego i posłusznego narzędzia. Aliści narzędzie obraca się w jego rękach. Ujawniają się w otoczeniu hetmańskiém nie dojrzane dotąd wpływy, które stają nieprzezwyciężoną zaporą na poprzek planom marszałka. Pani podkomorzyna wystrzegała się wprawdzie już dawniéj Mokronoskiego. W Starzeńskim zaś widział sam hr. de Broglie niewygodnego, drogę do owładnięcia umysłem hetmańskim zagradzającego partnera. Z jednym atoli ani z drugim nie liczył się dostatecznie marszałek nadw. Znalazł niespodzianie obu przed sobą, zdecydowanych do bronienia zazdrośnie niezależności politycznéj swojego pryncypała, stanowiącéj bezpieczeństwo własnego stanowiska. Osobiste zresztą skłonności Mokronoskiego czynią go niechętnym względem jakiegokolwiek zbliżenia się do Brühla i w ogóle nawet do dworu saskiego. Cokolwiek sądzić należy o ściągniętych nań późniéj podejrzeniach, zachowuje on z wszelką pewnością do ostatka pamięć dawniejszych swoich z Fryderykiem II stosunków, z epoki poprzedzającéj królewski zawód pruskiego bohatera. Niewątpliwie też tkwią w jego sercu niejakie, splą-

tane z temi wspomnieniami, węzły sympatyj i antypatyj. Brühl pozostaje dlań antypatycznym zawsze, a z nim razem wszystko, co wiąże się z osobą i polityką nienawistnego ministra.

Skądinąd, rola, w której ukazał się teraz hetman w. k., otoczyła go urokiem większym niż spodziewał się podobno Mniszech; udzieliła mu większego, niż sobie podobno życzył p. marszałek, pozoru siły moralnéj, energii i determinacyi i uczyniła to, że w połowie już otwartéj przeciwko Czartoryskim kampanii, nie mogło być mowy o innym wodzu. Rozbite dezercyą, pozbawione komendy odstępstwem szefów, zdezorganizowane i zdemoralizowane szeregi patryotycznéj armii, skupiły się, naturalnym, instynktem wiedzione, naokoło buławy hetmańskiéj. Mniszech znalazł się więcéj odosobnionym niż kiedykolwiek.

III.

A p. de Broglie? Określenie roli, odegranéj przez ambasadora Jego Arcy-Chrześciańskiéj Mości, prowadzi nas do wniknięcia w szczegóły same epizodu, którego uwydatniliśmy dotąd ogólny zarys. Owóż do połowy czerwca najpierw r. 1754, to jest przez pierwsze sześć miesięcy, w ciągu których wypadki biorą już swój obrót stanowczy, p. de Broglie, bawiąc nieprzerwanie w Dreźnie, pozostaje nieprzerwanie oddalonym także od wszelkiego w tych wypadkach udziału. Niemasz w całéj jego korespondencyi z téj epoki, bądź to urzędowéj, bądź tajnéj, najmniejszego śladu jakiéjkolwiek z jego strony czynnéj interwencyi w sprawie wstrząsającéj całą Rzecząpospolitą, chociażby tylko w formie wskazówki udzielonéj, przezeń działającym zdala od niego aktorom dramatu. Dość długo zresztą, na podziw długo, zdaje się młody dyplomata ignorować całkowicie tę sprawę. Z pierwszym dowodem obudzonéj w tym przedmiocie uwagi jego spotykamy się dopiero pod datą 26 marca 1754 r. w przesłaném przezeń, dość suchém zresztą i obojętnie traktowaném sprawozdaniu z rozmowy, na którą wyciągnął go przybyły do Drezna, z polecenia hetmańskiego podkomorzy w. l. Dnia 9 grudnia już, roku zeszłego, oświadczył hetman, w odezwie, wystosowanéj do Janusza Sanguszki, ostateczny zamiar swój sprzeciwienia się krzywdzącemu Rplitą podziałowi. D. 21 grudnia odwołał się w tym samym przedmiocie do senatorów i ministrów. D. 23 grudnia pisał do króla samego i odebrał odpowiedź, datowaną d. 14 stycznia 1754 r., z odłożeniem rezolucyi do *blizkiego* przyjazdu Jego Królewskiéj Mości na sejm (we wrześniu!)—którą to rezolucyą uprzedziły chorągwie hetmańskie, zajmując, pod wodzą Mokronoskiego, główne punkta dóbr ordynackich.

W marcu wre już w Rplitéj jak w garnku. Lubomirscy gromadzą siły przeciwko hetmańskim zastępom, odzywając się w nader dwuznaczny sposób do wojennych wspomnień chłopstwa ukraińskiego i zaczepiając Tatarów samych. Branicki pisze powtórnie do króla d. 5 marca, wyprawiając z listem podkomorzego w. l. Jednocześnie zjawia się w Dreznie kanclerz w. k. Małachowski, nagląc o rychlejszy przyjazd Jego Królewskiéj Mości. P. de Broglie tymczasem, zdaje się dotąd nie wiedziéć o niczém. W każdym razie trudno przypuścić o nim, aby domyślał się prawdziwéj doniosłości obojętnie przez się do wiadomości przyjmowanych i milczeniem w korespondencyi z dworem pokrywanych zdarzeń. Widać go zaprzątniętego układaniem rebusów politycznych z posłem pruskim Malzahnem, który żartuje sobie potrosze z dyplomatycznego neofity, wyciągając go na słowa. Nawet rozmowa z podkomorzym w. l. nie otwiera mu oczu. Przywieziona przez tego ostatniego wiadomość o przypisywanéj Czartoryskim intencyi odwołania się do interwencyi rosyjskiéj znajduje go niedowierzającym. Nie podlegający wątpliwości fakt oderwania się od dotychczasowego związku z Francyą i z protegowaném przez nią stronnictwem kilku pierwszorzędnych osobistości trafia w nim na łatwo pocieszającą się filozofią. Wojewoda smoleński da się może jeszcze nawrócić. Wojewoda lubelski, Lubomirski, nie budził nigdy zaufania. Potrzebniejszą zresztą, dla dobra stronnictwa patryotycznego i francuzkich interesów, jest żona wojewody; téj zaś poseł francuzki mieni się zawsze pewnym, dając do zrozumienia, iż utwierdzają go w téj ufności osobiste, bardzo przekonywające względy. Z lekceważeniem połączony optymizm ten uwodzi tak dalece samego ministra spraw zagranicznych, pana de St. Contest, że w wyprawionych pod datą 26 maja szczegółowych instrukcyach ministeryalnych, odnoszących się do blizkiego sejmu, sprawa ordynacyi nie znajduje zgoła miejsca. Wypadki posuwają się jednak naprzód. Podkomorzy w. l. wyjechał z Drezna w ostatnich dniach marca, zadowolony, na pozór przynajmniéj, z rezultatu swojéj misyi. Uprzedził go wszelako wyprawiony do hetmana kapitan Daupitz z nowym listem królewskim, zalecającym natychmiastową ewakuacyą ordynacyi. Jednocześnie zaś Brühl, do którego hetman był się także odezwał, pod datą 6 marca, wystosował odpowiedź we właściwym sobie, mięszaninę ironii i lekceważenia stanowiącym stylu. Nie mógł—brzmiała uszczypliwa proza saskiego ministra—wybrać hetman lepszego apologisty od tego, którego znalazł w podkomorzym w. l. Odnośnie wszelako do zbrojnego zajęcia dóbr ordynackich najdzielniejsze apologiczne usiłowania musiałyby pozostać bezskutecznemi. Co się zaś tyczy wymiaru odpowiedzialności,

ta zdaje się przypadać, na prawie równego podziału, obu stronom, które obie zgrzeszyły (1).

Nie mógł nawzajem Brühl dopomódz lepiéj Mokronoskiemu. Krew zawrzała w starym hetmanie.

„Król, który jest moim panem“, pisze on na odlew, pod datą „8 kwietnia, „nie użył by, przemawiając do mnie, więcéj imponującego tonu. Odzywasz się W. E. o podkomorzym w. l., jak gdyby postępowanie moje potrzebowało apologii..... Chcę być przekonanym, „iż W. E. podpisałeś ten list bez przeczytania go..... zresztą wypada „mi nadmienić, iż nie otrzymałem dotąd, w przedmiocie, o który chodzi, ani jednego poważnego (sic! „*sérieuse*“) pisma od W. E., co „mnie skłania do wniosku, że W. E. nie chcesz sobie zadać w tym „względzie należytego trudu, albo téż nie jesteś w możności dostarczenia poważnych argumentów w obronie protegowanych przez „się osób (2).

Nie posuwa się przecież Branicki aż do jawnego nieposłuszeństwa, w obec kategorycznie wyrażonéj woli królewskiéj. W ostatnich dniach kwietnia rozkwaterowane w ordynacyi chorągwie otrzymują rozkaz wymarszu. Mokronoski zostaje wszelako w Dubnie, z wystarczającą do zabezpieczenia fortecy załogą. A przytém i sama ewakuacya sąsiednich miejscowości jest więcéj pozorną, niż rzeczywistą. Naciśnięty hetman uciekł się do wojennego fortelu, pierwszego i ostatniego podobno w jego militarnym zawodzie! Ruszone z miejsca chorągwie nie wracają na dawne swe stanowiska, ale zatrzymują się w pobliżu. Jakkolwiekbądź jednak, w wytężonéj pierwéj i do groźnego jakoby kryzysu nakłonionéj sytuacyi, objawia się chwilowe uśmierzenie. Przyczynia się do tego zwrotu postawa Rosyi, będąca ze swéj strony następstwem zajętego przez Prusy stanowiska. W marcu jeszcze nosili się Czartoryscy głośno z groźbą konfederacyi, zawiązanéj pod opieką północnéj aliantki. Kilka demonstracyjnych poruszeń, nakazanych pruskim korpusom, konsystującym na Szląsku, wystarczyło, w połączeniu z jednèm i drugiém odezwaniem się rezydującego w Warszawie pana Bénoit, do powściągnięcia tych zapędów. W pierwszych dniach maja rezydent rosyjski Gross, dawał się już słyszéć z oświadczeniami ścisłéj neutralności, od przestrzegania któréj nie mogła być odwróconą cesarzowa, w obec czysto domowéj sprawy, jak chyba uprzednią interwencyą którego z ościennych mocarstw.

---

(1) Drezno, 30 marca 1754 r.; kopia. Arch. Spraw Zagr. V. 243.

(2) Z Tomaszowa; kopia. Tamże. V. 240.

Uspakajające o takowym wypadków obrocie wiadomości nie pozostawały obcemi gabinetowi francuzkiemu. Otrzymywał on je wszelako wyłącznie za pośrednictwem bawiących w Warszawie sekretarzy poselstwa, panów Gérult i de Linan, chwilowych zastępców zmarłego nagle, w dniu 4 kwietnia, pana de la Fayardie. Hr. de Broglie pozostawał jeszcze w Dreznie, a przez śmierć swego Warszawskiego kolegi utracił ten nawet, dość luźny, ze sprawami Rzeczypospolitéj związek i ten, dość słaby stopień dyplomatycznego, względem tych spraw czucia, jakie pierwéj były jego udziałem. W Warszawie znajdujemy go dopiero w połowie czerwca, uprzedzającego o kilka dni tylko swojém przybyciem przyśpieszony przyjazd królewski.

(*dok. n.*) *Kazimierz Waliszewski.*

Z WYCIECZKI PO GALICYI.

WYCIECZKA PIERWSZA.

Zakład Drohowyzki.

Juliuszowi Starklowi, na pamiątkę pobytu w Drohowyżu posyła autor.

I.

W niedzielę d. 29 czerwca r. 1884, wyjechałem z ziemi Żydaczowskiéj do miasta Stryja. Konie szły wolno, wózek ledwie toczył się w błocie, we wszystkich zaś wklęśnięciach stała jeszcze woda. Ślady ogromnéj powodzi, która przed kilku dniami, nawiedziła była większą część Galicyi, spotykały się na każdym kroku. Tu mały strumyczek, którego w zwykłe lata wśród gęstych traw nawet nie widać, podniósłszy się nagle do wysokości trzech i czterech metrów jak o tém świadczą znaki na drzewach przydrożnych, zabrał z łąki wszystko siano, zalał ogrody, podtopił pola niżéj położone; tam większa rzeczka pozrywała tamy i młyny popsuła, daléj rzeka Stryj z Karpat wypływająca, i nazywana według miasta, które rozsiadło się na jéj lewym brzegu, zalawszy pasze, spędziła z nich tysiące wołów, które rycząc, szukają teraz pożywienia na ugorach. Gdzie niegdzie rozhukane bałwany pozabierały domy i bydło potopiły; nie obeszło się także bez ofiar z ludzi, chociaż tych, stosunkowo, było jeszcze najmniéj. Na drogach prawie wszystkie mostki są popsute, a zwir, którym szosy wysypujemy, ulewą spłukany, leży teraz w rowach.

Zboża i rośliny pastewne woda do ziemi przybiła, gniją; wieśniacy trzymając na sznurach krowy i cielęta, pasą je nad rowami, gdzie z pod namułu dobywają się wierzchołki trawy zielonéj; po wsiach, przez które przejeżdżam, kobiety i dzieci stoją przed zagrodami smutne, wystraszone, i wzrok ku niebu zwracają, na którém ukazują się nowe chmury, zwiastujące nową ulewę a może i nową

powódź. Przed dwoma laty, w miesiącu sierpniu, tak samo ta okolica wyglądała. Dziś dotknęła nas klęska nie mniejsza od tamtéj. Grom po gromie w nasze piersi bije, a pomoc znikąd nie nadchodzi.

W samém mieście Stryju nie znalazłem większych śladów powodzi. Z dzielnicy niżéj położonéj, po któréj przed kilku dniami w łodziach pływano, woda całkiem już ustąpiła, a koszary wojskowe, o których przed kilku dniami mówiono we Lwowie i w Krakowie, że popłynęły do Dniestru wraz ze śpiącymi w nich żołnierzami, znalazłem nietknięte na dawném miejscu. Ponieważ leżą one na małym pagórku, wyżéj niż miasto, przeto wpierw niż koszary, musiałby zginąć cały Stryj, liczący blisko 14,000 mieszkańców. Na szczęście w tym roku nie mieliśmy jeszcze takiéj katastrofy, a chociaż inżynierowie oddawna ją przepowiadają, rzeka bowiem od dłuższego już czasu z całą gwałtownością o ten brzeg uderza, na którym miasto leży, mimo to jego mieszkańcy śpią dotąd spokojnie, pocieszając się nieocenioném polskiém „jakoś to będzie!“ i nie myślą o ujęciu w karby natarczywéj sąsiadki.

Minąwszy miasto, podjechałem do budynku kolejowego, który wy nazywacie po niemiecku „banhofem,“ my po słowiańsku „dworcem.“ Choćbyście nie chcieli, musicie przyznać, że przynajmniéj pod tym jednym względem, wyprzedzili was galicyanie. Pociąg lwowski stał już przed peronem, po którym uwijali się panowie we frakach i białych krawatach. Z sali I klasy dolatywały liczne głosy, same męzkie, przeplatane śmiechem i strzałami szampana. Pierwszy, któregom zapytał, coby to znaczyło, odpowiedział, że w dniu tym przyjechał do Stryja marszałek krajowy, dr. Mikołaj Zyblikiewicz, i po zwiedzeniu okolicy powodzią dotkniętéj, jé teraz obiad, który miasto dało na cześć jego.

Przed samą 5-tą wyruszyliśmy w kierunku Lwowa. Ja, jako zwykły śmiertelnik, znajdowałem się gdzieś na przodzie, tuż za lokomotywą; marszałek jechał w wagonie salonowym, na samym końcu pociągu. Na małéj stacyi Bilcze-Wolica, na któréj pociąg stoi ledwie trzy minuty, postrzegłem kilkunastu włościan z minami wystraszonemi, jak cwałem biegnąc, pytali służbę kolejową o marszałka. Byli to mieszkańcy włości okolicznych, którym woda wszystko zabrała. Usłyszawszy, że pierwszy dygnitarz autonomiczny będzie tędy przejeżdżał, śpieszyli teraz do jego wagonu korni, przestraszeni, aby go o pomoc prosić. Cóż jednak mógł dla nich uczynić naczelnik kraju, stojącego prawie nad krawędzią bankructwa? Musiał im tylko przyrzec, że zrobi wszystko, co będzie mógł, i ja też ani chwili nie wątpię, że p. Zyblikiewicz ma najszczersze chęci. Ale możeż on

wiele zdziałać wśród stosunków, w jakich się znajdujemy? Tu same dobre chęci nie wystarczają, tu potrzeba głównie trzech rzeczy, mianowicie: pieniędzy, pieniędzy i jeszcze raz pieniędzy!

Niedaleko miasteczka Mikołajowa, leżącego mniéj więcéj na połowie drogi między Lwowem a Stryjem, płynie król strumieni galicyjskich, Dniestr. Nie jest on tu jeszcze szeroki, ale teraz, w pierwszych dniach po powodzi, przedstawiał się jak Missisipi. Od jednego do drugiego brzegu, było kilka kilometrów. Fala jego nie była teraz szumiąca, woda bowiem od dni kilku stale już opadała, ale mimo to mętne jéj tonie były ponure, groźne, złowrogie, gdyż pod niemi znajdował się całoroczny plon tysiąca ludzi, którzy teraz są na nędzę skazani. Gdzie niegdzie widać było drzewa, całe olepione sianem, które woda niosła; w miejscach płytszych, zwłaszcza na wyżynach, bieliły się żyta i pszenice, które od dni kilku moknąc, gniły w namule. Wioska Rozwadów, na lewym brzegu Dniestru, boleśny przedstawiała widok. Wszystkie ogrody, tuż nad rzeką położone, mające ziemię nadzwyczaj urodzajną, były do szczętu zniszczone. Czego ani woda nie zabrała, ani namuł nie zwalczył, to gniło od zbytniéj wilgoci. Wiele chat stało jeszcze w wodzie; kilka było przyczepionych do drzew sznurami i łańcuchami, słabsze popłynęły z falą...

Maszynista, tknięty niemile tym widokiem, dał ostrogę lokomotywie, i pociąg stanął wkrótce na stacyi w Mikołajowie.

W kilka minut późniéj jechałem do Drohowyża. Co to za miejscowość? Podróżny, śpieszący ze Lwowa ku górom stryjskim, widzi w pobliżu stacyi Mikołajów, w miejscu odludném, jakby na pustkowiu, gmach rozległy i kilkopiętrowy, którego przeznaczenia pewnie się nie domyśli, jeżeli kto z jadących nie zaspokoi pod tym względem jego ciekawości. Jest to zakład dla sierot i starców, ufundowany przez hr. Stanisława Skarbka, który dla niego przeznaczył olbrzymią swoję fortunę. Ponieważ leży on na terytorjum wsi Drohowyża, przeto w Galicyi nazywają go krótko zakładem Drohowyzkim. Gdyby to był zwykły dom przytułku, nie wieleby nas interesował, ale ponieważ piękna ta instytucya ma dla Galicyi znaczenie bardzo doniosłe, i jest prawdopodobnie unikatem na świecie, przeto zasługuje na to, by każdy, kto do nas przyjedzie, zapędził się aż do Drohowyża. Tym zaś, którzy się do nas nie wybierają, powiem o nim słów kilka.

Nim jednak z Mikołajowa zajadę aż do Drohowyża, ztamtąd zaś do zakładu samego, który leży o dwa kilometry za wsią, uważam za stosowne wspomnieć wpierw o fundatorze téj instytucyi, Stanisławie hrabi Skarbku, który nietylko jako filantrop, lecz także jako człowiek zasługuje na bliższe poznanie.

II.

Przed laty sześćdziesięciu, żyło w Galicyi dwóch rodzonych braci Skarbków. Hr. Ignacy był panem na Bursztynie; hr. Stanisław był panem na Rożniatowie. Pierwszy miał żonę i dzieci; drugi rozwiódłszy się z osobą, którą następnie poślubił znakomity komedyopisarz, hr. Aleksander Fredro, umarł bezpotomny. Pierwszy mimo życia wystawnego rządził się dobrze; drugi mimo wrodzonego skąpstwa, tak się był zaawanturował, że omało całego mienia nie stracił. Był czas, że ledwie nominalnie jeszcze coś posiadał. Gdy już tak źle z nim było, że nawet nie wiedział, jak z biedy wybrnie, napisał do brata, prosząc go o znaczniejszą pożyczkę. Hr. Ignacy odpowiedział mu równie krótko, jak dobitnie: „Ja o bankrutach nie chcę nic wiedzieć.“ Hr. Stanisław nie połknął téj pigułki, bo zerwał z bratem, lecz nie zwątpił o przyszłości. Zamiast rozpaczać, zaczął przemyśliwać nad sposobami wybrnięcia z biedy, a że z natury miał spryt i zamiłowanie do spekulacyj, więc postanowił puścić się na tę drogę. Rząd austryacki sprzedawał podówczas w Galicyi rozmaite dobra kameralne. Hr. Stanisław, wytężywszy wszystkie siły, zbiera trochę gotówki i kupuje od skarbu klucz Drohowyże, składający się z 9 sporych wiosek. Zapytacie może, jakim cudem mógł dobra bez pieniędzy kupować? Odpowiem, że u nas, w Austryi, człowiek obrotny a z nazwiskiem, mógł przed laty sześćdziesięciu, a więc za rządów ultraabsolutnych, nie jednego cudu w tym kierunku dokazać. Ponieważ przypuszczam, że czytelników waszych, będą interesowały nawet dawniejsze nasze stosunki, przeto na chwilę od przedmiotu odstępując, wplotę kilka prawdziwych szczegółów o naszych dobrach narodowych, które rząd austryacki przez długie lata nie powiem sprzedawał, lecz darowywał.

Po zajęciu Galicyi, rząd objął w posiadanie bez liku rozmaitych majątków. Ile ich właściwie wtedy było, trudno to dziś wykazać; w każdym atoli razie musiała ich być moc wielka, skoro dziś nawet, mimo iż od wieku ciągle je sprzedawano, skarb tyle ich jeszcze w Galicyi posiada, że roczny z nich dochód wynosi 269,000 guldenów, kiedy tymczasem dobra rządowe, we wszystkich innych prowincyach monarchii razem wzięte, nie przynoszą rocznie nawet 150,000 guldenów. Trzeba przytém wziąć na uwagę, że administracya w dobrach kameralnych jest zła i droga. Gdyby nie to, same majątki galicyjskie przynosiłyby rocznie najmniéj 500,000 guld. Za rządów absolutnych, ilekroć minister skarbu potrzebował pieniędzy, sprzedawał natychmiast kilkadziedziesiąt wiosek. Ostatnią taką operacyą, prze-

prowadzono już za mojéj pamięci, i do tego w erze konstytucyjnéj, gdy namiestnikiem Galicyi był hr. Agenor Gołuchowski. Wtedy rząd sprzedał od razu kilka wielkich kluczów, między temi dobra Podbuż, Medynice, Jaworów, których znaczną część kupił zmarły namiestnik z żydami Kolischerami w spółce. Że nowi nabywcy zrobili świetny interes, zarabiając nierównie więcéj niż grosz na groszu, to się samo przez się rozumie.

Przed laty kilkudziesięciu, sprzedaż dóbr kameralnych odbywała się w sposób następujący: nabywca składał z góry, tytułem zaliczki. tylko drobną część z ceny kupna, najwyżéj 10 od sta, poczém majątek odbierał natychmiast w posiadanie faktyczne. Resztę był obowiązany spłacać ratami, w ciągu lat kilku, czasem nawet kilkunastu. Tak więc brał właściwie dobra za darmo, gdyż dochód z nich wystarczał mu na raty. Na potwierdzenie tych słów, przytoczę kilka prawdziwych przykładów.

W sąsiedztwie mojego ojca mieszkał szlachcic, który przed pół wiekiem kupił był od rządu znaczne dobra, dawszy na nie, jak według zwyczaju, tylko małą zaliczkę. Pewnego razu ojciec mój, przyjechawszy do niego, zastał go na ganku z miną wielce zafrasowaną. Co ci jest sąsiedzie?—zapytał.—„Gryzę się niezmiernie, gdyż jutro mam rządowi ratę uiścić, a nie mam pieniędzy.“

— Cóż więc uczynisz?—„Będę gryzł się i kłopotał dziś do północy, a jutro niech już rząd martwi się i przemyśliwa, jak pieniądze odemnie wydobędzie.“ W kilka dni po téj rozmowie, szlachcic pojechał do Wiednia, gdzie bez trudności uzyskał delatę. Za jednym zachodem wyrobił sobie także pozwolenie na wyrąbanie lasów, znajdujących się w dobrach przezeń nabytych, poczém zobowiązał się resztę ceny kupna nie w ratach, lecz ryczałtem uiścić, jeźli rząd zato spuści mu z niéj znaczniejszą kwotę. Minister chętnie przystał na tę propozycyą, szlachcic sprzedał drzewo, i pieniędzmi uzyskanemi za same odpadki rząd w zupełności zaspokoił,

Pewien staruszek, mający dziś lat zblisko 80, który kłamstwem ust swoich z pewnością nigdy nie splamił, opowiadał mi temi słowy genezę swojego majątku:

— Kończyłem wtedy lat ośmnaście, gdy stryj mój, którego miałem być spadkobiercą, kupił od rządu dobra X. Po podpisaniu kontraktu, przekonał się, że majątek miałby wartość potrójną, gdyby z nim udało mu się połączyć las rządowy Y. który leżał tuż u granicy nowonabytéj włości. Stryj mój udaje się tedy do ministra z prośbą, by mu ten las sprzedał. Z Wiednia przychodzi jednak odmowna odpowiedź. Wtedy stryj wzywa mnie do siebie, i kładąc przedemną sporą kiesę złotem napełnioną, w te słowa przemawia: „Wiész

żem chory, jedź zatém ty do Wiednia, daj tysiąc holenderskich dukatów i proś, by mi koniecznie las sprzedano.“ A komu mam dać te pieniądze?—zapytałem. „To ci powie nasz adwokat we Lwowie.“ Ponieważ stryj był człowiekiem dawnego autoramentu, nie znoszącym opozycyi, przeto odpowiedziałem krótko: dobrze, i pieniądze zabrawszy, ekstrapocztą natychmiast odjechałem. We Lwowie adwokat napisał mi podanie do ministra, które po przyjeździe do Wiednia, wręczyłem mu osobiście. W kilka dni przychodzę po odpowiedź. Minister kazał mnie wprawdzie wpuścić, wszelako przyjął mnie dosyć szorstko, oświadczając zaraz na wstępie, że nie życzy sobie, bym go takiemi interesami więcéj nudził, gdyż rząd nie myśli teraz żadnych lasów sprzedawać. Skonfundowany ust nie otworzyłem, tylko oczy przymknąwszy, rzuciłem na stół 1,000 holendrów obrączkowych, poczem cwałem z kancelaryi wybiegłem. Tego samego dnia popołudniu odszukał mnie woźny ministeryalny i oświadczył, że jego ekscellencya pragnie mnie natychmiast widziéć. Chociaż z duszą na ramieniu, bo nuż mnie każe uwięzić, poszedłem jednak natychmiast za moim przewodnikiem, cicho pacierz odmawiając. Jakież atoli było moje zdziwienie, gdy przed ministrem stanąwszy, zamiast spodziewanego marsa, ujrzałem oblicze łagodne, uśmiechnięte, słodkie. Poprosiwszy mnie siedziéć, w te słowa przemówił: „Sprawie, z którą pan tu przyjechałeś, cały dzień poświęciłem. Rząd w rzeczy saméj lasów teraz nie sprzedaje, niedawno w tym kierunku zapadła uchwała na radzie całego gabinetu, ale za to co winien zwraca dobrowolnie. Przejrzawszy akta, przekonałem się, że las Y. należał właściwie zawsze do majątku X. i tylko przez omyłkę nie został pańskiemu stryjowi oddany. *Ja, mein Herr, das war nur ein Formfehler* (1) dodał minister z naciskiem — który wysoki rząd nie omieszka naprawić. Jedź pan teraz do domu, i powiedz stryjowi, że las Y. wkrótce odbierzecie.“ Minister słowa dotrzymał. Nie upłynął miesiąc, a stryj mój dostał to za darmo, za co chętnie był by kilkadziesiąt tysięcy zapłacił.

Przytoczę jeszcze jeden przykład.

Przed laty 16-tu, gdy rząd przedsiębrał w Galicyi ostatnią operacyą z dobrami skarbowemi, jeden z moich dobrych znajomych, kupił w Karpatach niewielką wioskę, dając tylko 1,000 guldenów zaliczki. Wszystkiego miał uiścić ratami 10,000 guld. Nie zapłacił więcéj żadnéj raty, z wioski ciągnął rok rocznie od 1,000 do 1,500 guldenów, siedział w niéj lat 15, i dopiero w roku ubiegłym, rząd widząc, że z zatwardziałym grzesznikiem nie da sobie inaczéj rady,

(1) Tak, mój panie, to był tylko błąd formalny.

wyrugował go z majątku. W każdym jednak razie piętnastoletni właściciel téj majętności zrobił świetny interes, gdyż swój tysiąc odebrał z taką lichwą, o jakiéj dotąd nawet między żydami nie słyszano.

Oto sposób, w jaki mniéj więcéj, rząd sprzedawał niegdyś nasze królewszczyzny. Nie chcę jednak przez to powiedzieć, że tak samo korzystny interes zrobił hr. Stanisław Skarbek, kupując dobra Drohowyzkie. Być może, że ten miał większe trudności niż inni wszelako z drugiéj strony łatwo możemy przypuścić, że przynajmniéj w pierwszéj chwili nie potrzebował i on rozporządzać znaczniejszą gotówką, skoro dziewięć wsi nabył właśnie w epoce, gdy najmniéj miał pieniędzy.

III.

Hr. St. Skarbek kupiwszy klucz Drohowyzki, a było to w roku 1820, tj. wówczas, gdy gospodarstwa w Galicyi stały jeszcze na bardzo nizkim stopniu, nie poszedł za przykładem swoich sąsiadów, którzy tylko ziemię obsiewali, lecz puścił się natychmiast na pole rolniczego przemysłu. Najpierw postawił w Drohowyżu dużą gorzelnię, stojącą tamże do dnia dzisiejszego; następnie zaczął woły częścią brahą tuczyć, częścią na łąkach wypasać. Odtąd rok rocznie pędził całe ich stada do Wiednia, gdzie je po dobrych cenach przedawał. O ile mi wiadomo, Stanisław Skarbek był pierwszym obywatelem w Galicyi, który zrozumiawszy, że na trawiastych naszych gruntach, powinno się przedewszystkiém dużo bydła utrzymywać, zaczął w ten sposób szczęśliwie spekulować. Żydzi, patrząc na to okiem zawistném, pojechali za nim raz do Wiednia, i zmówiwszy się z tamtejszymi rzeźnikami do tego doprowadzili, że na targowicy nie chciał nikt kupić wołów Skarbka. Każdy inny byłby głowę stracił, tylko nie on. Znając doskonale ministrów, udał się do nich niezwłocznie, i tegoż samego dnia wieczorem miał w kieszeni konsens na własną rzeźnią. Nazajutrz rano zaczął sam bić woły i sprzedawać mięso po cenie znacznie niższéj, niż wtedy była w Wiedniu. Rzeźnicy przestraszeni, zbiegli się teraz z wszystkich stron do niego, i bez targu tyle mu za woły zapłacili, ile sam zażądał. Od tego dnia począwszy, żydzi galicyjscy respektowali hr. Stanisława Skarbka jak nikogo więcéj, bo téż nie było w kraju drugiego obywatela, któryby tak jak on umiał z nimi walczyć.

Gorzelnia i woły tak mu dopomogły, że nietylko powoli wypłacił należytość za klucz Drohowyzki i oczyścił swoję ojcowiznę, ale

w ciągu następnych lat 20-tu nabył jeszcze sporo innych majątków. W r. 1843, gdy fundował nieśmiertelną swoję instytucyą, posiadał już 37 wsi i 3 miasta, mianowicie Mikołajów, Rożniatów i Żydaczów. Wartość tych dóbr, z powodu że w większéj ich części są olbrzymie lasy, dochodzi dziś do poważnéj cyfry pięciu milionów guldenów.

Na kilka lat przed swoją śmiercią, która go w pamiętnym roku 1848 zaskoczyła, wniósł podanie do rządu, by mu pozwolono postawić we Lwowie gmach dla teatru polskiego. Ministeryum, a zostawało ono wtedy pod zwierzchnictwem znanego reakcyonisty, ks. Metternicha, odpowiedziało, że jedynie pod tym warunkiem da mu konsens na teatr polski, jeźli w swoim gmachu podejmie się utrzymywać równocześnie teatr niemiecki. Prócz tego żądało, by teatr polski miał rocznie tylko 110 przedstawień, reszta zaś, tj. 250 rocznie, miała przypaść niemieckiemu. Skarbek widząc, że celu zamierzonego inaczéj nie osiągnie, przyjął te uciążliwe warunki. Smutny ten stan rzeczy trwał aż do r. 1872, w którym to czasie, rząd czyniąc zadość opinii publicznéj, zwolnił nareszcie fundacyą Skarbkowską od obowiązku utrzymywania teatru niemieckiego. Ale dziwny ten stosunek, który trwał lat kilkadziesiąt, uszczuplił majątek fundacyjny o 300,000 guldenów, tyle bowiem pożarł przez ten czas teatr niemiecki. Od roku 1872 począwszy, we Lwowie istnieje tylko teatr polski. Niemiecki, pozbawiony dawnego zasiłku, zniknął na zawsze.

W Galicyi do dziś dnia żyją jeszcze ludzie, którzy pamiętają, jak Skarbek teatr budował. Z rozległych dóbr jego zwożono wszystek materyał. Długie szeregi wozów chłopskich transportowały drzewo, cegłę, kamień, gips i wapno, on zaś sam był od rana do nocy na placu budowy, sam cieślom na sztuki gwoździe wydawał, sam między robotników wódkę rozdzielał. Oszczędność jego graniczyła prawie ze sknerstwem. Znajomi jego zapewniają, że gości swoich nie częstował nigdy własném winem, którego po jego śmierci niemało w piwnicy znaleziono, lecz posyłał do pierwszego lepszego handlu po butelczynę lekkiego węgra albo austryaka, za którą płacił najdrożéj 50 krajcarów.

W czasie budowy teatru, nazwisko jego rozbrzmiewało już po całym kraju, jako jednego z pierwszych magnatów i obywatela wielce oddanego sprawom publicznym. Wtedy brat jego, hr. Ignacy, pan na Bursztynie, osądził, że nieźleby było, gdyby się zbliżył do dawnego bankruta, bo nuż by kolosalna tegoż fortuna przeszła w inne ręce... Ponieważ hr. Ignacy miał córkę, poślubioną ks. Karolowi Jabłonowskiemu, który do dnia dzisiejszego jest kuratorem fundacyi Skarbowskiéj, przeto jako troskliwy ojciec myślał o tém, aby majątek brata w jego został rodzinie. Hr. Stanisław usłyszawszy, że brat chce

się z nim pojednać, odrzekł: „Bardzo mnie cieszy, że pan Ignacy raczył mnie sobie przypomnieć. Nie długo nastąpi otwarcie teatru, więc na tę uroczystość z pewnością go zaproszę“. Stało się, jak powiedział. Na pierwsze polskie przedstawienie w swoim teatrze zaprosił całą rodzinę i z bratem w loży siedział, wesoło z nim rozmawiając. Hr. Ignacemu serce z radości skakało, teraz bowiem nie wątpił, że milionowa fortuna brata przejdzie na jego potomstwo.

Po przedstawieniu, odbył się bankiet u gospodarza, na którym było bardzo wesoło. Przy samym końcu hr. Stanisław, poprosiwszy swoich gości by się na chwilę uciszyli, zwrócił się do p. Pawła Rodakowskiego, który był jego prawnym doradcą i ręką skinąwszy rzekł: „Teraz mój Pawełku, zechciéj przeczytać“. Obecni oddech wstrzymali, w oczekiwaniu tego co nastąpi. P. Rodakowski wystąpił na środek salonu, i głosem donośnym odczytał akt fundacyjny, mocą którego hr. Stanisław Skarbek wszystkie swoje dobra i teatr Lwowski zapisał na rzecz zakładu dla starców i sierot, który miał powstać w Drohowyżu. Akt ten nosił datę 1 sierpnia 1843 r. Rodzinie nie zostawił nic, krom kuratorstwa, do którego jest przywiązana roczna pensya, wynosząca 8,000 guldenów. Pierwszym kuratorem mianował ks. Karola Jabłonowskiego, męża swojéj bratanki, a po jego śmierci ma nim być hr. Skarbek, syn Fryderyka, mieszkający w Królestwie Polskiém.

Łatwo możemy sobie wyobrazić, jakie wrażenie sprawiło na hr. Ignacym odczytanie tego dokumentu. Zbladł, ale milczał, nawet udawał, że się uśmiecha. W pamięci jednak stanęły mu słowa, które niegdyś niebacznie powiedział, gdy brat zgłaszał się doń po pożyczkę. Hr. Stanisław widząc jego zmieszanie, podszedł doń z uśmiechem, i rękę wyciągnąwszy, rzekł z naciskiem:

— Panie Ignacy, kwita byka za indyka (1).

Wspaniałomyślny fundator miał nadzieję, że instytucya, o któréj marzył, jeszcze za jego życia będzie dziełem dokonaném. Z początku chciał swój zakład wznieść we Lwowie. ale gdy układy z magistratem tego miasta spełzły na niczém, począł go budować w Drohowyżu. Ledwie jednak fundamenta założył, umarł. Ponieważ śmierć jego przypadła na sam rok 1848, w którym to czasie tryumfująca reakcya zniosła stany galicyjskie, będące czémś, w guście teraźniejszego sejmu (Skarbek oddawał stanom opiekę nad fundacyą); przeto zarząd nad całym majątkiem nieboszczyka objął sam rząd i po swojemu sprawował go aż do ogłoszenia konstytucyi, t. j. do r. 1862, po-

---

(1) Autentyczne.

czém nadzór nad nim objął wydział krajowy, w połączeniu z kuratorem, ks. K. Jabłonowskim.

Podczas administracyi rządowéj, dla zakładu nic zgoła nie uczyniono. O budynkach tak nikt nie myślał, że omało dawne fundamenta nie pogniły. Z dochodów, które rocznie krocie wynosiły, rząd pokrywał tylko niedobór teatru niemieckiego, a resztę rozszarpywały najrozmaitsze figury. Ile fundacya przez to straciła, tylko Bóg wié jeden. Między rokiem 1862 a 1874 zaczęto nareszcie budować, i zakład Drohowyzki został szczęśliwie otwarty w r. 1875.

A teraz jeszcze kilka charakterystycznych szczegółów z życia fundatora. Aby rząd wiedeński, który podczas wojen napoleońskich, umiał w Galicyi zabierać nawet pieniądze sierocińskie z depozytów sądowych, nie mógł nigdy targnąć się na jego mienie, napisał w testamencie, że w razie gdyby fundacya nie weszla w życie, majątek jego cały ma przejść na rodzinę Skarbków. Prócz tego, aby nie opłacać tak zwanego podatku „przenośnego", który od wszelkich darowizn jest u nas niesłychanie wysoki, wpisał fundacyą tylko w stanie biernym swych dóbr, jako instytucyą, która z majątków jego ma być po wieczne czasy utrzymywana, słowem zrobił ją dożywotniczką, która nigdy nie umiera, sam zaś został na zawsze tabularnym właścicielem swoich 37 wsi i 3 miasteczek. W ten sposób dziś jeszcze w tabuli krajowéj, hr. St. Skarbek figuruje jako właściciel rozległych włości. W Austryi jest to wypadek jedyny w swoim rodzaju, ale ponieważ całe zarządzenie nieboszczyka było prawne, przeto rząd, choćby chciał nawet, zmienić go nie może, i to *curiosum* prawnicze może u nas istnieć całe wieki.

Strach przed opłatami przenośnemi jest u nas tak wielki, że ludzie wpadają teraz na najrozmaitsze pomysły, byle się od nich uchronić. Niedawno zmarł we Lwowie człowiek, który rodzinie swojéj zostawił w gotówce krociową fortunę. Gdy notaryusz kasę otworzył, zdziwił się nie mało, że zamiast spodziewanego testamentu znalazł pakiety pieniędzy, starannie obwiązane, z napisami: „Depozyt mojéj żony", „Depozyt mojéj córki" itd. Ponieważ od depozytów nic się nie płaci, więc i spadkobiercy nieboszczyka nie uiścili żadnéj taksy. Zachodzi jednak pytanie, czy rząd Wiedeński w obawie, by tego rodzaju manipulacye częściéj się nie powtarzały, nie ustanowi teraz opłat od takich depozytów, które po nieboszczykach zostają.

Hr. Stanisław Skarbek polecił w swoim testamencie, aby do jego zakładu przyjmowano tylko dzieci chrześciańskie, bez względu, czy są wyznania katolickiego, czy téż ewangielickiego. Żydów całkiem z niego wykluczył. Ale mimo to, przy końcu objawia życzenie, aby lekarz jego przyboczny, dr. Barach Rappaport, żyd krwi naj-

czystszéj, był dyrektorem tego instytutu i żeby równocześnie leczył w nim chorych. Ponieważ w statutach zakładu była z góry ustanowiona osobna pensya dla dyrektora a osobna dla lekarza, fundator zaś orzekł, że dr. Rappaport ma tylko dyrektorską płacę pobierać, zachodzi więc teraz pytanie, czy wybrał on go przez oszczędność, aby instytut o kilkaset guldenów rocznie mniéj wydawał, lub téż uczynił to dla tego, że i na nim, na tym nieprzyjacielu żydów galicyjskich, powinno było sprawdzić się powiedzenie, iż każdy szlachcic polski musi miec przynajmniéj jednego żyda, o którym twierdzi z równą stanowczością, jak zapałem, że jest to żyd wyjątkowy i całą duszą jemu oddany.

Rappaport umarł jednak wpierw nim zakład został otwarty.

IV.

Minąwszy miasteczko Mikołajów, wjechałem na niewielki pagórek, na którym rośnie lasek szpilkowy. Przedemną, w oddaleniu tysiąca kroków, widać już było zakład, do połowy skryty wśród zieleni ogrodów i od frontu innemi budynkami zasłonięty. Nagle, gdym się tego najmniéj spodziewał, usłyszałem nieopodal najpierw silne głosy męzkie, po nich liczne chłopięce. Spójrzałem na prawo. Z lasu wychylała się kolumna chłopców, w wieku od 7 do 17 lat, która podzielona na klasy, jak żołnierze na kompanie, wracała do domu z niedzielnéj wycieczki. Razem było ich przeszło 200. Ubiory mieli jednakowe. Ponieważ było święto i dzień pogodny, więc i strój ich był uroczysty. Każdy miał na sobie ciemną kurtkę sukienną, z czerwonym kołnierzem, przepasaną czarnym pasem skórzanym, takież pantaliony, wysobie buty, na głowie czapkę z daszkiem francuzkim i czerwonym lampasem. Maszerowali poważnie, młodzi przodem, starsi z tyłu, kłaniając się uprzejmie jadącemu gościowi. Była to dziatwa zakładu, która, dzięki pogodzie, wracała teraz do domu.

Do zakładu prowadzi długa aleja, mająca po obu bokach małe, schludne domeczki, z ogródkami, tak warzywnemi, jak kwiatowemi, w których mieszkają: lekarz, nauczyciele, urzędnicy i majstrowie. Minąwszy aleję i część domków większych niż tamte, stojących już frontem do zakładu, wjeżdża się przez żelazną bramę na niewielkie podwórze, z zielonym trawnikiem pośrodku. Ztąd można okiem objąć cały budynek. Jest on rozmiarów imponujących, o dwóch skrzydłach na przód wysuniętych, skutkiem czego kształt jego przypomina podkowę. Chociaż główna część gmachu ma tylko dwa piętra, mimo to dzięki wysokiemu parterowi, spoczywającemu na suterenach, cała budowla wydaje się bardzo wysoka. Wybitnego stylu na-

próżno-byś w niéj szukał, ale mimo to dobry smak w widzu bynajmniéj się nie oburza, ponieważ w całości jest powaga.

Za gmachem, rozciąga się ogród blisko czterdziestomorgowy. Dobry artysta musiał go zakładać, wszystkie bowiem nierówności terenu zostały znakomicie wyzyskane. W środku jest mały stawek, na końcu zaś ogrodu znajduje się czteromorgowe jeziórko, mające do pięciu metrów głębokości. Powstało ono przez zapadnięcie się ziemi, w okolicy téj bowiem znajdują się grube pokłady gipsu i alabastru, które osuwając się, tworzą miejscami lejkowate wklęśnięcia. W ogrodzie nie ma drzew okazałych, gdyż hr. Skarbek wybrał dla swego zakładu miejscowość, w której prawdopodobnie przed tém nic nie rosło, ale ponieważ wszystkie gatunki drzew późniéj zasadzonych doskonale się przyjęły, więc rozległy park, który dziś ma wyglądanie miluchne, za lat kilkanaście będzie tak samo jak cały zakład robił wrażenie imponujące.

Dyrektor, p. Juliusz Starkel, po powitaniu ciepłem i serdeczném, zaprowadził mnie zaraz na drugą stronę budynku. Znajdowaliśmy się w tyle lewego skrzydła. Przed nami rozciągał się obszerny plac zieloną murawą pokryty, na którym widać teraz było wszystkich chłopców zakładu, w liczbie 250. Na znak, dany przez dyrektora, wystąpili mali muzykańci, dźwigający przed sobą trąby większe niż sami, i wcale poprawnie zaczęli wygrywać rozmaite marsze. Przy odgłosie muzyki, chłopcy podzieleni na klasy, pod okiem dozorców defilowali jak starzy żołnierze i przyjemna zabawa dopiero wtedy się skończyła, gdy deszcz ulewny kazał wszystkim pod dachem szukać schronienia.

W prawém skrzydle mieszkają dziewczęta, których obecnie jest 250. Mają one tak samo jak chłopcy zielony plac do zabawy, łączący się z ogrodem, na którym pod okiem zakonnic, panien Felicyanek, grają w piłkę i w obręcze.

Nazajutrz rano zacząłem szczegółowo zwiedzać zakład.

Fundator pragnął, aby w Drohowyżu znalazło pomieszczenie 400 starców i 600 sierot. Pierwsi mieli tam umierać, z sierot zaś płci męzkiéj zamierzał utworzyć wielką kolonią rzemieślniczą. Po latach trzydziestu, gdy fundacya w życie wchodziła, okazało się jednak, że od razu nie można było otworzyć zakładu na tak wielką skalę. Postanowiono więc przyjmować stosunkowo więcéj sierot niż starców, i natychmiast założyć warsztaty. Dziś, po latach dziewięciu, sierot jest już 400, ale inwalidów ledwie kilkudziesięciu, między nimi także kozak ś. p. Stanisława Skarbka. Mimo to cyfra 1,000, wymieniona przez fundatora, jest celem, do którego zarząd fundacyi dąży konsekwentnie, lecz aby go módz osiągnąć, muszą wpierw dochody

z majątków znacznie się podnieść, inna bowiem była wartość pieniędzy i inne potrzeby za życia Skarbka, a inne są teraz.

Z memoryału, który rada zarządu fundacyi ogłosiła w r. 1875, przytaczam kilka ustępów, wyświecających należycie cele téj instytucyi.

„Szkoła rzemieślnicza w Drohowyzkim zakładzie nie może być uważana jako instytut li teoretyczny i przygotowawczy dla szkół przemysłowo - rękodzielniczych wyższych; lecz musi wykształcać swych uczniów na *dostatecznie wprawnych samoistnych pracowników* (czeladników), którzy bezpośrednio mogą wstępować do większych warsztatów i fabryk, lub po odbyciu wędrówki i dopełnieniu praktyki, otwierać pracownie na własną rękę. W ogóle szkoła rzemieślnicza zakładu Drohowyzkiego winna przedewszystkiém zadość uczynić potrzebie nauki zawodowéj dla sierot i dla dzieci mniéj zamożnych rodziców". W inném miejscu czytamy: „Z wielu stron dawały się słyszeć głosy i życzenia, iż zakład Drohowyzki powinien być właściwie wielką pracownią, wyrabiającą rozliczne artykuły na zbycie, a więc niejako fabryką mieszanych wyrobów, dającą tylko sposobność nauki rzemiosł dla sierot, a głównie przynoszącą zyski, wystarczające na utrzymanie zakładu. Po dokładném ocenieniu warunków okazało się jednak, że instytut Drohowyzki, ze względu na sieroty w nim umieszczone, musi zachować przeważnie charakter zakładu wychowawczego i dobréj szkoły, połączonéj z wzorowemi warsztatami, nie zaś fabryki, z dążnością przeważnie spekulacyjną. Większa bowiem połowa sierot, przyjmowanych do zakładu, znajdować się będzie w tak młodym wieku, iż do właściwéj pracy jeszcze nie jest zdolną i musi koniecznie otrzymać naukę elementarną; u drugiéj zaś połowy starszych sierot, również celem głównym musi być jak najlepsze wykształcenie rękodzielnicze, a nie wyzyskanie ich sił i zdolności dla lukratywnego przedsiębierstwa".

Słowa powyższe mogą was dostatecznie przekonać, że nie zajechaliście ze mną ani do domu przytułku, ani do fabryki, lecz do instytutu wychowawczego na wielką skalę, który jako taki jest chlubą i ozdobą naszéj biednéj Galicyi. Wszystko téż tu wskazuje, że jesteśmy w prawdziwym domu pracy. Maszyna parowa, znajduje się na dole lewego skrzydła, nie tylko wyciąga wodę na najwyższe piętra, lecz wprowadza także w ruch warsztaty rzemieślnicze. Nim do nich wstąpimy, muszę wpierw powiedziéć, w jaki sposób zakład wykształca swoich rzemieślników.

Przyjmowani do instytutu chłopcy muszą mieć najmniéj siedm lat zaczętych, a najwięcéj dziesięć ukończonych, dziewczęta zaś najmniéj sześć zaczętych, a najwięcéj ośm lat ukończonych. Wpierw-

szych trzech latach wszystkie dzieci pobierają naukę elementarną w klasach oddzielnych. Nauczycielkami dziewcząt są siostry Felicyanki, których w zakładzie razem z przełożoną jest 18. Chłopcy mają nauczycieli świeckich. Prócz tego jest dwóch katechetów: ksiądz rzymsko-katolicki dla Polaków i unicki dla Rusinów. Szlachetny fundator przeznaczył swój majątek dla wszystkich sierot téj ziemi, bez względu na ich narodowość. Nie każe on także pytać, ażali dziecię jest ślubnych rodziców, bo dobroczynne jego serce bolało może bardziéj nad losem osieroconych dzieci miłości, niż innych.

Po ukończeniu nauki elementarnéj, dziewczęta uczą się szyć, prać, prasować, gotować, prócz tego oddają się ogrodnictwu. Zakład chce z nich mieć przedewszystkiém praktyczne i zacne gospodynie, i o ile mnie się zdaje, biednym dziewczętom innego wychowania u nas nie można dawać. Być może, że gdzieindziéj pożyteczne są kobiety doktorki i filozofki; u nas, w Galicyi, mało jeszcze mamy praktycznych gospodyń i sług uczciwych a pracowitych, dla tego téż wychowanie zakładu Drohowyzkiego jest dla biednych sierot pod każdym względem stosowne, zbawienne.

Chłopiec, ukończywszy naukę elementarną, oświadcza, jakiemu rzemiosłu pragnie się poświęcić, i wtedy dyrektor przydziela go do jednego z dziewięciu warsztatów, któremi są: 1) kowalstwo, 2) ślusarstwo, 3) blacharstwo, 4) stolarstwo, 5) bednarstwo, 6) stelmastwo, 7) siodlarstwo, z rymarstwem i lakiernictwem, 8) krawiectwo, 9) szewstwo. Na czele każdego warsztatu stoi majster, a w lokalach, gdzie się nauka odbywa, wiszą tablice, z imiennym spisem uczni. Chłopcy pracują w bluzach niebieskich. Wszystkie warsztaty są z sobą połączone, tak, że z jednego przechodzi się do drugiego. W życiu moim zwiedziłem już dużo fabryk, począwszy od olbrzymich w Chemnitz, które po kilka tysięcy robotników zatrudniają, a skończywszy na wzorowéj i wielkością swoją imponującéj fabryce maszyn rolniczych w Poznaniu, p. S. Cegielskiego. Wyznaję jednak, że żadna z nich, pod względem moralnym, nie zrobiła na mnie tego wrażenia, co te niewielkie warstaty drohowyzkie, zatrudniające po kilkunastu chłopców. W wielkich fabrykach widuje się ludzi długoletnią pracą wysilonych, często smutnych, czasem także ponurych, którzy każdego gościa, fabrykę zwiedzającego, niechętném mierzą spójrzeniem. Im się zdaje, że każdy nierobotnik jest wyzyskiwaczem pracy robotnika, kapitalistą żyjącym z trudu proletaryatu. Przeciwnie tu widzę zamiast mężczyzn brodatych, pyzate i rumiane twarze chłopców dobrze odżywionych, którzy oddając się swemu zawodowi z zamiłowaniem, przypatrują się gościowi z ciekawością i uśmiechem. Życie ma dla nich jeszcze powaby, wychowanie jakie w zakładzie odbie-

rają jest zdrowe, teorye na które w chwili teraźniejszéj chorują społeczeństwa europejskie, nie dotarły jeszcze do tego zakątka, więc i serca ich młode nie przestały dotąd kochać, a umysły wierzyć! Zaiste, w tych chłopcach widzę posiew lepszéj przyszłości.

Rozmaite narzędzia rolnicze, używane w naszych stronach, od pługów zacząwszy a na siewnikach skończywszy, dalej wozy, wózki, powozy, odzież, obuwie, sprzęty kuchenne i gospodarskie, wreszcie zamki, kłódki, meble i setki innych przedmiotów, wchodzących w zakres owych dziewięciu rzemiosł, które powyżéj wyszczególniłem, bywają tu wzorowo wykonywane. Niektóre z nich zakupują okoliczni obywatele, choć nie w takiéj ilości, jak by to się dziać powinno, inne urzędnicy zakładu rozwożą po jarmarkach, najwięcéj zaś odchodzi na skład do rozmaitych magazynów lwowskich. Zakład nie mógł dotąd otworzyć własnego bazaru, ponieważ mając ciągle na uwadze nie tyle handel co naukę, wytwarza stosunkowo nie wiele, za to każdy przedmiot jest starannie wykończony. Prócz tego brak większych zapasów gotówki, stoi mu w tym względzie na przeszkodzie. Jak dotąd, wszystkie warsztaty mają razem tylko 35,000 guldenów obrotowego kapitału, co jednakowoż jest niczém, jeżeli się zważy, że za te pieniądze trzeba kilkudziesięciu rzemieślników wykształcić.

Gdyśmy weszli do warsztatu blacharskiego, rzekł dyrektor:

— Ten będę musiał zwinąć, gdyż w naszych warunkach okazał się niepraktycznym.

— A to czemu?—zapytałem.

— Dziś dla blacharza jest rzeczą najważniejszą umiejętne pobijanie dachów, a tego na wsi nie możemy uczyć bo tu ludzie pokrywają swoje domy słomą lub gontem, nigdy zaś blachą.

Uwaga słuszna, i warsztat ten musi być zwinięty, a szkoda go wielka, gdyż wyrabiane w nim przedmioty, jak samowary, naczynia kuchenne, do mleczywa itp. śmiało mogą rywalizować z najlepszemi zagranicznemi.

Obecnie zakład podjął się zrobić dla rządu 200 wozów pocztowych. Jest to już przedsięwzięcie na większą skalę, a nikt nie wątpi, że znakomicie z niego się wywiąże.

Dla sierot pracujących w warsztatach urządzono kurs techniczny, trwający 3 lata, na którym uczą przedmiotów następujących: 1) nauk przyrodniczych; 2) nauki o materyach i narzędziach; 3) geografii; 4) historyi polskiéj i powszechnéj; 5) arytmetyki i rachunkowości kupieckiéj; 6) geometryi; 7) rysunków z wolnéj ręki i modelowania.—Chłopiec, który ten kurs ukończy, będzie już rze-

mieślnikiem według wymagań nowoczesnych, i wszędzie znajdzie poczciwy kawałek chleba.

Zwiedziwszy warsztaty, przebiegłem gmach cały od góry do dołu. Byłem w kuchniach i w magazynach, w jadalniach i sypialniach, w sali gimnastycznéj i tak zwaném kasynie, gdzie na obiad i wieczorami zgromadzają się urzędnicy i nauczyciele zakładu. W kasynie wiszą trzy portrety. Cesarza Franciszka Józefa I, który w r. 1880 osobiście zwiedził zakład i do książki z autografami własnoręcznie po polsku wpisał swoje imię; fundatora hr. Stanisława Skarbka, i dzisiejszego kuratora instytucyi, ks. Karola Jabłonowskiego. Głowa Skarbka, malowana według dagerotypu przez malarza lwowskiego, Raczyńskiego, należy do celniejszych prac tego artysty, a pod względem charakteru przypomina głowę Czartoryskiego na „Sejmie Grodzieńskim“ Jana Matejki.

We wszystkich lokalnościach znalazłem wzorowy porządek i czystość olśniewającą, w kuchniach przyrządzane potrawy były smaczne i zdrowe. Wschody są wygodne, korytarze przestronne i pełne światła. W oddziele dziewcząt, odosobnionym od reszty gmachu klauzurą klasztorną, czystość dochodzi prawie do przesady. Nigdzie najdrobniejszego pyłku, nigdzie najmniejszéj skazy na murach. Białość ścian i pościeli w sypialniach może istotnie równać się tylko z białością śniegu. W kaplicy ten sam porządek. Gdy chodzisz po tych salach i korytarzach, zdaje ci się, że dopiero wczoraj gmach ukończono i oddano go do użytku.

Nie należąc do zwolenników życia, a przedewszystkiém wychowania klasztornego, zapytałem dyrektora, jaki wpływ Felicyanki wywierają na sieroty.

— Z początku mieliśmy nauczycielki świeckie—odrzekł—ale tak trudno było utrzymać między niemi ład i karność, że z konieczności musieliśmy zakonnice sprowadzić. Ale chociaż Felicyanki kierują teraz wychowaniem sierot, ja z méj strony pilnie przestrzegam, by dziewczęta wiedziały, iż kiedyś będą członkami żywego społeczeństwa, a nie murów klasztornych. Zresztą—kończył dyrektor—zobaczysz je pan sam i przekonasz się, jak wyglądają.

Chodziłem po klasach, słuchałem ich śpiewów chóralnych, przypatrywałem się ich robótkom w salach a zabawom na wolném powietrzu, prócz tego byłem świadkiem ich rozmów. W żadnéj nie dostrzegłem ani śladu zaniepokojenia, żadna oczu w dół nie spuszczała, żadna nie robiła min ascetycznych, bo każda z nich była istotą naturalną i pełną życia. Że jest tak, a nie inaczéj, zasługa w tém chyba samego tylko dyrektora, który taktem i rozumem umié tak

oddziaływać na zakonnice, że te w Drohowyżu pod względem tendencyi zostały nauczycielkami świeckiemi.

— Czy uczniowie chętnie zakład opuszczają?—zapytałem mego przewodnika, gdyśmy do jego mieszkania wracali.

— Cóż pan chcesz, ludzie wszędzie są ludźmi—odrzekł dyrektor.—Chłopcy, którzy ztąd wychodzą, mają lat 18 lub 19, znajdują się zatém w wieku, w którym człowiek pragnie świat poznać. Z daleka przedstawia on mu się w szacie najpiękniejszéj... Dziwić im się tedy nie można, że chociaż tu mają wszystko, wychodzą z zakładu z uśmiechem, spodziewając się znaleść wymarzone szczęście wśród ludzi. Mimo to, prawie wszyscy utrzymują potém ze mną łączność, prosząc o rady, wskazówki, a czasem także o pomoc, któréj zakład nigdy im nie odmawia. Czterech umieściłem w Mikołajowie, gdzie wspólnie pracują, kilku znajduje się we Lwowie, inni daléj jeszcze pociągnęli, a jeden z nich, kowal, wydoskonala się w swoim zawodzie aż nad Renem. Ten niedawno donosząc mi o sobie, pisał, że całą ambicyą jest zostać dobrym kowalem, to téż gdy będzie umierał, na grobie swoim każe położyć kamień z napisem: Tu leży kowal! Po latach kilkudziesięciu—kończył dyrektor—zakład Drohowyzki odda krajowi usługi, których dziś ani obliczyć, ani nawet przewidzieć nie możemy.

Święta prawda. Na nieśmiertelną téż pamięć zasłużył sobie hr. Stanisław Skarbek, że całą swoją fortunę przeznaczył na tak pożyteczną i piękną fundacyą. Krocie sierot będzie mu zawdzięczało swoją egzystencyą, a Galicya tysiące dzielnych rzemieślników, których tak bardzo potrzebuje. Nie sądźcie jednak, że sam fundator wszystko tu zrobił. Wprawdzie zasługa jego jest największa, lecz zdaniem mojém, nie małą tu i ten położył, kto zakład tak wielki potrafił uorganizować. Zły kierunek mógł wszystko wypaczyć i zwichnąć. O ile wiemy, na świecie nie ma drugiéj takiéj instytucyi jak zakład Drohowyzki. Coś podobnego istnieje obok Hamburga i Neapolu, lecz obie tamte instytucye pod wielu względami odbiegają od naszéj. Ten więc, kto miał zorganizować zakład Drohowyzki, podejmował się zadania niezmiernie trudnego, gdyż niemiał wzoru, według którego by potém swoję instytucyą modelował. Tego zadania podjął się jednak p. Juliusz Starkel i znakomicie z niego się wywiązał.

Nazwisko téj osobistości nie powinno wam być obce. Chociaż młody to jeszcze człowiek, liczy bowiem lat 44, mimo to znanym on jest oddawna w naszéj literaturze. Niegdyś, przed laty 20-tu pisywał piękne poezye w *Dzienniku Literackim*, późniéj był redaktorem téj publikacyi, a prócz tego z wielkiém powodzeniem poświęcał się lite-

raturze ludowéj. Powiastki Grzesia z Mogiły (jego pseudonim) należą u nas do najcelniejszych. Przed laty 12-tu wybrany przez miasto Lwów, zasiadał w krajowéj radzie szkolnéj, gdzie około rozwoju oświaty nie małe położył zasługi, a w trzy lata późniéj, został powołany na dyrektora zakładu Drohowyzkiego. Jemu też piękna ta instytucya zawdzięcza właściwie swoję organizacyą, wzrost i dzisiejszy rozwój. Człowiek to wyższego umysłu, spokojny a bystry, łagodny i przyjacielski, lecz poważny i stanowczy, przytém dzielny pedagog i w swoim zawodzie rozmiłowany. Zakład takim rękom powierzony musi się coraz pomyślniéj rozwijać.

Józef Rogosz.

MICKIEWICZ W ODESSIE

I TWÓRCZOŚĆ JEGO Z TEGO CZASU.

W Sonetach Mickiewicza dają się wyraźnie odróżnić dwie części. Jedną z nich, pierwszą, nazwalibyśmy *sonetami erotycznemi*, drugą stanowią *sonety krymskie*. Zacznijmy od pierwszych.

W poprzednim rozdziale wspominaliśmy o tém, jak Mickiewicz w wolnych chwilach swojego pobytu w Odessie zajął się studyami nad językiem włoskim, jak prędkie w nim zrobił postępy i jak po nad innych autorów umiłował Petrarkę. Zdaje się, że się nie omylimy wcale, jeśli utrzymywać będziem, że bezpośrednim skutkiem owego wczytania się w mistrza włoskiego było napisanie sporéj wiązki sonetów. Zrobiliśmy również uwagę, że umysł, równie twórczy jak jego, niechętnie naginał się do przekładów, a jeśli do nich się zabrał, stawał na równi z oryginalnym twórcą i dzięki własnemu już talentowi, tego, którego tłómaczył, nierzadko przewyższał. Prawdę tę staraliśmy się wykazać na porównaniu przekładów Mickiewicza z oryginałem, a teraz pozostaje nam zastanowić się, w jakim stosunku stoi nasz poeta do piewcy z Wokluzy, którego przez zbieg wypadków za przewodnika sobie na chwilę wybrał.

Petrarka w sonetach doszedł rzeczywiście do niedoścignionéj niemal doskonałości, zwłaszcza, jeżeli ich stronę techniczną pod uwagę weźmiemy. W mnóstwie sonetów, jakie napisano po nim, celuje nieraz myśl wznioślejsza i koncepcya potęgą swą wznosi się wyżéj, forma również pierwowzorowi dorównywa czasem, ale są to jedynie próbki pojedyńcze, a całości równie obszernéj i równie skończonéj jak u włoskiego poety, nie spotykamy nigdzie. Jeśli jednak rozważymy treść Petrarkowskiéj puścizny, przekonamy się, że kręci się

ona ciągle w jedném i tém samém zaklętém kole i że za wyjątkiem kilku *canzon* i sonetów, do przyjaciół napisanych, reszta zwraca się wyłącznie do Laury, a za przedmiot ma miłość. Zdawałoby się, że poeta kręcąc się ciągle w jednym przedmiocie, powtarzać się musi i na końcu znudzi. Tak jednak nie jest, jego *rime* od początku do końca czytają się wprawdzie nie z zachwytem, ale pod wrażeniem wysokiego artystycznego zadowolenia, a pochodzi to ztąd, że uczucie ciągle na pięknéj i idealnéj utrzymuje się wyżynie, że cieniowane jest z niezmierną precyzyą i trudną do opisania drobiazgowością, że powtarzana ciągle rzecz ta sama, pojawia się coraz w nowéj formie i z innego punktu widzenia. Miłość ta jego składa się ze wspomnień, bo skrupulatnie notując lata, jakie od poznania Laury upłynęły, zaczyna od rocznicy jedenastéj (1), a kończy na dwudziestéj (2). Bez względu więc na wyjątkową nawet stałość, sądząc już z saméj natury ludzkiéj, przypuścić koniecznie trzeba, że uczucie to u niego przestało być świeżą i silną namiętnością, a stało się rozpamiętywaniem. Dla tego napróżno byśmy tu szukali uniesienia i rzeczywiście na miejscu jego mamy tylko sztukę. Artysta nie działa pod wpływem gwałtownéj inspiracyi, nie pcha go do twórczości potrzeba wylania się na zewnątrz, ale owszem więcéj już z rozwagą pisząc, nie pomija żadnego z technicznych środków sztuki, do zrozumienia i umiejętości użycia których tak wielkim talentem obdarzyła go natura. Na takiém stanowisku się umieściwszy, w pięknym swym rodzinnym języku rzeźbi jak w kararyjskim marmurze, cudownie dobranemi przymiotnikami po Tycyanowsku cieniuje pojęcia, nad oczyma Laury, nad jéj ustami, nad zasloną, nad trawką, przez jéj stopę zdeptaną całe sonety pisze, a czytając je, wydziwić się nie możem zkąd ten barwny koloryt zawsze świeży i nowy, zkąd światłocień, zawsze uroczy, choć coraz z innéj strony rzucany? Większość poetów, znajdując się w warunkach podobnych, łatwo do ckliwości i sentymentalizmu by przyszła; Petrarka zawsze pozory prawdy i rzeczywistości zachować potrafi. Wykończenie to jego filigranowe i miniaturowe wywiera wpływ taki, jak piękne rodzajowe malarstwo. Rozważając je, duch nasz nie odrywa się od ziemi i w nieskończoność nie bieży, ale uczuwa uczucie przyjemności i słodyczy, któreby pragnęło się jak najdłużéj zrobić swoim udziałem. Jeśli zaś sonety Petrarki wywierają takie wrażenie na każdym przeciętnym śmiertelniku, to niezawodnie trudniéj rozstać się z nimi prawdziwemu artyście.

---

(1) Sonet 48 „*Padre del Ciel dopo i perduti gierni*“.

(2) Sonet 177 „*Beato in soquo e di languir contento*“.

Nie dziwimy się więc, że poznawszy je, Mickiewicz musiał się długo z niemi pieścić, rozkoszować, nad ich techniką się zastanawiać i wreszcie pod ich wpływem tworzyć w tymże samym kierunku. Tu jednak, gdzie u mniéj potężnego talentu wyrodzić-by się musiało koniecznie naśladownictwo, Mickiewicz poszedł oryginalną drogą. Rzeczywiście, z wrażliwością poetów dzieją się czasami dziwne rzeczy. Są tacy, którzy pod wpływem odebranego wrażenia stają się przez czas pewien jakby odbiciem tego, który na nich wpływ ten wywarł; są znowu inni, którzy również wrażliwymi będąc, wszystko na swą wyłączną przerabiają własność. Nikt zapewne Słowackiemu olbrzymiego talentu poetycznego nie zaprzeczy, a jednak, wziąwszy jego książki do ręki, z całą dokładnością wykazać można, co i kiedy on czytał i pod jakiemi wpływami zostawał. Byron, Szekspir, Mickiewicz, Kalderon, Homer nawet, choć z drugiéj ręki odbijają się tu, jakby w zwierciedle jeden po drugim. Z Mickiewiczem jest zupełnie przeciwnie. Pojedyncze, od obcych pobrane myśli, idee i obrazy widne i u niego, ale wszystko to tak do jego własnych zastosowane celów i tak na właściwy jemu przerobione sposób, że olbrzymia jego oryginalność nie szwankuje ani na chwilę.

Toż samo stało się z nim także w stosunku do Petrarki. Forma, wykończenie i wspaniały artyzm podziałały nań silnie, ale tylko w wyborze środków technicznych; mimo doznanego jednak wrażenia pozostał sobą i w tłómaczeniach już zbytnią gadatliwość Włocha poskramiał i na gubienie się w drobiazgach nie dozwalał. Jeśli zaś naśladowanie co do formy było możliwe, to za to we względzie treści Mickiewicz o całe niebo od Petrarki się różnił. Wprawdzie sam, tak jak włoski poeta, miłośne swe cierpienia do przeszłości zaliczając, chciał tak jak tamten wspomnienia swe rozpamiętywać i nawet Marylę swą Laurą nazywał; ale kiedy Petrarka w stosunku do swojéj *donny* był zupełnie biernym, płakał tylko i bolał, spokoju od Boga, albo śmierci pożądał i współcześnie Amorowi błogosławił: Mickiewicz był siłą potężną, czynną. On kochał nie dla tego, że bogdankę swą ubóstwiał, ale dla tego, że zdawało mu się, iż przez nią będzie pojęty. Z tego powodu, kochania bez wzajemności nie pojmował, ale raczéj wyobraźnią swą wybiegając po za granice rzeczywistości, marami temi złudzony uwierzył sam w prawdę tego, co prawdą nie było.

Wśród tego wymarzonego, bo w rzeczywistości nieistniejącego, uczucia wzajemności, w sercu trwożliwéj niewiasty powstają obawy, ale kochanek, rozumiejąc stanowisko swe opiekuna i przewodnika, uspokaja je snadnie, bo wie, jakiego to rodzaju jest uczucie (*Widzenie się w gaju*).

Nie jest to zaś owo ultra-romantyczne poddanie, jakie Petrarkę, w stosunku do Laury, unicestwia prawie; owszem Mickiewicz wie dla czego stosunek swój do swojéj Laury, tak a nie inaczéj stawia, bo tłómaczy to jéj jasno:

O luba! (mówi) niech twe oczy przyznać się nie boją!
Jeśli cię mém spójrzeniem, jeśli głosem wzruszę:
Nie dbam, że los i ludzie przeciwko nam stoją,

Że uciekac i kochać bez nadziei muszę!
Niech ślub ziemski innego darzy ręką twoją,
Tylko wyznaj, że Bóg mi poślubił twą duszę! (II. Do Laury).

Z tego pokazuje się wyraźnie, że poeta nasz, przejęty potęgą własnéj twórczości, nie zważa na warunki, tak, jak one regulują się tutaj na ziemi, ale stosunek swój do bogdanki podług własnéj woli ustala.

Ten wynik, do jakiego doszły poetyczne jego rozmyślania nad wspomnieniami, w których pod wpływem Petrarki się pogrążył, zdają się na pozór zatapiać go w tym oderwanym idealizmie, jakim odznaczyły się w poezyi całe wieki średnie, a jaki we wspaniały pomnik odlał Petrarka. Ale usposobienie podobne, z racyi już jego gieniuszu, trwa u Mickiewicza krótką tylko chwilę. Nie zapomina on, że jest jednostką, osobnikiem, w którym natura ludzka istnieć musi, bo inaczéj wszystko to, co mówi, nie byłoby prawdą, ale czczym wymysłem. Dla tego, kiedy Petrarka, opowiadając o pocałunku, jakim w jego oczach, podług panującego obyczaju, na dworze francuzkim przyjął Laurę wielki dostojnik, nie gniewa się za to i lubo o zazdrości lekko natrąca, nie czuje jéj jednak (1). Mickiewicz z całą otwartością wyznaje, że popychany zazdrością, gotów byłby posunąć się aż do zbrodni:

Chcę ją widzieć (powiada), nim kraj ten opuszczę na wieki;

Chcę widzieć niewidziany. W tém leci z za rzeki
Konno łowczyni, strojna Dyjany odzieniem;
Wstrzymuje konia, staje, zwraca się wejrzeniem;
Zepewne jechał za nią towarzysz daleki.

Strzelec (a ma to być sam poeta) cofnął się, zadrżał a oczy Kaima
Zataczając po drodze, gorzko się uśmiechał.
Drżącą ręką broń nabił, dąsa się i zżyma,

Odszedł nieco, jakoby swéj myśli zaniechał.
W tém dojrzał mgłę kurzawy, wzniesioną broń trzyma
Bierze na cel, mgła bliżéj — lecz, nikt nie nadjechał.
(VIII. — *Strzelec*).

---

(1) Sonet 200 „*Real natura, angelico intelletto*“.

Na podstawie tych ziemskich, a właściwie czysto ludzkich uczuć ickiewicz nie myśli wyłącznie o przyszłém szczęściu niebieskiém jak Petrarka, ale rozumie także co to jest rozkosz.

Gdy czuję ściśnienia
Twych dłoni, kiedy z ustek zachwycę płomienia:
Luba! Czyż mogę temu dać nazwę cierpienia?

Ale kiedy się łzami nasze lica zroszą,
Gdy się ostatki życia w westchnieniach unoszą.
Luba! Czyliż to mogę nazywać rozkoszą? (VI).

Takie są kardynalne różnice, jakie Mickiewicza na odmiennym, aniżeli Petrarkę stawiają gruncie. Obok nich jednak zachodzą i inne, więcéj już z formalną graniczące stroną. U Petrarki wszędzie pomiędzy nim a Laurą występuje Amor, a lubo jest to niezawodnie uosobienie uczucia, atoli u włoskiego poety ma on znaczenie osoby trzeciéj: w konkretną indywidualność przybrana, pojawia się jako potężny działacz, który losami dwojga istot podług kaprysu swojego miota. Mickiewicz na dopuszczenie podobnego czynnika nie mógł zgodzić się, raz dla tego, że wszystko co mitologią trąciło, za czczy konwencyonalizm uważał, a powtóre, że nie potrzebował pośrednika, bo sam rządził się swém sercem, swą wolą, swą potęgą, i podług nich w stronę, w jaką chciał się zwracał.

Pomimo więc silnego wrażenia, jakie na naszego poetę wywarł Petrarka, naśladowcą jego Mickiewicz nie został, a hołd oddany włoskiemu mistrzowi tonów i blasków, widny jest tylko w kilku zewnętrznych szczegółach. Tak, wzgórek, na którym Petrarka po raz pierwszy ujrzał Laurę i o którym ustawicznie powtarza, u Mickiewicza zamienił się na „chłodnik, co się zielonym jaśminem wypłata“; Petrarki fontanna w Vaucluse (Vochiusa), zastąpiona u Mickiewicza Niemnem, a sonet III: „Mówię z sobą, z drugimi plączę się w rozmowie“, jest już wyraźném naśladowaniem trzynastu, takiejże saméj treści, sonetów Petrarki. Nieustanna płaczliwość, jaka w sonetach tych od początku do końca się powtarza, a jaka stanowi główny charakter Petrarki, naśladowana tu jest z całą dokładnością i z całém przejęciem się oryginałem i dla tego, ktoby nie chciał sam Patrarki studyować, a prawdę uwag naszych życzył sobie sprawdzić, aby Mickiewicza, jako autora sonetów, z mistrzem włoskim porównać, wystarczy, kiedy zastanowi się nad tym sonetem III, kiedy porówna go z innemi, a różnicę tę dostrzeże odrazu.

Z pomiędzy 22 sonetów erotycznych Mickiewicza, zebranych w jedną wiązkę i zgrupowanych pod godłem z Petrarki:

Quand ero in parte, altr' uam da quel chio sono

jedenaście, to jest pierwszych z kolei dziesięć i dwunasty, poświęcone są rozpamiętywaniu miłości dla Maryli, a w trzynastym jeszcze do niéj się odnosi ta krótka wzmianka:

Nawet ową, gdy ową kochałem niebiankę,
Ileż łez, jaki zapał, jaka niegdyś trwoga!
I żal teraz na samą imienia jéj wzmiankę.....

Pozostałe mają także za przedmiot miłość, ale już inną i do innych osób.

Nawet Petrarka, w idealizmie swym, świętobliwym niemal, wyznaje, że po śmierci Laury w *innéj* zakochał się niewieście, ale i ta także umarła (1). Że to jednak włoskiemu poecie tylko mimochodem się zdarzyło i że późniéj Laurze swéj wiernym być nie przestawał, nie dziwimy się wcale. Kiedy bowiem kochankę jego śmierć zabrała, był on już siwowłosym starcem, wytrwać więc w wierności dla swojego ideału nie było mu żadną trudnością. Inaczéj działo się z Mickiewiczem. W epoce jego życia, o któréj teraz opowiadamy, znajdował się on w całéj pełni młodzieńczego swego rozkwitu, a natura obdarzyła go piękną postacią, sympatyczną a wyrazistą twarzą. Oprócz tego czoło jego opromieniał laur wieszcza, cała młodzież rwała się doń, jak do swego duchowego przewodnika, a jako politycznie prześladowany i z ojczystych swych okolic przemocą wyrwany, obudzać musiał współczucie. Nic więc dziwnego, że piękne panie, których podówczas, jak to w poprzednim wspomnieliśmy rozdziale, było w Odessie wiele, że te piękne panie cisnęły się na spotkanie jego, że serduszka dziewicze pod promieniem jego oczu biły trwożliwie, że spojrzenia mężatek i niektórych dam wielkoświatowych z góry mu sukces zapewniały. Mickiewicz na wdzięki niewieście był bardzo wrażliwy, a nie stanowi to wcale jego wady, ale owszem zaletę, bo gwoli temu w sztuce swéj z nieporównaném mistrzostwem, wzniosły idealizm, szlachetnym, acz prawdziwym realizmem zabarwił. Czyż więc dziwna, że pokusom takim opierać się nie umiał, a może i nie chciał i doznane wrażenia złożył w prześliczněj wiązance sonetów, o których właśnie mówimy?

Pierwsza szczególniéj połowa sonetów wywołała u współczesnych jak najrozmaitsze sądy. Dawny wieszcza profesor, Borowski, choć obyczajem starych gderać lubił, jednak nowy kierunek poezyi w duszy odczuwał. Ten, w liście pisanym do poety, tak się o sonetach wyraża:

---

(1) Sonet 23o „*L'ardente nodo or'io fui d'ora inora*"....

„Pan Franciszek Malewski, będąc teraz w Wilnie, raczył mnie odwiedzić i oświadczył mi w nader pochlebnych wyrazach swoję pamięć o tutejszych stronach i ludziach. Wymieniony w tych liczbie, dziękuję ci serdecznie, kochany Adamie, dziękuję wprawdzie prozą, lecz to, co o tobie myślę, a wyrazić nie zdołam, jest najpiękniejszą poezyą méj myśli. Jako poeta i młody i dobrze niegdyś z myślą moją oswojony, łatwo ją sobie dopełnisz. Twoje słowa, posłańcy natchnień twoich są prawdziwe ἔπεα πτερόεντα, ja moich marzeń upierzyć niezdolny, dość, kiedy się liczę do tych, o których Byron mówi: „*They felt, and loved and died*“. Sonety, które mi dawniéj *wdzięczny uczeń* przysłał, są bardzo pięknym wiankiem jego poetyckiego czoła. Jaka natura uczuć, jaka świeżość kolorów, jak miły, mroczący nawet niekiedy zapach kwiatów wschodnich raczéj, niż południowych“.

Trochę inaczéj atoli rzeczy się miały w Warszawie. Tu rozdział na dwa obozy: klasyczny i romantyczny, trwał jeszcze w całéj potędze, to téż i sądy zastosowały się do tych dwóch stronnictw. Najlepiéj je charakteryzuje sam Mickiewicz, w kilku słowach, umieszczonych w liście do Kowalewskiego:

„Wszystkie warszawskie gazety, powiada, były długo nadziane krytykami ostremi i pochwałami przesadzonemi. Jedni mówią, że ja nie powinienem płodów niedowarzonych drukować; inni znowu, że sonety lepsze od Petrarkowych, i że jeśli ma być literatura oryginalna u nas, to ja będę jéj ojcem. *Risum teneatis*! Wszystkie pochwały i krytyki jedna w drugą głupie!“

Krytycy tacy, jak Dmochowski lub Sierociński, nie zdolni do objęcia przedmiotu się podnieść, nie znajdując punktu oparcia dla swoich sądów, czepiali się jedynie formy i wytykali błędy językowe. Spostrzeżenie ich pod tym względem słuszne, bo Mickiewicz rzeczywiście zgrzeszył tu pokilkakroć przeciw mowie ojczystéj, a lubo się późniéj w odpowiedzi swéj recenzentom przy dowolności téj upierał, jednak nie poważył się nigdy więcéj używać, na przykład formy: *kołycha*, zamiast *kołysze*.

Z koryfeuszów wiedzy warszawskiéj, Lelewel, stosunkowo najmniejszy może znawca poezyi, nie chwali sonetów bezwzględnie, ale owszem w liście pisanym do Mickiewicza tak się wyraża: „Wszakże to wyznać trzeba, że nie są tak łatwego przystępu, jak inne, dotąd ogłoszone poezye twoje. Bardzo wielu, co się wczytali w Ballady i takich, co się w Dziadach rozmiłowali, opuszczają przy sonetach ręce, nie mając siły w sobie, aby je zgłębić. Ztąd nie będą mogły mieć tak potrzebnego odbytu, jakby zasługiwały“.

Charakterystyczną jest niezmiernie ostrożność zdania o sonetach, wyrażona przez Niemcewicza. Człowiek ten, obyczajami i na-

łogiem ze starą szkołą związany, a w duszy przystępny prądom nowym, na razie przestraszył się wulkanem, jaki ztąd nierzadko bucha i zachwiany w epikurejskiéj trochę swéj równowadze, radby może ganić, ale ugrzecznienie wdrożone przez cały obieg życia na to mu nie dozwala. Dyplomatycznie się więc wykręca i w komplimentach zręcznych pogląd swój na sztukę, zupełnie sprzeczny z rodzajem twórczości autora sonetów, wyłuszcza. „Ubolewam z serca, powiada, że tak piękny talent, tak szlachetną zapalający duszę, tułać się musi w obcéj ziemi, i zamiast poddawania się silnym obywatelskim natchnieniom, w ulotnych gubi się pieniach. Tak jednak chciały niezgłębione, a zażarte na nas wyroki; ufajmy, że kiedyś zmiękczyć się dadzą. Niech młodzież w czasie słoty przygotowuje sobie ziarna do zasiewów pod pogodniejszém niebem; czerpajmy w czystych źródłach, *vos exemplaria graeca diurna versate manu, versate nocturna*. Jeśli siedmdziesięcioletniemu starcowi wolno jest swoje zdanie otworzyć, powiem, iż uważam w wielu płodach dzisiejszych, jakąś skłonność i upodobanie do niemieckich, metafizycznych, romantycznych uniesień i wyrazów. Nie jestem ja niewolniczo klasycznym, wiem, ile zbyt surowe Arystota przepisy ujarzmiają geniusz, pozbawiają nas nieraz, osobliwie w dramatycznéj sztuce wielkich, uderzających piękności i sytuacyj; nie potrzeba atoli, uwolniwszy się od wszelkich prawideł, zarzucać cugle na kark Pegazowi i w cwał z wiatrami latać po obłokach. Można i potrzeba nawet prawdę zdrowéj filozofii (jak czynił Voltaire) rymami ogłaszać. Nabierają one przez wdzięk poezyi nowéj mocy i silniéj wrażają się w umysły, lecz broń Boże zapędzać się w głębokości metafizyczne, w jéj z ciężkością dościgłe pomysły; to, co nie jest jasném, naturalném, z łatwością zrozumianém, ciężko by było pięknem i podobającém się. Nie piękne zapewne płody zacnego Mickiewicza, ale dorywcze pisma niektórych niedojrzałych wierszopisów naszych, dały mi powód do uwag tych..... Nierozważnie czytani u nas pisarze niemieccy, nieraz złego gustu stali się przyczyną. Naśladujmy rzadkie piękności Szyllerów, Getów, Wilandów, lecz strzeżmy się, co tylko w nich jest przesadzonego, zdrożnego. Niech Homer, Eurypides, Sofokles, Horacy, Virgili będą wzorami naszemi. Tymi to wzorami szedł i poszedł-by daléj nasz Mickiewicz, gdyby geniuszowi jego wolno było swobodnie skrzydła rozwijać. Miejmy nadzieję w dobrym monarsze, że skruszy niepotrzebne dzisiejsze zapory i dla własnéj swéj i poddanych sławy, da się talentom rozwijać“.

Wyznaje więc sędziwy Ursyn, że Mickiewicz w ulotnych gubi się pieśniach, że się w metafizykę niemiecką zapuszcza i wskazując wzory do naśladowania, twierdzi jakoby poeta nasz w początku

szedł drogą, przez starożytnych wskazaną. Żeby Niemcewicz różnicy między Mickiewiczem a Horacym lub Wergiliuszem nie widział i sądził, że *Ballady* lub *Dziady* z poezyą starożytnych są spokrewnione, tego przypuszczać nie można, zanadto bowiem on znał się na tém i zanadto różnica była uderzającą. Chciał więc jedynie w delikatny sposób wskazać mu właściwą drogę. Nie zrozumiał zacny i pełen talentu staruszek, że silne i potężne prądy własne koryto dla siebie żłobią i że geniusz nie naśladuje, tylko naśladowców rodzi.

Gniewy rzeczywiste, gromy i nieutulone złości wrzały w prawdziwym obozie klasycznym. Widoma klasyków głowa, stary Koźmian, tak do Fran. Morawskiego pisze: „Czegoż też już nie dokazują romantycy, czego nie piszą! Utworzyli sobie teraz jakiś młyn wietrzny i jak Don-Kixoty wszędzie ogłaszają, że ich zazdrość napastuje. Godziło-by się wydrukować i przypomnieć im bajkę Niemcewicza: *Niedźwiedź, małpa i świnia.* Dmochowski zrobił na nich bajkę pod tytułem *Stary* i *młody*, wystawiając, że mimo przeszkód starego, młody, widząc jak osioł pędzony przez muchy przesadzał rowy, rozumiał, że to arabski rumak itd. Sonety Mickiewicza najlepiéj oznaczył Mostowski jedném słowem *paskudztwo.* Niewiém, co w nich można znaleść dobrego, wszystko bezecne, podłe, brudne, ciemne; wszystko może krymskie, tureckie, tatarskie, ale nie polskie. To jest sto razy gorsze, jak wszystkie Marcinkowskiego płody (1). Marcinkowski jest płaski i wierszokleta prawdziwy; Mickiewicz jest półgłówek wypuszczony ze szpitala szalonych, który na przekor dobremu smakowi

---

(1) Ponieważ do utworów klasycznych nie bardzo już dzisiaj kto zagląda, wypisujemy więc tutaj oba zacytowane wiersze, z których bajka Niemcewicza nie jest wcale oryginalna, lecz naśladowana, a właściwie aż do morału tłómaczona z hiszpańskiego dra. Thomas de Iriarte.

Wychowaniec sławnéj szkoły,
Co w Smorgońskiéj leży ziemi,
Wspiąwszy się łapy tylnemi,
Tańcował niedźwiedź wesoły;
Pełen o sobie mniemania,
Sądził, że wdzięczny, powabny;
I że w sztuce tańcowania,
Dupart był przy nim niezgrabny;
Lecz próżność nigdy nie syta,
Chce jeszcze obcéj pochwały,
Więc niedźwiedź małpy zapyta:
Jak jéj się kroki jego podobały?
Czy tańczy lekko, czy ładnie?
Małpa uczona w łamańcach
I znająca się na tańcach,
Krótko mu rzecze: szkaradnie!
To czysta zawiść, niedźwiedź odpowiada,
W tém świnia z boku wypada,
Do tancmistra leci zwawo,
Wrzeszczy strasznie: brawo, brawo!
Na ten kwik niedźwiedź zmięszany,
Spuścił swe łapy na ziemię,
A że go nie bito w ciemię
I był dosyć rozeznany
Tak myśli: kiedy małpa mnie zganiła,
Powątpiewać zaczynałem,
Lecz gdy świnia pochwaliła,
Już się całkiem przekonałem,
Że tańcuję nie do rzeczy.



i rozsądkowi, gmatwaniną słów niepojętego języka, niepojęte i dzikie pomysły baje; Marcinkowski jest tylko głupi, Mickiewicz szalony; Marcinkowski pisać nie powinien, Mickiewicz myśléć nie umie; Marcinkowski w miłostkach swoich jest plaski i ckliwy prostak; Mickiewicz brudny, karczemny; Marcinkowskiego imaginacyą ciężką i tępą rozkołysały w niesforność Dziedzilije lubelskie; Mickiewicza niesforny zapał rozdmuchały brudne litewskie pomywaczki; Marcinkowski nie wie, że jest prostakiem i nieukiem; Mickiewicz z pychą i dumą przekonany, że szaleństwo jest poezyą, brudy farbami, ciemność światłem, niezrozumiałość doskonałością. Czekam cię, żebyś mi choć jeden jego pomysł, jeden obraz usprawiedliwił, *eris mihi magnus Apollo*..... Wyłączam z tego wiersz, pod tytułem *Wieczór*, w którym może się rozum czegoś domagać. Litwini tak są przejęci sławą swego smorgońskiego poety, że zarzucili wszystkie domy temi sonetami. Waleryan Krasiński pędem roznosi je wszędzie".

Morawski, pomiędzy zaciętymi klasykami posiadał najwięcéj zmysłu dla prawdziwéj poezyi, na list powyższy odpisuje już nie do

---

Tu przychodzi morał zupełnie już oryginalnie przez Niemcewicza pomyślany:

Zdanie niedźwiedzia miejcie w czułéj pieczy
O wy! pisarze wybrani:
Źle już gdy styl wasz, wyrazy,
Ważąc na rozsądku szali,
Uczony człowiek nagani;
Ale gorzéj tysiąc razy,
Kiedy je głupi pochwali.

Bajka Dmochowskiego *Młody i stary* jest następująca:

Podczas letniego upału,
Osioł zazwyczaj chodzący pomału,
Niespodzianie dostał gzika.
Wraz nasz jegomość rzuca się i bryka
Opadłe uszy podnosi do góry,
W tę i ową stronę pędzi,
I nowéj jakiéjś nabrawszy natury,
Rozdrażnionych sił nie szczędzi.
Gdy coraz bardziéj owad mu dojadał,
Już się nasz osioł z bólu nie posiadał,
Stracił zwyczajnéj cierpliwości narów,
Dobył sił wszystkich i w pędzie przeskoczył
Szeroki parów.
Gdy to jakiś młodzik zoczył:
— Ach patrzcie, patrzcie, zawoła,
Taka siła, dzielność taka,
Są arabskiego udziałem rumaka,
On jest ozdobą tutejszego sioła.
Wdziawszy na nos okulary,
Na to mu odpowie stary!
— Gdzież to rumak mój kochanku?
Poznaj z nogi, z uszów, z grzywy,
To osioł co od poranku
Jadł tu oset i pokrzywy.
— Zdrętwiały wiekiem człowiecze,
Ty chcesz sądzić? młodzik rzecze,
Głowa twoja nie do rady,
Choć już włosy ci zbielały,
Odmienne gustów zasady
Za naszych czasów powstały.
Nie patrzym głowy, nogi, grzywy, ucha,
Lecz gardząc kształtem, sądzim tylko z ducha.
Co zrobił stary, o to się nie pytam.
Ale będę jego zdania.
Mimo zapędów szału i skakania
Osła za konia również nie poczytam.
Może wniosek z téj bajeczki
Literackie skończy sprzeczki,
I wskaże naszéj młodzieży,
Że mimo uczuć i myśli gwałtowność,
Mało cenić nie należy
Wypracowania zalety.
Czem dla konia powierzchowność
Tém jest poprawność i styl dla poety.

ojca, ale do syna, do Andrzeja Koźmiana i, broniąc Mickiewicza jako poety, cale inne w sonetach jego rzeczy wykrywa; zawsze jednak smak popsuty w nim widzi i wszystko kończy utyskiwaniem: „Szkoda, że Mickiewicz nie żyje w stolicy.“

Sądy te szczęściem tak dla Mickiewicza, który pomimo podniosłego swego stanowiska i pomimo głębokiego przekonania o płytkości klasyków, mógłby na takie obelgi gniewem wybuchnąć, a jeszcze więcéj szczęściem dla niefortunnych sędziów, pozostały w tajemnicy korespondencyi prywatnéj, dopóki ich na podziw dzisiejszego pokolenia na jaw nie wydobył Siemieński (Obóz klasyków).

Przypuszczamy, że dla poety ponad opinie koryfeuszów warszawskich, cenniejszemi musiały być zdania jego przyjaciół i kolegów, co razem z nim na ławie szkolnéj wzrastając, z serc swoich dobywali promienie nowego słońca, mającego zejść nad Polską. Choć rozrzuceni teraz po przestrzeniach niezmiernego państwa, nie zapomnieli oni wspólnego swego ogniska, a gieniusz nowéj poezyi polskiéj, jaki wionął na nich z ciemnych lasów Litwy, stanowił to wewnętrzne między nimi wiązadło, którego ogniwa ze śmiercią dopiero pękają.

W znanéj dotychczas korespondencyi przyjaciół poety, spotykamy gdzieniegdzie dorywczo i krótkie opinie Tomasza Zana, tudzież z odpowiedzi Mickiewicza domyślamy się niesłusznych, niesprawiedliwych a boleśnych inwektyw Czeczota.

Zan unosi się nad sonetami, ale z charakteru już a w części z nałogu pozowania na surowego Spartanina, nie chce ich zbytnio chwalić, żeby czasem nie został posądzony o przyjacielską stronność i woli raczéj wytykać wady ich i usterki. Czepia się więc do słów pojedyńczych, obrazów i zwrotów, ale wyznać musimy, że spostrzeżenia jego nie należą do bardzo udatnych. Oto zdanie jego całe:

„W końcu zimy odebrałem słodkie, piękne, górne sonety (słodkimi lub pięknymi nazywa erotyczne, górnymi zaś krymskie). Są tu wierne pięknych położeń obrazy, prawdziwa historya serca poety, po mistrzowsku wykończona, klasycznie. Z sonetów pięknych najbardziéj mi się podobały trzy pierwsze, szósty, jedenasty, dwudziesty pierwszy; z górnych wszystkie, a mianowicie: *Stepy*, *Burza*, *Widok gór*, *Bajdary*, *Czatyrdah i Droga nad przepaścią*. Wiele pisać nie mogę, choć wiele skupiło się do pochwały. Boję się interesu, jakiego udział znajduję w twojem powodzeniu i chwale; niech raczéj wyszukam co do zganienia. Forma zewnętrzna musiała trzymać w obrębach przedmiotu imaginacyą, zdolną do najwyższego ulatywania. Ztąd wierność i wybitność malowideł, która tworzy rozkosz

skończoną, jeżeli nie dotyka chłodu. To nieskończenie się zbudzonéj rozkoszy jest głównym 'rysem Byrona Childa i Giaura. Odtworzenie zaś jest więcéj skutkiem gieniuszu, przytworzenie zaś woli. Tamto w sonetach jest doskonałe, to niewyraźnie ukrywane, unikane. I wyrażać się i wrażać, poeta niech stara się zarówno. Każda kropeczka na czystych widna obrazach: *szpony* niegustownie, *wiem co to być* nie okrągle, u *rąk pieczęć* śmiałość przyciemna, *muzyka kwiatów* zawcześnie, *depcząc* etc. za szorstko. *Droga nad przepaścią* obudza myśl nieskończoności więcéj i szczególniéj niż inne; pokazuje z gruntwagą po jakiéj stoi i wznosić się może człowieka myśl. Chociaż głębokość Tartaru spadkiem kowadła wymierzona, większą jest, bardziéj określoną. Przepaść Mirzy chwyta za serce człowieka, robi zawrót—upadniesz. Przecież znajomość świata fizycznego teraźniejsza, osłabia skutek wrażenia, jakieby Grek mógł odebrać, gdyby zdolny był pojąć naszego świata nieskończoność. Wystawiłeś ją ograniczoną, mogącą się mieścić całkowicie w swojem pojęciu. Idea nieskończoności utrudza z pewną rozkoszą, pochlebia człowieka wielkości; idea niepojętości morduje boleśnie, poniża go nieskończenie. Duch, wodzący Kaina po nieskończonych przepaściach czasu i przestrzeni, nie pokazał mu szczelin świata, zdaje się nie miał potrzeby, a rzeczywiście nie mógł. Jestem więc bardziéj za wyrażeniem *granice świata* jak *szczeliny świata*, za wyrazem *harmonia kwiatów* jak *muzyka kwiatów.*“

Drugi uniwersytecki Mickiewicza kolega, Jan Czeczot, dawno już przeciw poecie zbierał rozmaite zażalenia, a wybuchły one dopiero po przesłaniu mu sonetów. Jakie zaś były wszystkie punkta tych obwinień, czy krytyka sonetów obszerne wśród nich zajmowała miejsce i czy napisał on sam do Mickiewicza, czy téż zażalenia jego doszły przez osoby trzecie, trudno wiedzieć napewno; list bowiem jego nie znajduje się w zbiorze korespondencyj Mickiewicza, a tylko odpowiedź poety na zarzuty.

Dziwny to rzeczywiście charakter, biorąc zwłaszcza pod uwagę wiek jego młody, był ten Czeczot. Z tego, co o nim w „Listach swych z podróży“ opowiada Odyniec, z przytoczonego tam jednego jego zgryźliwego i gderliwego listu (List do Jul. Korsaka z Rzymu d. 6 lutego 1830 r. Listy z podróży T. III) wygląda on inaczéj, aniżeli wszyscy jego koledzy, filareci, którzy z taką rezygnacyą, z takiém poddaniem się znosili swą biedę i tułaczkę, nie tracili nigdy nadziei, wierzyli w lepszą przyszłość i ubóstwiali swoję *pierwszą kochankę* (ojczyzna), „która, jak się wyraża Miczkiewicz, ma w nas wszystkich gorących i stałych kochanków i biada nam, jeśli na chwilę jeden o stałości drugiego wątpić będzie.“ Najdokładniéj może odmalował

go Odyniec, bo go téż znał najlepiéj, młodszy bowiem znacznie od Czeczota, wstępując na uniwersytet był opiece jego powierzony i odtąd téż wzajemnie Telemakiem i Mentorem siebie nazywali. Czeczot w uniwersytecie już zdradzał usposobienie żółciowe i hipochondryczne i kiedy Zan do moralności, surowości, powagi i czystości obyczajów łączył idealną i młodzieńczą, „teoryą promionków“, aby poetycznie wznosić młode umysły ponad ziemskie błoto; Czeczot gderał tylko ustawicznie i za najmniejszym pozorem zaraz winnych od zasad honoru i uczucia polskości odsądzał. Uwięziony w Bazyliańskim klasztorze, zmienił nagle humor i składał wesołe piosneczki, żeby zaś w śledztwach był mniej stały jak jego koledzy, i żeby w zasadach swych zmiękł, o to niesłusznie już posądza go Klaczko (korespondencya Mickiewicza), z listu bowiem Mickiewicza to się nie pokazuje (1).

Naturalna rzecz bardzo, że z wysyłką na wygnanie humor Czeczota zgorzkniał jeszcze bardziéj i że wszędzie widział on złe i niewłaściwość bądź pracy, bądź postępowania wytykał kolegom swoim. Zan nawet, którego wszyscy koledzy uważali za rodzaj świętości, przed zarzutami także się nie ostał, a na Mickiewicza spadło ich najwięcéj, zapewne dla tego, że był on ze wszystkich najwybitniejszy. Gniewało Czeczota, że w Odessie Mickiewicz wszedł w wyższe towarzystwo, że się tam bawił, kochał i o miłości zamiast o ojczyźnie śpiewał. Nie pomagało to, że jeśli Mickiewicz zkądkolwiek grosz jakiś dostał, zaraz się nim z kolegami dzielił, a *dobry Janek* (Czeczot) nie bywał nigdy zapomniany. Ta strona charakteru naszego wieszcza stanowi bardzo piękną między licznemi jego zaletami, to téż ma on

---

(1) Odnośne miejsce listu Mickiewicza do Czeczota jest takie: „Mam ci przypomnieć dwie rzeczy: 1) Jakim byłeś w pierwszych dniach nowicyatu u ks. Franciszkanów?—czy Aleksander nie mógł na ciebie wtenczas piorunować z pieca—chociaż pewny jestem, że tego nie uczynił? Jeżeliś potém nabrał serca i sypał z rękawa piękne piosenki zapytaj sumienia czy to twoja zasługa, a raczej nie łaska niebios, które ci zesłały anioła pociechy? Uważaj tedy, jak człowiek sam jest słaby! 2) Przypomnij jakim był Tomasz w Zamku zaczarowanym, zaprawdę, powiadam ci, że kilkomiesięczne życie Tomasza więcéj warto niż dziesięć lat naszéj teraźniejszéj stałości. Dał on próbę kochania. Pewny jestem, że w podobnych okolicznościach i terazby podobnie postąpił. Twój stoicyzm teraźniejszy w porównaniu do jego owéj przytomności umysłu i cierpliwości tyle ma zasługi ile niewinne życie anachorety w porównaniu do męztwa bohatera“... Dodać potrzeba, że koledzy, pisząc do siebie, wyrażali się figurycznie, aby się na nowo wobec rządu nie kompromitować, co i z tego ustępu widać dokładnie. Ztąd wszystkiego dzisiaj zrozumiéć nie można, jak naprzykład owego ustępu o niebiosach, co zesłały anioła pociechy. Mimo to z niejasnych tych wyrażeń nie da się jeszcze przeciw Czeczotowi sformułować zarzut, jaki Klaczko stawi w tych słowach: „Dawny współwięzień w Wilnie nie okazał on zrazu tego nadzwyczajnego hartu, jakiego potém żądał po swoich.“

zupełne prawo, nie w celu jakiejś przechwałki, ale z całą sumiennością i dumą tak mówić o sobie: „Prawda, że czasami źle marnuję pieniądze; ale kiedy mam grosz, każdy przyjaciel, może z niego wziąść trzy czwarte.“

Czeczota ta pomoc pieniężna i te przesyłki niepokoiły i bez wahania też postawił takie obwinienie: „Adam przysyła czasem jemu i Zanowi trochę pieniędzy—zkąd je bierze?“ Za tym szedł zarzut drugi: „Adam widuje często wielkie panie i panny świata—w jakim celu?“. Do tego przybyła pretensya, że Adam napisał sonety, w których o miłości tylko mowa, że sonety te wyszły w Moskwie, a więc Adam godności swojéj niepomny, zasiada przy stole Moabitów. Słowem, ni mniéj ni więcéj, tylko obwiniano Adama, że polskości swojéj się zaparł, że za piękném liczkiem i sutą ucztą gotów pójść nawet wbrew swoim przekonaniom. Zarzut to ciężki i straszny, a spotkanie się z nim tutaj tém przykrzejsze robi wrażenie, że ten, który ponad wszystko umiłował ojczyznę jeszcze nieraz w życiu swojém, jak to zobaczymy późniéj, boleśnie pod nim jęknie. Teraz nawet boleśniejszą on może był jak późniejsze, bo pochodził z ust tego, który go znać powinien, gdyż go widział w natchnieniu, w nieszczęściu i w czynie.

Odpowiedź Mickiewicza na te zarzuty, datowana z Moskwy 3 stycznia 1827 r., jest niezmiernie ważna, bo maluje nam dokładnie poetę, „dozwala nam — jak mówi słusznie Klaczko (korespondencya M.)—bardzo głęboko zajrzéć w zewnętrzny i wewnętrzny stan poety i daje nam jeden z tych rzadkiéj wierności portretów, jakich dla siebie od Piotra Lely wymagał Cromwell: *with sears and wrinkles.*“ Uderza przedewszystkiém w liście tym praktyczny i zdrowy pogląd na świat i rzeczy, pogląd, który poeta nasz w tak wysokim posiadał stopniu i który go chronił od zabłąkania się w uroczych, ale zbyt idealnych krainach poezyi. Obok niego zaś wzniosłe poczucie obowiązku narodowego odpowiadają poetycznemu umiarowi. Charakterystyczną także jest wzmianka o Machiavellim i Fiescu Szyllera, z któréj jasno widać, że poeta wśród uczt przetrawiał już swojego Wallenroda, i że towarzyska wesołość nie zdołała z łona jego wypędzić harpii bólu narodowego. Do téj kwestyi przy Wallenrodzie wrócić jeszcze będziemy musieli.

Druga okoliczność, jaka się nastręcza przy czytaniu téj prawdziwie krwią serdeczną pisanéj odpowiedzi Mickiewicza, jest spostrzeżenie, z jaką to szczerotą, miłością, uległością niemal i pokorą Mickiewicz z robionych mu zarzutów się tłómaczy. „Do pedanta—jak słusznie mówi Klaczko (l. c.),—do gderacza, co prawie zakrawa na tyrana i co od lat tylu dręczy najlepszych przyjaciół, do człowie-

ka wreszcie bez żadnéj wyższości i bez żadnéj chwały, pisze gieniusz, którego sława zapełnia ojczyznę, w całéj nawet Europie nabiera rozgłosu, ciemiężców samych, bojarów do hołdów skłania; pisze ulubieniec muz i mody, któremu zewsząd potęga i piękność sypią kadzidła i wieńce; pisze w końcu ten Adam, w którym najczystszy z czystych i najwierniejszy z wiernych, w którym Tomasz Zan nie tylko żadnéj nie znajduje winy, ale dla niego same ma wciąż słowa szacunku, uznania i uwielbienia.“ Zapewne nie jeden na miejscu Mickiewicza pogardąby na takie zarzuty odpowiedział, stosunek dawny by przerwał i w milczeniu niesłuszne posądzenie przebolał. Mickiewicz tego nie uczynił. Dla czego?—Bo cenił świętość związków, w jutrzence życia na ławach litewskiego grodu zawiązanych, bo rozumiał jaką jest wzniosłą i wielką rzeczą przyjaźń, bo pragnął, aby węzły zaciśnięte młodzieńczém marzeniem, wspólnemi nadziejami, wspólnemi smutkami, nieszczęściami i próbami, wraz z przyjaciołmi do mogiły poszły, żeby trwały według jego wyrażenia „do końca świata i po końcu świata.“ Niech więc i ten drobny szczegół posłuży do odmalowania wielkości jego serca.

Ciekawéj téj ze wszech miar odpowiedzi Mickiewicza nie przytaczamy tutaj całkowicie, zda się nam bowiem, że jest ona wszystkim znana dokładnie; w zamian zaś za to zwracamy uwagę na szczegół, który w tłómaczeniu się Mickiewicza z zarzutów pominięty, sam już od zarzutów Czeczota by wstrzymał, gdyby uważniéj był przeczytał przesłane mu sonety. Zanim bowiem Czeczot zwrócił uwagę, że Mickiewicz nie wznosi się na stanowisko narodowego poety. a o miłostkach tylko grucha, już sam wieszcz nad tém zabolał i bądź z powodu zarzutów, dochodzących z zewnątrz, bądź z własnego swojego niezadowolenia tłómaczył się w sonecie *Ekskuza*, kończącym się słowami: „Taki wieszcz, jaki słuchacz“.

Z tego sonetu widać dokładnie, że Mickiewicz czuł sam niewłaściwość swéj twórczości, ale zdawało mu się zarazem, że gdyby lutnię na inne nastroił tony, nie pojęli by go jego słuchacze, zimni, obojętni, a nawet głupi, co w pełném szyderczości wyrażeniu o ich *zdziwionych słuchach* z taką dobitnością wypowiada. Jednak, właściwie powiedziawszy nie zupełnie winno było temu otoczenie, ale raczéj wewnętrzne usposobienie samego poety. Zawody, jakich doznał w swych miłostkach, a właściwie, jakie weń wmówiono, wyrobiły w nim niezadowolenie, gorycz, których ślady tak są wyraźne w sonetach: *Danaidy* i *Pożegnanie* i skutkiem takiego usposobienia, obyczajem już wszystkich ludzi, a zwłaszcza artystów, wszystko widział w czarnych kolorach. Po chwilowéj przykrości nastąpił rodzaj przesytu, niesmak i zniechęcenie i nie potrzeba było uwag pocho-

dzących zzewnątrz, aby potężny umysł jego nie miał dostrzedz, że obracanie się w ciasném kółku dorywczych miłostek i rozkoszy, nie dla niego—bo go wyższe i świętsze powołanie czeka.

Uczucia te i ta wskazana tutaj, przez pojedyńcze stopnie przechodząca ich geneza dokładnie zarysowały się w wierszu, zatytułowanym *W dzień odjazdu*, napisanym 25 października 1825 r. Wprawdzie i on przepełniony jeszcze tąż samą goryczą, wprawdzie poeta wmawia w siebie, że Odessy żałować nie powinien, a jednak wspomnienia doznanych tu rozkoszy wiążą jego kroki do pustych komnat, dla odpędzania więc od siebie tych smutnych myśli, wmawia on w siebie, że są to wspomnienia z czasów, kiedy był młodym, namiętnym i kochanym. W życiu praktycznem nie tylko dni i godziny ale nawet pojedyńcze lata nie zamieniają młodzieńca na starca i my wiemy, że Mickiewicz wyjeżdżał z Odessy młodzieńcem w najobszerniejszém pojmowaniu tego wyrazu; w bujnéj atoli jego wyobraźni zdaje mu się, że on już starzec wychłudły,

Stokroć boleśniéj (powiada) płacze starzec obojętny!
Młodemu lekko umrzéć. On, nie znając świata,
Myśli żyć w sercu żony, przyjaciela, brata:
Ale starzec, co z życia zdjął szatę obłudy,
Niewierzący w nadludzkie, ani w ludzkie cudy,
Zna, że całkiem na wieki zamyka się w grobie.....

Bądź co bądź, rozważywszy ten stan swój szczególny, spostrzega błędy, widzi fałszywość drogi i na takie zdobywa się postanowienie:

Lećmy! Szczęściem zostały pióra do powrotu;
Lećmy, i nigdy odtąd nie zniżajmy lotu!...

Ponieważ wiersz ten w 1825 napisany jest roku, a list Czeczota nastąpić musiał znacznie późniéj, kiedy odpowiedź nań w 1827 r. dawano, przeto owo zestawienie dat świadczy, że Mickiewicz sam najlepiéj rozumiał, dokąd powinno się kierować jego natchnienie i, acz uwagi a rady przyjaciół z właściwą mu miłością i serdecznością przyjmował, przychodziły one jednak zwykle zapóźno.

Zwróćmy się jednak do owéj pierwszéj części sonetów, o których nasłuchaliśmy się tyle zdań najrozmaitszych, i zastanówmy się, czy treścią swą ubliżały one godności poety, czy rzeczywiście były tak zdrożne i czy rzeczywiście miał racyą Morawski nazywać je *paskudztwem*?

Po głębszém wczytaniu się w nie, nie tylko że na zarzuty te będziemy musieli odpowiedzieć przecząco, ale owszem sonety te ja-

ko dzieło sztuki postawimy bardzo wysoko. Znana jest powszechnie opinia teoretyków francuzkich, że jakkolwiek forma sonetu u ludów romańskich obficie się spotyka, techniczna jednak trudność tego rodzaju poezyi ma być tak wielką, że przyjmuje się, iż na sto sonetów jeden tylko może odpowiadać wszystkim wymaganiom formy i treści. Gdyby teoretycy ci do Mickiewicza zajrzéć byli w stanie, przekonali by się, że pojedyńcze poetyczne formy kuje nie tylko gieniusz narodu, ale i gieniusz artysty.

Sonety te, o których wspomnieliśmy, że się odnoszą do Maryli i za przewodem Petrarki poświęcone są dawnym wspomnieniom, odznaczają się barwą zupełnie różną od pozostałych. Uczucie tęsknéj melancholii, w któréj utrata kochanki zlewa się z żalem za krajem, za Niemnem i dolinami Kowna, smutne są, ale dziwnie poetyczne i słodkim a łagodnym smutkiem napełniają duszę czytelnika. W początku poeta nasz z naśladownictwa Petrarki wychodzi, ale powoli, w miarę tworzenia, konwencyonalizm niknie a miejsce jego zastępuje prawdziwe uczucie. Miłość jego uroczysta i wzniosła, ale nie pozbawiona prawdziwéj, z natury człowieka wynikającéj ziemskości. Od wewnętrznego, idealnego dusz zlania, przechodzi ona całą gamę uczuć aż do pożądliwości, aż do tego, że poeta, szatana zazdrości do serca swego raz przypuściwszy, wyznaje, że pod wpływem namiętności, ważył by się nawet na zbrodnię. Widzimy tu człowieka, który kochał silnie i namiętnie, ale po ludzku, uczucie to zaś realizmu i prawdy silniéj naturalnie występować musi, skoro stosunek idealny zmienia się na rzeczywisty, skoro młody a namiętny poeta spragnione usta przytyka do kielicha rozkoszy. Mówimy tu o sonetach, w których pani D. D. główną gra rolę.

Stosunek ten, sądząc go według zwykłych pojęć moralnych, zapewne był zdrożny, ale, gdzie dwie istoty wyższym obdarzonych duchem, a przytém młode i namiętne ku sobie się chylą, rozwiązanie podobne staje się nieuniknioną koniecznością. Swoboda wyższego świata, nałóg dogadzania pragnieniom, nieprzezwyciężona sympatya wzajemna wrzucić muszą w ramiona jedno drugiemu, mimo najsurowszych przestróg moralisty. Ze strony kobiety piękność zewnętrzna i zdolność do wyższych porywów; ze strony mężczyzny gwiazda gieniuszu świecąca na jego czole, przed którą oprzéć się nie są wstanie szczególniéj kobiece, więcéj uczuciowe serca—są to pierwiastki wyższe, które w stosunku podobnym idealizują, podnoszą i opromieniają zwykłą i pospolitą krewkość. Że i tu tak było najlepiéj po rozpatrzeniu się w rzeczywistych wypadkach wspomniane sonety dowodzą.

Czy zaś są one tak bardzo zdrożne, tak nieprzyzwoite?—Nigdy, Dziwna rzecz, klasycy, nieograniczeni wielbiciele francuzkiéj literatury, która właśnie najswawolniejszą była w końcu XVIII w., ludzie, którzy już z powodu swéj nazwy literaturę grecką za wzór uznawać byli obowiązani, ludzie ci krzyknęli gwałtu i jak jeden mąż powstali przeciwko poecie, który tu właśnie miłość opiewał tak, jak ją pojmował świat klasyczny.

Z saméj natury człowieka wynika już, że nie tylko idealne jego dążności, ale życie jego całe, jego namiętności, są wybornym dla sztuki przedmiotem. Rozpływanie się wyłączne i ciągłe w sferach nadziemskich, musi w końcu wyrodzić się w ckliwość i znużenie, przez to samo już, że zaneguje cząstkę składową istoty człowieka. Wszystkie nadto uczucia i wrażenia, wypływające z naszéj natury zmysłowéj, nie są całkowicie pozbawione strony pięknéj, estetycznéj i idealizowanie ich stanowi zadanie sztuki, która nie zrywając z naturą ludzką podnosi to, co umysłom pospolitym zwierzęcością się tylko wydaje. Negując ten pierwiastek, zanegowalibyśmy całą sztukę plastyczną, która bądź co bądź w rozwoju ducha ludzkiego stanowi jedno z bardzo ważnych stanowisk; zanegowalibyśmy twórczość grecką, poezyą i romansopisarstwo francuzkie, które przecież w rozwoju sztuki ogólnoludzkiéj gra jakąś rolę. Wielka jest różnica między tym, co w rozpuście a wyuzdaniu rozkosz widząc, zniża naturę ludzką do obrzydliwego zwierzęcego poziomu; a tym, który we wszystkiém co ludzkie estetycznego piękna dopatrzyć się zdoła. Pierwszy stoczy się do znaczenia zwykłego bydlęcia; drugi żywotne przeznaczenia człowieka pod wyższe estetyczne, a nawet etyczne cele podporządkuje. Natury ludzkiéj i ciążących na człowieczeństwie obowiązków nikt się nie wyprze; ten zaś, kto je milczeniem pokryje i w skrytości zachowa, odegra rolę faryzeusza. Przesada w kierunku zmysłowym wiedzie do rezultatów, do jakich doszedł dzisiejszy *naturalizm* francuzki; utajenie zaś jego i negowanie ich przeradza się w chorobliwy sentymentalizm, od jakiego ze wstrętem odwraca się zdrowa natura ludzka. *Homo sum et nihil humani a me alienum*, oto zasada, na jakiéj oprzéć się powinna prawdziwa sztuka i bez niéj wszelkie próby i usiłowania jałowemi pozostać muszą.

Że Mickiewicz w sonetach dotknął téj życiowo-zmysłowéj strony, że wykazał, iż w życiu jest ona koniecznością a nie anomalią, wielka to jego zasługa. Szekspir, który w XIX w. doczekał się dopiero właściwego uznania, dowiódł przed odzywający się dziś za nim *vox populi*, gdzie leży prawdziwa gienialność poetycka. Malować człowieka takim, jakim jest i jakim być powinien—oto rezultaty, do jakich ludzkość po kilkowiekowych pracach dochodzi. Ci, którzy

w ludzkich stosunkach widzą tylko brudną ich stronę, nie wzniosą się nigdy na prawdziwy szczyt poezyi—sądy ich będą fałszem wiecznym i obłudą i dowiodą tylko, że natura odmówiła im poczucia prawdziwego piękna, niech więc o ustalenie zasad jego daremnie się nie kuszą.

Mickiewicz, jako autor sonetów erotycznych, w przekonaniu naszém podnosi się bardzo wysoko, słowo jego przystępném staje się nawet dla tego prostaczka, co zostając pod wpływami natury, chroni zarazem w swém łonie boski pierwiastek wyższości, który go nad zwierzę, nad naturę wynosi. Tu, w tych sonetach szukać trzeba rozjaśnienia tajemnicy, dla czego, kiedy poeta nasz wznosił się w najwyższe sfery zagadnień ducha i nadziemskich natchnień, nie zbłąkał się nigdy w niepochwytnym eterze i przemawiał językiem, który na ziemi polskiéj był zawsze zrozumiały i pojęty. Wynikało to ztąd, że stał na realnym i rzeczywistym gruncie i wszystko z ludzkiéj wyprowadzał natury.

Mała ta wiązanka erotycznych sonetów wynika ze stosunków życiowych poety i stanowi chwilę przejściową, w której wdziękiem swobodnego pociągnięty życia, podniósł na chwilę Horacyuszowską zasadę *carpe diem.* Gdyby nie stwierdzały nam tego biograficzne szczegóły, dowód na to wymowny i w samych znajdujemy sonetach, a szczególniéj w wyłącznem przywiązaniu, jakie objawiał poeta dla sonetu XII. Ofiarując egzemplarz sonetów ks. Wołkońskiéj, ten a nie inny ze wszystkich wybrał i w tłómaczeniu francuzkiem na czele książki go wypisał: Brzmi on w ten sposób:

Poezyo! gdzie cudny pędzel twojéj ręki?...
Gdy chce malować—za cóż myśli i natchnienia
Wyglądają z wyrazów, jak zza krat więzienia,
Kryjących i szpecących tak ubogie wdzięki?....

Na cudzéj ziemi nie zna praw dawnego pana,
I zamiast pieśni znaki niepojęte kreśli:
Muzyczne znaki pieśni... Lecz ta pieśń niestety,
Nigdy jej miłym głosem nie będzie śpiewana...

Sonet ten zbyt wyraźnie wypowiada, że poeta chciał pozostać wierny uczuciu, jakie we własnéj jego ziemi ojczystéj, jak jasna gwiazdka na czoło jego zeszło, że chciał żywotne swe soki nie zkąd innéj lecz z rodzinnéj czerpać roli. Dzisiaj on wygnaniec, tułacz, więzień prawie. Zamiast sielanki marzonéj w młodości uśmiecha mu się wielko światowa rozkosz, on się jéj broni, radby pozostać na gruncie, który go wydał, ale fala przeznaczenia w nieznane światy go niesie. Gdzież środek oparcia się temu? Jakiż sposób wyprowa-

dzenia poezyi zza kraty na wolność?. .Może dla rygorystów, którzy widzą winy tam, gdzie ich nie masz, ta maleńka spowiedź z wewnętrznéj walki poety, jako usprawiedliwienie wystarczy.

* * *

Od sonetów erotycznych przechodząc do krymskich, stajemy zdumieni i przejęci podziwem i pytamy: co to? Czyż poezya, czyż słowo może wydrzeć w podobny sposób pędzel malarstwu, czyż w kilku ulotnych znikomych wyrazach można tak odmalować cudowny, tajemniczy, obcy dla oka Europy mieszkańców świat, obraz Azyą nawskróś tchnący, gdzie wśród gruzów rozlicznych cywilizacyj leżą dotąd niezatarte ślady boju między Europą a Azyą, gdzie na zielonym półwyspie, okrążonym szmaragdowém morzem, zamknął się wierzący w fatalizm Tatar i drwi z usiłowań, jakie ku ujarzmieniu jego przedsiębiorą Giaury? Po kilkakroć poezya wkraczała na opisowe pole, pokilkakroć pozazdrościła krajobrazowi i chciała z nim w szranki wystąpić, a jednak, nie zamykając się nawet w ciasnéj formie sonetu, nie odkradła nigdy malarstwu barw i cieniów, nie umiała dać fantazyi ludzkiéj nawet równie słabego wyobrażenia, jakie daje najpospolitsza bodajby danéj miejscowości rycina. Znamy rozpowszechnione u Włochów sonety opisowe, zwane *maritimi*, *pescatorii* lub *boscherei*, znamy usiłowania w tym kierunku takich poetów, jak *Tolomei*, *Varchi* i *Tasso*, mamy zresztą w literaturze naszéj podobne usiłowania Konstantego Gaszyńskiego, a jednak...... każdy z nich nuży wyobraźnię czytelnika, męczy go napróżno i celu nie osiąga. Dla czego? Bo każdéj sztuce wytknęła konieczność właściwe pola, bo przerzucanie się na szlaki nieodpowiednie musi niepowodzenie sprowadzić, bo słowo, dźwięk i ruch życie i czyn malować muszą, a zlodowacieją i chłodem odstręczą, jeśli do opisu miejscowości się zabierają. Lud grecki, arcymistrz w poezyi i sztuce, wykazał tę wielką i niezaprzeczoną prawdę, że malowanie miejscowości nie jest właściwością słowa, jako siły; że władanie nad niemi należy boginiom i półbogom jako symbolom i przedstawicielom natury,—a rozlawszy po niéj panteizm, działającemi istotami i żywemi siłami je uczynił. A jednak zasada ta, pokazuje się, jak i wszystkie inne, na wyjątki pozwala i Mickiewicz ze swemi Sonetami krymskiemi stanowczo dowodzi, że opisowość w poezyi możliwa i przez gieniusz poparta cuda wytwarza. Jakim sposobem stać się to mogło, zagadka to, która na pierwszy rzut oka trudną do rozwiązania się nam wydaje. Rozwiązuje się atoli choć w części przynajmniéj skoro nad wewnętrznym stanem poety i nad środkami technicznemi, jakich użył, się zastanowimy.

Julian Klaczko w bardzo cennym i rzeczywiście głębokim artykule, poświęconym Sonetom krymskim (la Crimée poetique), powiada zupełnie słusznie, że wyższe istoty ludzkie, dla których piękność natury jest rzeczywiście przystępną, wtedy jéj wdzięki z całą siłą odczuwać zwykły, kiedy nieszczęścia i cierpienia wewnętrzne z pośrodka ludzi ich wypędzą. Czy zaś cierpienia te pochodzą z nieszczęść rzeczywistych, czy są rezultatem, wynikającym z poczucia własnéj nicości jak u Ojców kościoła, czy wynikają z mizantropii przesadnéj jak u Rousseau, czy z szaleństwa dobrowolnych tułaczów jak u Byrona: wszystko to jedno, i gdybyśmy nie brali już pojedyńczych ludzi lecz epoki, to faktem jest, że poezya opisowa pojawiać się zwykła po wielkich nieszczęściach, lub wielkich wstrząśnieniach politycznych. Tak kwitnie ona w Hiszpanii po wojnie z Maurami, we Włoszech po wieku Sawonaroli, we Francyi i Anglii po krwawych wypadkach rewolucyi pojawia się w poematach Byrona, w prozie Chateaubriand'a, w luźnych marzeniach Lamartine'a i namiętnych opisach Wiktora Hugo.

Spostrzeżenie to, ze wszech miar słuszne, przenosi Klaczko i do naszego poety i twierdzi, że Mickiewicza podwakroć muza opisowa z rozpaczy ratowała: raz, kiedy wyrwany z łona Litwy na brzegi Euxynu został przerzucony; drugi raz kiedy po wypadkach 1831 r. rozpacz swą w opisach pana Tadeusza zatapiał. Do téj uwagi znakomitego krytyka dodajemy jeszcze szczegół, jaki wynikał ze swawolnie zawiązanego w Odessie stosunku, szczegół, który we wrażliwéj duszy poety wywołać musiał gorycz i pogardę dla tak łatwo łamanych przyrzeczeń, a tęsknotę za Litwą wzmagał tém więcéj, ile że ona oddalona i uroczemi opromieniona wspomnieniami wydawała się krajem błogosławionym, gdzie zbrodnie podobne nigdy miejsca nie mają.

Rzadko się zdarza spotkać usposobienie tak wrażliwe na wdzięki natury jak było u Mickiewicza; to téż podróż do Krymu była dlań prawdziwym balsamem na wszystkie rany sercowe. Dla mieszkańca ponuréj i lesistéj Litwy Krym ze swoją jaskrawością wschodnią z zielonością stepów i koralem burzanów, z piętrzącemi się skalistemi górami i morzem rozpryskującém się przy brzegach półwyspu był zupełną a wielce ciekawą nowością. Dla tego téż całą duszą do téj bogatéj natury przylgnął, utonął w niéj i zapomniawszy o towarzystwie w jakiem się znajdował, o powinnéj dla niego grzeczności zapomniał, najczęściéj sam, albo z przewodnikiem, języka którego nie rozumiał, w puste stepy i między ponure skały się zapuszczał. Że natura ta na niego silnie oddziaływać musiała, wynika to również i ztąd, że w Krymie poraz pierwszy objawiła się u niego mania, któ-

rą tak często Odyniec skonstatował i zapisał, mania rysowania tego co oczyma swemi oglądał a w duszy odczuwał. Rysować wcale nie umiał a jednak dobywał ołówka i na papier starał się przenosić to co widział, zdawało mu się bowiem, że tak dokładnie oglądane piękności odczuwał, iż trudności techniczne nie powinny mu stawać na zawadzie. W małym konotatniku p. Lacroix oglądaliśmy kilka takich rysunków i doprawdy oglądając je, śmiechem wesołym parsknąć potrzeba, bo jest to coś w guście fantastycznych figur, jakie dzieci kreślić zwykły na piasku, a jednak w pragnieniu utrwalenia tego, co oczy czarowało, łatwo dostrzedz wpływy, jakie natura ta wywierać na niego musiała. P. Sobańska doradzała mu ciągle ołówek na pióro zamienić, ale poeta słuchać jéj nie chciał i dla tego wielka była radość otaczających go osób, kiedy p. Kałusowski, który mu raz w konnéj wycieczce towarzyszył, zakomunikował pod sekretem dziedziczce, że pan Adam konia mu powierzył, sam zaś na miękkim mchu, wśród gęstwy burzanów, „jak pastuch“ na brzuchu się położył i na małych karteluszach drobném pismem coś bez ustanku pisał.

Klaczko twierdzi, że jakkolwiek Sonety krymskie w literaturze europejskiéj nie mają nic równego, jednak utrzymuje, że forma sonetu, owo prawdziwe łoże Prokrusta nie jest wcale dla poezyi opisowéj odpowiednie. Nam się to nie zdaje. Każda inna forma w przesadę, w ckliwość, w monotonność popaść by musiała a sonet dla tego wdzięcznym jest bardzo, że w szczupłych ramach zamyka się nie tylko opis danéj miejscowości, ale i osobiste wrażenia poety, surowe zaś stosowanie się do ciasnych technicznych reguł sprawia, że owo osobiste uczucie, niby morał z bajki, z opisu wynikające, stosować się musi do ciasnych ram i na przesadę nie dozwala. Ztąd wynika, że po skończeniu sonetu, po zamknięciu obrazu, czytelnik kładzie na bok książkę i choćby wyobraźnia jego bardzo nawet ociężałą była, biegnie w światy nieznane, a miejscowość jest tu już rzeczą obojętną, bo nie ona właściwie lecz obraz jéj przez sztukę wywołany wrażenia te budzi.

Wpływ, jaki się rodzi pod wrażeniem rozpatrywania się w pięknéj naturze, zawsze posiada pewną ilość nieopisanéj jakiejś tęsknoty i rzewnego smutku. Może to uczucie nicości ludzkiéj wobec olbrzymich dzieł Stworzyciela, może ukołysanie żądz i pragnień, które robiąc z serca czystą falę jeziora, odbijają w niém jak w zwierciadle wszystkie drogie z przeszłości pamiątki. Urok Sonetów krymskich właśnie i na tém w znacznéj części polega, że uczucia te i wrażenia są zupełnie proste i naturalne i że nie inne a takie właśnie pod przytaczanemi opisami rodzić się muszą. Weźmy dla przykładu Sonet

pierwszy: *Stepy Akermańskie.* Bezmiar bez granic, przestrzeń horyzontem nieba jedynie zamknięta, woń rozlana dokoła i cisza przenikająca jak wśród grobu, któryby ktoś błękitem nieba przykrył, zielenią roślinności udziergał, wonią kwiatów nasycił. Serce w zadumie i tęsknocie się rozlewa, myśl po za te błękitne granice płynie a ucho chwyta by najmniejszy szelest. Daléj więc, daléj posłać ją na zwiady. Ale zostawmy lepiéj słowo poecie:

Wpłynąłem na suchego przestwórz oceanu;
Wóz nurza się w zieloność i jak łódka brodzi,
Wśród fali łąk szumiących, wśród kwiatów powodzi,
Omijam koralowe ostrowy burzanu.

Czyż jest w jakiejbądź sztuce sposób, który by z większą dokładnością postawić by nas był wstanie wśród téj dziewiczéj natury? Suchy ocean to owa niezmierzoność stepu, wóz brodzący w zieleni jakąż wspaniałą dają ideę tego żeglowania po bezmiarze; powódź zaś kwiatów, korale burzanu, fala łąk szumiących, przenoszą nas od razu w kraj, gdzie barwy oślepiają oczy, powonienie od zapachów omdlewa i rozkosz ciśnie się przez wszystkie pory ciała.

Już mrok zapada—nigdzie drogi ni kurhanu;
Patrzę w niebo, gwiazd szukam, przewodniczek łodzi:
Tam zdala błyszczy obłok, tam jutrzenka wschodzi.....
Tu błyszczy Dniestr, tu wzeszła lampa Akermanu!

Do pejzażu więc dołącza się pojęcie czasu a ucieczka do gwiazd jako kierowniczek w drodze, porównanie do oceanu silniéj jeszcze utrwala. Daléj zakreślają się granice cudownéj dekoracyi a odległość nadaje im tajemnicze i cudowne kształty.

Stójmy!... Jak cicho!... Słyszę ciągnące żórawie,
Którychby nie dościgły źrenice sokoła,
Słyszę kędy się motyl *kołysa* we trawie,
Kędy wąż śliską piersią dotyka się zioła....,
W takiéj ciszy tak ucho natężam ciekawie,
Że słyszałbym głos z Litwy... Jedźmy,—nikt nie woła!

Jakież to cudowne, jakież wzniosłe, a zarazem prawdziwe. Niech czytelnik postawi się myślą w takiéj uroczystéj ciszy, niech wstrzyma swą stopę, aby jéj szelestem spokoju w naturze nie przerwać, niech wsłucha się w ten uchem nie ujęty koncert, który obok niego, nad nim i pod nim się wyrywa, niech wyobrazi sobie, że jest biednym wygnańcem, tułaczem, że żmija tęsknoty i jad nostalgii serce mu wygryza, a pytamy, czyż nie wytęży ucha ku stronie rodzinnéj? Jeżeliż słyszy wyraźnie w trawie trzepot motylich skrzydeł,

który dotąd nigdy do ucha jego nie dolatywał, to czyż pieśń rodzinna, głos drogich mu osób nie jest silniejszy nad radość i uciechę tego znikomego owadu?! Próżno —„Jedźmy, nikt nie woła!“ Ileż w tych kilku słowach strasznego bólu, ileż zawodu, jakież zimne i okropne dotknięcie rzeczywistości, która mrozi rozbujałe na falach marzenia serce? Dwa są powody podobnie strasznéj odpowiedzi: albo na owéj Litwie nie masz nikogo, ktoby o nim myślał; albo, surowa rzeczywistość uczy, że głos ztamtąd kilkusetmilowéj przestrzeni przedrzéć nie jest w stanie. I jedna i druga alternatywa straszna, ból więc serce wygnańca zalewa, rozpacz w kręgi je bierze, i spuściwszy smutnie głowę na piersi, szepcze: idźmy, uciekajmy z tych miejsc, gdzie taka cisza, taki spokój i takie szczęście. I zamykamy książkę, i myśli swéj długo do równowagi doprowadzić nie możem, i cicho powtarzamy tylko: ach, on mistrz nad mistrze!

Niech ktoś tenże sam obraz w długi poemat opisowy rozsnuje, niech uczucie poety na długie żale i treny rozwiedzie, to czyż wtedy wrażenie podobne będzie możliwe?—Nigdy.—Prawda ta dowodzenia wcale nie potrzebuje.

Pisząc o Sonetach krymskich i chcąc wykazać wszystkie ich zalety i wdzięki, należałoby wszystkie je przejść pojedyńczo, na niezliczone ich piękności palcem wskazywać i tym, którzy piękna w nich nie widzą, każde słowo, każdy okrès nowém a rzeczywistem światłem oblewać. Robota taka, acz bardzo ponętna, nie byłaby tutaj na miejscu i jesteśmy zresztą pewni, że ci co się w nie wczytali, dalecy są od tego, żeby je nazywać, jak to czynili niektórzy niejasnemi i niezrozumiałemi. Nie znamy poezyi, któraby mniéj nieprzystępną była.

Weźmy jeszcze dla przykładu sonet *Burza*, który wraz z kilku innymi na zupełnie nowy żywioł, bo na morze przenosi:

Oprócz strasznego obrazu burzy, jaki za pomocą kilku pojedyńczych szczegółów odrazu krew uczuciem przerażenia ścina, przybywa tu jeszcze onomatopoetyczna melodya językowa, dobór wyrazów twardych, zgrzytających, szorstkich, które bez względu na ich wewnętrzne znaczenie, przez brzmienie już swoje dokładnie malują nam świst wichrów, szum fali, gwizd huraganu, skrzypienie masztów a obraz zniszczenia wyłania się jako rezultat téj demonicznéj i niczém nieokiełznanéj potęgi. Jesteśmy pewni, że żadne tłómaczenie, a wszystkie je, dotychczas istniejące, przeglądaliśmy, ponurego tego uroku oddać nie są wstanie, gdyż sama już językowa harmonia maluje nam niebezpieczeństwo położenia, zanim się jeszcze w treści pojedyńczych wyrażeń zagłębim.

Do złowieszczego tego koncertu łączą się jeszcze inne przerażające znaki zewnętrzne. Słońce przybrało barwę krwawą i, chowając się w głębi morskiéj, zabiera resztki nadziei, na miejsce jéj pozostawiając noc, w któréj mglistéj ciemni tkwi przepowiednia zguby. Następny obraz gieniusza śmierci, który powoli nieubłaganie i bez litości, jakby ciesząc się, kroczy po swoje ofiary, jakiż okropny i jaki niezrównany. Wyrażenie *mokre góry*, jakże w jedném słowie maluje szaleństwo fal rozhukanych i olbrzymie te niebezpieczeństwa, jakie piętrzy ruchoma fala morza.

W strofie téj, w wielu wydaniach znajduje się: *wstąpił gienijusz śmierci i szedł do okrętu.* Ze względu na ilość głosek może tu być zarówno *wstąpił* jak i *wstępował*, gdyż wyraz *gieniusz* w poezyi może być zarazem dwuzgłoskowym jak i trzyzgłoskowym. Co do nas jednak stanowczo wolelibyśmy wyrażenie *wstępował*, do okropności bowiem obrazu przyczynia się to, że on powoli, systematycznie i z umyślną zwłoką do pochłonięcia ofiar swych się zabiera i słowo częstotliwe byłoby tu daleko więcéj na miejscu, zwłaszcza że w dalszym ciągu znajduje się wyrażenie *szedł*, co dowodzi, że pomyślana przez poetę czynność musiała się wyrażać w formie niedokonanéj.

Jakże wobec tego strasznego obrazu burzy zachowuje się załoga okrętowa?

Ci leżą na pół martwi, ów załamał dłonie,
Ten w objęcia przyjaciół żegnając się pada,
Ci modlą się przed śmiercią, aby śmierć odegnać.

Wygnaniec nasz i tułacz nie ceni życia, gdyż ono dlań nie rozkoszą lecz ciężarem się stało. To téż obawa śmierci nie wprawia go w osłupienie na myśl o zbliżającym się końcu, rąk on nie łamie, z przyjaciołmi się nie żegna, bo prawdziwych ich nie ma a do nieba modłów nie zanosi, bo w niém zaufanie stracił, bo mu ono nie udzieliło łaski, jakiéj użycza najdrobniejszemu robaczkowi, nie pozwoliło mu pozostać w miejscu, gdzie się zrodził i gdzieby chciał całe swe życie przepędzić. Jego położenie jest takie:

Jeden podróżny siedział w milczeniu na stronie,
I *pomyślił*: szczęśliwy, kto siły postrada.
Albo modlić się umie i ma się z kim żegnać...

Nie zawsze atoli, podług wymagań tego rodzaju poezyi, jakiego Mickiewicz użył do opisywania Krymu i jaki do usposobień jego w zupełności przypadał, nie każdy sonet kończy się refleksyą, spostrzeżeniem, sentencyą, odmalowaniem jak na niego samego wrażenie działało. Sonet *Bagczesaraj w nocy*, nie posiada takiego zamknię-

cia. Rozpoczyna się on opisem kończącego się dnia, w guście czysto wschodnim, trochę hyperbolicznym przypominającym Hafiza i Firduzi'ego:

Rozchodzą się z dżamijów pobożni mieszkańce,
Odgłos izamu w cichym gubi się wieczorze,
Zawstydziło się licem rubinowem zorze
Srebrny król nocy dąży spocząć przy kochance.

Błyszczą w haremie niebios wieczne gwiazd kagańce,
Śród nich, po szafirowem żegluje przestworze
Jeden obłok, jak senny łabędź na jeziorze,
Pierś ma białą a złotem malowane krańce.

Opisowość ta, za pominięciem wschodniéj jéj szaty, przypomina już owo mistrzostwo, jakie za lat kilka z takiém bogactwem rozwinie się w Panu Tadeuszu.

Daléj, zamiast refleksyi, jakąśmy już w Sonetach krymskich przywykli widzieć, ciągnie się tu opis spokojnéj nocy, zaludnionéj pojęciami wyznawców Islamu o świecie nadziemskim.

Tu cień pada z menaru i wierzchu cyprysa,
Daléj czernią się kolem olbrzymy granitu,
Jak szatany, siedzące w dywanie Ebłisa

Pod namiotem ciemności; niekiedy z ich szczytu
Budzi się błyskawica, i pędem Farysa
Przelatuje milczące pustynie błękitu.

Czy sonet ów traci na wartości przez ten niedostatek refleksyi i przez różnicę swą od innych? Sądzimy, że nie, a powodem tego właśnie jest, że poeta ponad usypiającą ziemią rozciągnął świat tajemniczy, nieznany, świat duchów i tym sposobem zamiast własnego, egotycznego uczucia rzucił w umysł czytelnika mozolenie się nad tą wiecznie niepokojącą wszystkie ludy zagadką. We wszystkich wiekach, w każdéj religii i w różnoczasowych pojęciach tajemnica świata nadziemskiego stanowiła wieczny szkopuł, o który rozbijały się nie tylko dociekania mędrców, ale i prostaczek w obawie przed niemi się kłonił. Noc roztacza nad ziemią cienie i spoczynek ów natury był zawsze uważany za porę, w któréj złe i dobre duchy zdwajały swą pracę i staczały nieraz z sobą walki o przeznaczenie i duszę ludzką. I tu więc olbrzymy, powstałe z granitów, przybierają kształty rajców Eblisa a duchy szatańskie krążą, aby korzyść i pastwę dla siebie wypatrzyć. Nad ziemią rozpoczyna się nigdy stanowczo nieodgadnięta i nigdy nieustająca walka, a kto wie jakie znaczenie przypisują Muzułmanie do pojęcia Eblisa, kto pojęcia te do naszych

ludowych wierzeń zbliży, zrozumie dokładnie, że wobec nierozwikłanéj téj zagadki, wszelka uwaga byłaby zbyteczna, bo umysł ludzki, raz zwrócony przez artystę do tych spraw tajemniczych, ma już gotową treść do długich i bardzo niepokojących rozmyślań.

Sumę niejako tęsknoty tułaczéj, zebraniem wyrzutów i żalów na Opatrzność jest sonet, noszący tytuł *Grób Potockiéj*. Tęsknota wylewa się tu z serca z bólem gryzącym i każdy rodak poety, czytając ten drobny wierszyk, zaboli tak samo, spojrzawszy „na gwiazdy ku północy wiodące“, tak samo jak boleć musiał Mickiewicz. Cybulski w swoich odczytach o literaturze polskiéj o wierszu tym wyraża się w ten sposób: „Sonet, Grób Potockiéj, jest takiéj wartości, że dla niego samego warto pójść do Krymu, aby wśród panoramy pojedyńczych obrazów natury i ten grób także zwiedzić.“ Cenne spostrzeżenia Cybulskiego nad poezyami Mickiewicza tu szwankują cokolwiek, gdyż choć zasadnicza myśl wiele wartości przedstawiać może dla Polaka, jednak *panoramy Krymu* znaleźć tu nie można, gdyż właśnie ten sonet pozbawiony jest całkowicie strony opisowéj. Grób Potockiéj, jedyny w téj sonetów wiązance uderza wyłącznie w strunę krzywd, jakich naród doznawał, i na dziejowe wkraczając pole, maluje przejścia, jakich doznaliśmy a jakich może doznać nie powinniśmy. Uderzającém także w nim miejscem jest następujący ustęp:

Polko! i ja dni skończę w samotnéj żałobie;
Tu niech mi garstkę ziemi przyjazna dłoń rzuci!

Czyżby poeta wtedy już przejrzał pełne swe cierpień życie i czyżby wiedział, że wschodnia i muzułmańska tak jak tu ziemia przykryje martwe jego zwłoki? Może to były przeczucia, wśród uroczéj natury uzyskane, a dar taki proroczy i wieszczy nie jest wcale u Mickiewicza rzadkością, a maleńka jego próbka i tu się odzwierciedla.

Jednym z niezmiernie umiejętnie użytych środków technicznych w Sonetach krymskich jest wprowadzenie do sześciu z nich dyalogu. Poeta, czyli jak tutaj nazywa się on *Pielgrzym*, bierze sobie za przewodnika *Mirzę*. Europejczyk, dziecię północy i wychowaniec cywilizacyi zachodniéj brata się z Muzułmaninem, Azyatą, przedstawicielem wschodnich pojęć, wschodniéj poezyi i wschodniego, wzorzystego języka. Ta okoliczność pozwala opowiadaczowi do poezyi swéj z całą swobodą wprowadzić pojęcia wschodnie, a utrzymując ciągły kontrast dozwala pod względem artystycznym stworzyć jak można najwięcéj zalet. Pielgrzym, mimo tęsknoty szarpiącéj jego serce, mówi językiem trzeźwym, chłodnym, rozważnym; Mirza gubi się w hyperbolach wschodnich. Raz jedyny tylko

Pielgrzym, dostrzegając coraz nowe cuda, daje się porwać ciągnącemu go urokowi, występuje z nawyknień swych i manier i niby drugi Hafiz patrząc ze szczytów gór Kozłowa, wpada w uniesienie.

Charakterystyczną jeszcze cechą sonetów, nadającą im wyrazistą i opisową postać, jest ta okoliczność, że Pielgrzym nigdy się nie cofa do przeszłości, choć po gruzach dawnéj sławy stąpa, nigdzie nie zagłębia się w historyą tych okolic, które przebiega, a patrzy, oczyma swemi i duszą zarazem używa tego tylko, co widzi przed sobą. Jedyny wyjątek od téj reguły stanowi sonet: *Ruiny zamku w Bałakławie*, gdzie rozmaite koleje, przez jakie Krym przechodził, przypominają się i odwzorowują w pamięci poety ale tylko po to, żeby wykazać jasno znikomość rzeczy ludzkich.

Krytyka warszawska zarzucała pomiędzy innemi Sonetom krymskim zbyt przesadne użycie tureckich wyrazów. Jakkolwiek dają one poezyi charakterystykę odrębną, jakiéj właśnie opisywana miejscowość wymagała, jednak rzeczywiście mogłoby ich być trochę mniéj i poezya byłaby więcéj naturalną a nie miałaby cechy pretensyonalności, jaka się gdzieniegdzie spotyka jak naprzykład w wierszu:

Czy Allah, gdy noc chylat rozciągnęła bury...

Jakkolwiekbądź, z powodu tych kilku wyrazów nie można było sonetów niezrozumiałemi nazywać, bo poeta nawet każde słowo obce w przypiskach wytłómaczył, znaczenie jego określił, objaśnienia dodał i na język polski przełożył. Z Sonetami wszelako krymskiemi dzieje się to, co się dziać zwykło wogóle z widokami natury. Są ludzie, którzy bez względu na wysokie swe nieraz estetyczne wykształcenie, piękna w naturze nie dostrzegają, nie rozumieją go, nie czują, a tylko, jeśli za mało są sumienni, żeby szczerą prawdę wyznać, powtarzają za panią matką pacierz i zachwycają się na zimno tém, co za piękne uznali inni.

Piękno natury, przeniesione do poezyi, jeszcze mniéj dla pospolitych umysłów jest przystępne i różne też na rozmaitych wywierać musi wrażenie, a skutkiem już ułomnéj natury ludzkiéj dzieje się, że gdy autorem podobnéj poezyi jest śpiewak powszechnie znany i za gieniusz już ogłoszony, ci którzy w poezyi jego rzeczywistego piękna nie dostrzegą, zachwycać się przecież będą z obowiązku i *jurabunt in verba magistri*. Niech jednak coś podobnego napisze człowiek młody, uznania się dobijający a zwłaszcza taki, który zdeklarowanych ma przeciwników, kamieniem potępienia na niego rzucą jak na Mickiewicza za Sonety krymskie rzucili klasycy. Oprócz zawziętości osobistéj i szkolnéj, był w nich właśnie ów niedostatek, o którym dopierośmy mówili, to jest że naturą zachwycali

się oni podług recept i przepisów szkoły. W kim atoli żywsze uczucie istniało, czyja dusza na wdzięki natury była otwarta, ten w Sonetach Krymskich, bez względu na to, że był klasykiem, piękna dopatrzył.

Za dowód posłużyć może Morawski, który na inwektywy rzucane na Mickiewicza przez Koźmiana ojca, z powodu Sonetów Krymskich, tak pisze do Koźmiana syna:

„Jeżeli głębokie czucia i wielkie obrazy stanowią poetę, styl zewnętrzną jest tylko poezyi ozdobą, to są pewne zalety, których odmówić nie można Mickiewiczowi, pomimo największych, co do języka i gustu, niedorzeczności. Otóż powie twój ojciec, Morawski chwali! Otóż nie chwalę, bom się biedził, nimem zrozumiał, bom stokroć splunął, gniewał się i do djabła całe pismo rzucał, nakoniec zawsze mówię, że głupcy tylko takie poezye mogą za wzór młodym wystawiać; przecież wyznaję, że mam Mickiewicza za poetę; są nawet wiersze godne największych poetów, lecz naturalnie te perły tak są obryzgane błotem, iż ledwie ich dostrzedz można. Niech jednak twój ojciec nie żąda odemnie, abym mu tłómaczył, rozkładał piękności sonetów; nigdy tego nie uczynię, bo poezya nie jest stworzona do operacyj anatomicznych. Chce ona, jak religia i miłość, sądzona być samém uczuciem. Zresztą nie wszyscy jedną piękność kochają, nie wszyscy w jedno wierzą; może to przyczyną, że zakochaniec Tyburu zimny jest na dzikie Krymu piękności“.

Morawski więc w słowach tych, nie wyraźnie wprawdzie, ale dość szczerze i jasno dotknął punktu, który zdaje się mamy racyą uzasadniać tutaj. Tak jest, jak nie każdy ma jednaki zmysł dla piękności natury, tak nie każdy jednako pojmie opisującą ją poezyą. Powód ten sprawia, że i dzisiaj, lubo nie znajdzie się niezawodnie żaden ikonoklasta, któryby przeciwko sonetom Krymskim powstał, wielu jest jednak takich, którzy im należnéj nie przyznają wartości, bo wpatrzyć się w nie i pojąć ich nie umieją. To jest niezawodnie głównym powodem, że sonety te mniéj są u nas popularne, aniżeli być powinny.

Do téj przyczyny łączy się niezawodnie i druga. W dalszéj poetycznéj swéj twórczości Mickiewicz dowiódł, że jest *par Excellence* narodowym poetą. Że zaś nuta ta najsilniéj wówczas do serca się wdzierała i jeśli ona była, mniéj zważało się na względy artystyczne, do sonetów więc zbyt wielkiéj nie przywiązywano wartości. Dopiero pierwszy Siemieński, w pośmiertném swém wspomnieniu, tylko co zmarłemu wieszczowi poświęconem, tak się o utworze tym wyraził: „Śmiało powiedzieć można, że Krym, znany dotąd z kilku opisów, mających może zasługę u jeografów, odkrył dopiero Mickie-

wicz, a to, skrapiając go różanym olejkiem poezyi tak mocno, że turyści z ciekawości dostali zawrotu głowy. Nie dziwiłbym się, gdyby jaki Sainte-Beuve, zastanawiając się za lat dwieście nad sonetami, podniósł ich wpływ jeszcze wyżéj i wykazał, że poeta umyślnie tak wyegzaltował te cuda południowego wybrzeża, aby sprzymierzonych w lat trzydzieści złakomić na Sewastopol".

W zdaniu tém zapewne dużo przesady i podsuwanych intencyj, jakich poezya ta mieć nie mogła, zwłaszcza, jeśli zważymy na język, w którym sonety były pisane i który zalety powszechności nie zawierał, a przeto téż i w sposób podobny działać nie mógł. Niemniéj przeto oddany tu hołd, jaki najtwardsze pod tym względem natury, bo klasyczne, mimowoli przeczuwały. Wspominaliśmy już, co mówił Morawski, jednak przytoczona wyżéj jego opinia, była jedynie wyrazem pierwszego wrażenia. Kiedy głębiéj w utworze tym rozpatrywać się począł, dopatrzył w nim nowe zalety i nie mogąc wytrwać, schwycił za pióro i tak pisał do młodego Koźmiana:

„Ale co najgorzéj i co twego ojca i romantyków rozgniewa, to jest, iż znajduję, iż w tych właśnie sonetach Mickiewicz zwrócił się na drogę klasyczności. Chcecie bym tego dowiódł? Będę się starał. Naprzód zaczynam od tego, że styl i egzekucyą (które nie są poezyą lecz jéj szatą) zupełnie wam daruję. Lecz gdy naprzód zwrócę uwagę na formę, widzę ją używaną przez klasycznego Włoch pisarza i przepisaną przez Boala. Kiedy znowu zważę, co nazywamy romantycznym charakterem myśli i uczuć, nie widzę wcale, aby on miał się przebijać w Sonetach Mickiewicza. Gdy nam obraz gór wystawia, zadziwia go tylko niezmierzona ich wysokość i nasza przy niéj znikomość. Gdy występuje na stepy nieprzejrzane i ginie w tym cichym, pustym i bezludnym oceanie, przypomina mu się w téj rozległéj samotności jego własna ojczyzna; wszystko-by dał, aby choć jednego głosu mógł z niéj dosłyszeć. Cóż tu jest w tém bardziéj romantycznego niż klasycznego? Gdy wreszcie z kochanką o swych czuciach mówi, częściéj idzie za zmysłowością starożytnych, niż marzącą nowożytnych miłością. Tysiąc mógłbym podać dowodów, że sonety Mickiewicza odznaczają jego przejście od romantyzmu do klasyczności; ale że to obraża dwie strony tak zaciekle, więc milczeć wolę".

Kiedy więc tak *ex re* sonetów najbystrzejszy z klasyków poetę naszego dla klasycyzmu konfiskował, drugi bardziéj z nich jeszcze zatwardziały i mniéj posiadający uczucia poezyi, jenerał Kropiński, tak z powodu sonetów, jak i z powodu Farysa, między innemi pisał:

Wszak sam przyznaj, pan dobrodziéj,
Że złe równie jak dobre chwalić się nie godzi.

Nie dałżebyś drała w nogi
Odemnie, gdybym z za krzaku,
Wyskoczywszy na rumaku
Dniem i nocą,
Leciał wrzeszcząc Bóg wie po co,
Lasy z drogi!.... Góry z drogi!.... (1)

Jeśli więc takiemu zakamieniałemu klasykowi, jakim był Kropiński, podobał się poeta, oparty na Judahu skale, dowodzi to, że najbardziéj nawet uprzedzeni do utworów tych, powinni się do nich nawrócić. Mickiewicz zresztą przewidywał, że wszyscy w myśl jego wcielić się nie będą w stanie i dla tego na czele sonetów położył wiersz z Goetego:

Wer den Dichter will verstehen,
Muss in Dichters Lande gehen...

Mówiąc o sonetach w Odessie napisanych, dla porządku wspomnieć należy i o innych utworach, które tutaj powstały, a których spora jest wiązka. Należą do nich naprzód ballady: *Czaty* i *Renegat*, wiersze okolicznościowe i erotyczne, z których już przytaczaliśmy wyjątki, jak: *Rozmowa*, *Sen*, *Niepewność*, *Moja pieszczotka*, *Elegija*, *W dzień odjazdu*, *W imienniku* (Błogo temu, kto w twojéj pamięci utonie), *W imienniku* (ku różnym stronom ściągnęliśmy dłonie) i do niéj także *W imienniku K. Rzewuskiéj*, *Do Doktora S.* (iemiaszki), *Popas w Upicie*, oraz wspomniane już tłómaczenia z Dantego, z Petrarki i z *Merimée*—Morlach w Wenecyi.

Co do ballad—pierwsza z nich powstała pod wpływem opowiadania Henryka hr. Rzewuskiego o wypadku, jaki się zdarzył na Ukrainie, a który tam dotąd jeszcze jest pamiętny i nazwiska osób biorących w nim udział, do dziś dnia powtarzają tam ludzie. Dla lepszego tylko utajenia ich, Mickiewicz cofnął opowiadanie w przeszłość i tytuł nowożytny hrabiego na wojewodę zamienił.

W balladzie téj uderza naprzód krótka energiczna charakterystyka osób, a nadto widny w niéj wyraźnie dosyć przesadzony pierwiastek zmysłowy. Może nie omylim się przypuszczając, że ponieważ Mickiewicz silnym podówczas wrażeniom zmysłowym podlegał, działaczom więc tym przyznawał zbyt ważną rolę w postępkach ludzkich, a z natury swéj ku realizmowi mając silną skłonność, tu nim jako prawdą i rzeczywistém życiem się posługiwał. Tu jednak popadł w przesadę, a kierunek ten jeszcze przez pewien czas będzie w nim widzialny, dopóki go nie usuną wyższy nastrój i ważniejsze,

---

(1) Kropiński. Rozmaite pisma. Lwów, 1844. Str. 141.

obszerniejsze wpływy. Od czasu, kiedy balladę *Czaty* muzyką wyillustrował Moniuszko, od kiedy jako śpiew spospolitowała się ona i przeszła niemal do ust ludu, każdy ją pamięta dobrze. Dla potwierdzenia jednak tego, co tu utrzymujemy, przytaczamy parę wyjątków. Czyż zmysłowością przepełnione nie jest następujące miejsce:

Ten, ściskając kolana, mówił do niéj: kochana!
Więc już wszystko, jam wszystko utracił.
Nawet twoje westchnienia, nawet ręki ściśnienia
Wojewoda już z góry zapłacił.

Co opuszczony kochanek rozumie przez ten wyraz *wszystko*, dokładniéj jeszcze objaśnia jedna ze strof następujących:

Co wieczora on będzie, tonąc w puchy łabędzie,
Stary łeb na twém łonie kołysał,
I z twych ustek różanych, i z twych liców rumianych
Mnie wzbronione słodycze wysysał.

Lubo rozwiązanie ballady, polegające na niespodziewanym zwrocie, że kozak zamiast „w dziewkę“ wypalił „w sam łeb wojewody“ jest niezmiernie zręczne i odpowiada w zupełności artystycznym względom, przez ten rodzaj poezyi wymaganym, jednak całość nie robi na czytelniku zbyt korzystnego wrażenia. Nie masz już tutaj tajemniczości, właściwéj pojęciom ludu, jaka pierwszy cykl ballad oznaczała, nie masz tego uroku, wynikającego z wprowadzenia sił nadprzyrodzonych, nie masz przeczucia pozagrobowego świata. Natomiast są silne żądze ludzkie, gotowe do zbrodni się posunąć. Że jednak dramatyczność tu nad liryzmem przeważa, przeto utwór ten na usprawiedliwienie swoje nie ma racyi, jakieśmy przy sonetach erotycznych przytoczyli i wielkości Mickiewicza, gdybyśmy jéj zkądinąd nie znali, odwzorować nie byłby w stanie.

Mniéj jeszcze udatną zda się nam ballada *Renegat* (1). Wschód muzułmański, w jakim Mickiewicz z wrażliwością naturze swojéj właściwą, za czasu pobytu w Krymie się rozmiłował, był napisania jéj powodem. Zmysłowość tego świata, który od naszego wielce jest różny, wystąpiła tu w całéj jaskrawości swojéj, a pojęcia wschodnie mnóstwem wyrazów tureckich ilustrował poeta. Co nawet nigdy u Mickiewicza się nie zdarza, intryga tu jest tak zawikłana, że czytelnik mniéj lubiący się mozolić, często książkę rzuca bez rozwikłania zagadki. Rzeczywiście bej, który z branką ucieka, zjawia się tak

(1) Według Odyńca, ballada ta, a przynajmniéj pierwsza jéj część była improwizowana jeszcze w Wilnie

znienacka i jako nowy czynnik występuje tak nagle, że osoba jego bardzo łatwo mięsza się z „trzytulnym Baszą“ i nie rozumie się intrygi, jak nie rozumie się dla czego „Basza renegat nie żywy“. Czy bej jak branka także z Lechistanu pochodził i czy tylko jako Giaur z chrześcianką się porozumiał? Także to nierozwiązaném pozostanie.

Klasycy, którym na obiadach u jenerała Krasińskiego obiedwie te ballady drukiem jeszcze nieogłoszone deklamował Odyniec, byli niemi oburzeni, a co dziwna, że nie napadali w nich na błędy przeciw artystycznemu smakowi, którycheśmy tu zlekka dotknęli, ale utrzymywali owszem, że narodową nie może być poezya, która o Turkach i Kozakach mówi. Już z tych zarzutów widać jasno słabość stronnictwa. Nie stało ono bowiem na gruncie poezyi, któréj obrońcami się deklarowało, ale biegnąc na wyprzodki z romantykami, ukazywało, że i oni nie idą ciągle za narodową sprawą, lubo wyznawcami jéj się głoszą. Ciekawy jest wielce odnośny do tego ustęp listu Koźmiania, pisanego do Morawskiego, pod d. 20 grudnia 1827 r.

„Śpiewał nam Odyńczyk, pisze Koźmian, litewskim tonem dwie nowe ballady Mickiewicza, obiedwie o Turkach, jedną z prawowiernym (dla czego pod tę nazwę podciągnięty wojewoda z Czatów, tego już trudno zrozumiéć), drugą o Renegacie, które nawet mimo chęci draźnienia się ze mną, znalazł Krasiński niedorzecznemi. Brodziński ganił, lecz nie bez indygnacyi i zgorszenia Lelewela. Dotąd na zarzuty czynione bredniom naszych młodych wierszokletów, zawsze mówiłeś: pozwólcie krajowi mieć swą norodową poezyą. Chciéj mi teraz odpowiedziéć, co mają z narodową poezyą wspólnego Czatyrdahy i Renegaty tureckie? Niemcy w swoich balladach przynajmniéj swoich baronów śpiewają, a my Turków, Tatarów, Kozaków i to jeszcze ich własnym nawet językiem“.

W Odessie także napisany został wiersz: *Popas w Upicie*. Nikt dotąd bliższéj na niego uwagi nie zwrócił i poprzestano jedynie na ogólniku, że Mickiewicz w wierszu tym położył początek dla późniejszych *gawęd szlacheckich*. Jest to zdanie najzupełniéj mylne. Prawda, że w wierszu tym poeta starał się staroszlachecką tężyznę naśladować, że język szpikował łacińskiémi makaronizmami, że do pojęć szlachcica, ekonoma i klerykała organisty stosować się starał; ale mimo to za ojca szlacheckiéj gawędy uważać go nie można. Jest nim wprawdzie jako ojciec całéj literatury nowożytnéj, ale tylko pośrednio. Dla wyjaśnienia zaś tego zastanówmy się czém jest właściwie tak nazwana *gawęda*?

Najnowsza krytyka literacka, współczesna szerzeniu się mylnie pojętych zasad demokratycznych, kamieniem potępienia na ten rodzaj poezyi rzuciła, a jakkolwiek tysiące czytelników przyciąga jesz-

cze gawęda do siebie, kiedy inne płody narodowéj twórczości już się pyłem zapomnienia pokryły, mimo to nikt stanowczo w obronie jéj nie wystąpił. Dla rozjaśnienia pojęć w tym względzie, należy naprzód rozróżnić rozmaite rodzaje tych gawęd.

Jedne z nich malują tylko przeszłość obiektywnie, taką, jaką ona była, posiłkując się mniejszym lub większym darem odtwarzania przeszłości; inne, jako ideał czasy minione sławiąc, w nich tylko dobro widzą i zdradnie w ułudnéj formie dążności reakcyjne czytelnikowi poddają. Pierwsze, będąc jedynie wynikiem miłości i epicznego daru, pozostaną zawsze w miarę wewnętrznéj wartości, pięknym utworem sztuki, a razem hołdem dla przeszłości; drugie napróżno usiłując prąd postępu i konieczną zmianę wyobrażeń powstrzymać, są jedynie czczém usiłowaniem, i o ślepocie i zacofaniu autorów świadczą. Najskrajniejsze i najradykalniejsze nawet teorye tych pierwszych, z ręki czytelnika polskiego nie usuną, jak nie zdołają usunąć zamiłowania narodowéj przeszłości, a znowu zacofani i obskuranci wstecz nie cofną społecznych pojęć, choćby Ossę na Pelion wsadzali. W pamięci narodu wiecznie żyć będą *Pamiątki Soplicy*, większość Zygm. Kaczkowskiego powieści i *Pieśni Janusza*, ale jako oznaka reakcyjnych usiłowań zaginie w niéj działalność Jarosza Bejły, historyozoficzne usiłowania Koronowicza, Sejmiki, Senatorskie Zgody i Stryjanki Pola.

Co do popasu w Upicie, nie ma tu jeszcze właściwie charakteru rzeczywistéj gawędy szlacheckiéj. W dyalogu, jaki w karczmie prowadzą przedstawiciele niby dawnéj społecznéj sfery, nie ma nawet cech zewnętrznych, któreby archaizmem trąciły, a łacina tutaj użyta jest dowodem, że poeta sumiennie studyował autorów tym językiem piszących, ale nie miał jeszcze czasu zapoznać się z łaciną szlachecką. Zresztą wiersz ten cały pozbawiony jest cechy pretensyonalności i pozowania, i stanowi raczéj humorystyczną zabawkę, w guście ołówkowych szkiców, jakie robił przyjaciel naszego poety, malarz Orłowski, który w szlachcicu polskim dostrzegał jedynie brzuch żarłocznością wydęty, a bez kufla i kurzącéj się czupryny, wyobrazić go sobie nie mógł. Że jednak w ręku mistrza prosta nawet zabawka nie mogła się obejść bez wewnętrznéj, głębszéj myśli, to koniec tego wiersza dość wyraźnie dowodzi.

Jak często ludzie lekkomyślnie rzucają swe sądy i zdania, dowodzi między innymi Cybulski, który twierdzi, że Mickiewicz w wierszu tym wypowiada trywialną myśl, jakoby historya cała była nicością. Jeśli pod wpływem wewnętrznéj tęsknoty i rozpaczy dochodził on czasem do podobnego zniechęcenia i z Ekleziastą się spotykał, jak to zauważyliśmy przy sonecie *Ruiny Zamku w Bałakławie*, to je-

dnak usta jego nigdy nie były zdolne do wypowiedzenia takiego bluźnierstwa, jakie najniesłuszniéj profesor mu zarzuca. Czemże bowiem jest ten wiersz, na którym takie potępienie oparto. Poeta opowiada poglądy trzech dyskutujących w karczmie osób, które się zastanawiają nad tém, jaka może być przyczyna, że trup Sicińskiego wala się nie pogrzebany, służąc za igraszkę gawiedzi. Kontuszowy szlachcic, wszelką krzywdę wyrządzoną klejnotnéj braci uważając za najcięższą zbrodnię, twierdzi, że Siciński, zawiedziony na sejmiku, misy szlachcie blekotem zaprawił i doprowadziwszy ją do szału, do wzajemnego wysieczenia się zmusił. Ekonom, ponieważ słyszał, że Siciński zawiązał ręce królowi, literalnie rzeczy biorąc, wnosi, że musiał on króla wydać na morderstwo Turkom albo Szwedom. Sługa kościelny znowu utrzymuje, że Siciński tak srodze skarany został za kłótnie i spory z proboszczem i za nieposłuszeństwo biskupowi. Do rozprawy téj miesza się poeta i tak przyczynę kary Sicińskiego tłómaczy:

O towarzysze, rzekłem, pocoście niezgodni?
On był nie jednéj winien, ale wszystkich zbrodni;
Jego trucizną naród zdurzony oszalał,
On królom ręce związał, kraj klęskami zalał.

Następnie zaś dodaje:

A pomyślałem w duszy: Cóż są gminne dzieje?
Popiół, w którym zaledwie iskra prawdy tleje;
Hieroglif, mchem zarosłe zdobiący kamienie;
Napis, którym spowite usnęło znaczenie;
Odgłos sławy, wiejący przez lat oceany,
Odbity o wypadki, o kłamstwa złamany,
Godzien śmiechu uczonych.... Lecz nim się zaśmieje,
Niechaj powie uczony: Czém są wszystkie dzieje?

Piękny więc ten, a przepysznych porównań pełen ustęp, nie jest wcale twierdzeniem, jakoby historya była nicością. Owszem, z potęgą filozoficznie rzecz każdą biorącego umysłu, zestawia tu poeta dzieje gminne, ludowe, z przybraną w mądre szaty, a tak często naciąganą, niestety, historyą uczonych. Myśl i podanie gminne mogą się mylić co do istoty samego faktu, wiedzą jednak i wierzą niezłomnie, że kara niesprawiedliwie wymierzaną przez odwieczną sprawiedliwość nie jest, ale przychodzi jako następstwo mniejszéj lub większéj zbrodni. Próżno „o kłamstwa uczonych odgłos sławy się łamie“, lud wierzy w sprawiedliwość dziejową, a ten, kto w owe wierzenia wniknie, na stanowisku prawdziwego historyka stanie.

Co się tyczy wiersza: *Do doktora S.* nie mamy zupełnéj pewności, żeby on był dopiero w Odessie napisany, owszem, sądząc z za-

kroju jego wielce do wiersza *Do Lelewela* podobnego, chętniebyśmy go do epoki wileńskiéj przenieśli. Za napisaniem go w Rossyi przemawia jedynie ten ustęp:

Mnie, poetę, już zamiar opanował nowy:
Ja o przyszłość z niebem wdałem się w rozmowy.
Astrologiczném okiem wyczytałem z gwiazdy,
I blizki, i radośny koniec naszéj jazdy.
Znowu czoło z podróżnych orzeźwiwszy znojów,
W stary tokaj niemeńskich przymięszamy zdrojów.....

Ustęp ten atoli może znaczyć nie tylko podróż rzeczywistą, materyalną, ale podróż życia, skierowaną do danych zamiarów, celów, i tu, jak się zdaje, celów politycznéj natury. Że poeta nadto w owéj epoce, kiedy wiersz ten pisał, nie był jeszcze tułaczem, wnosić by można słusznie ztąd, że nie znać tutaj tęsknoty, jaka go ciągle od wyjazdu z Litwy trapiła, ale owszem myśl ma swobodną, a nie brak mu nawet i humoru. Że zresztą nie w Odessie, nie w Moskwie i nie w Petersburgu, ale prawdopodobnie w Wilnie żegnał Mickiewicz doktora, dowodzić tu zdaje się miejsce:

Porzucasz chorujące serduszka Litwinek.....

Jednak są to przypuszczenia nasze, na które, wyznajemy, nie mamy stanowczych dowodów. Kwestyą tę mogłaby jedynie wyjaśnić rodzina doktora Siemaszki, która, o ile wiemy, istnieje dotąd na Litwie i któraby mogła podać rok, w którym doktor ów na naukowe eksploracye wyjeżdżał. W Paryżu mieszka jeden z członków téj rodziny, dat jednak, odnoszących się do wyjazdu doktora wskazać nam nie umiał. Zresztą wiersz ten nie należy do zbyt ważnych i jedynie dla ustanowienia daty jego powstania, należałoby, żeby ci, którzy mogą w tym kierunku wyrzec ostatnie słowo, odpowiednie wyjaśnienia nadesłać raczyli.

Przy wierszu tym wszakże winniśmy zwrócić uwagę na wnioski, jakie wyciągnął z niego Siemieński, a jakie Wojcicki bez żadnéj krytyki powtórzył. Siemieński mianowicie na podstawie wiersza tego twierdzi, że nosi on na sobie wyraźne wspomnienie i dowód zamiłowania w doświadczeniach chemicznych, do których jakoby Mickiewicz miał wielki pociąg, będąc jeszcze w szkołach w Nowogródku. Siemieński wyciągnął z tego powodu porównanie Mickiewicza z Getem, a Wojcicki owe wspólne drogi gieniuszów wytknął jako konieczność psychologiczną. Spostrzeżenia podobne są co najmniéj śmieszne, jeśli bowiem szkolni malcy z poświęceniem grosza na bułki przeznaczonego, otrzymują tlen lub wodór, nie dowodzi to jeszcze wcale, żeby geniuszami mieli być w drodze odkryć chemicznych.

Wodór bawi ich, bo z butelki strzela, tlen jasném i błękitném płomieniem zachwyca. Któż z nas doświadczeń podobnych nie robił, a jednak bardzo mała liczba z owych amatorów dosięgła odkryć w dziedzinie chemicznéj, a podobno nie wiele było takich, którzyby w studyowaniu naturaliów dosiągnęli do takiéj wyżyny, na jakiéj stanął Goete.

Zresztą kto choć by abecadło w rzeczach naturalnych poznał, ten łatwo przekona się, że w wierszu do Doktora S. o chemii nie mówi się wcale i lubo chemia należy do nauk przyrodniczych, jednak trzeba by chyba wiadomości tutaj zamieszczone prędzéj do zoologii, jak do chemii zaliczyć. Zresztą nie widać tu wcale nic nadzwyczajnego. Że Mickiewicz był wszechstronnie wykształconym, jest to prawdą niezaprzeczoną, ale żeby w wierszu tym wykazał zdumiewającą wiedzę nauk przyrodzonych, tego tu wcale nie widać. Wie on tylko to, co wiedział podówczas każdy człowiek czytający i encyklopedycznie wykształcony.

O wierszach erotycznych nie będziemy już powtarzać tego, cośmy mówili o tego rodzaju poezyi przy sonetach, a o wartości ich lepiéj aniżeli każde, bodajby najsumienniéjsze studyum, zaświadczy ta okoliczność, że między wykształceńszą młodzieżą polską, tak męzką jak żeńską, nie spotkaliśmy dotąd nikogo, któryby jednego bodajby z nich nie umiał na pamięć. Życzenie więc Mickiewicza się spełnia, gdyż utwory jego w usta całego narodu przechodzą.

Co do tłómaczeń pominąć ich bodajby z tego względu nie można, że w dotychczasowych wydaniach Mickiewicza wprowadzono co do nich dwie nomenklatury: *tłómaczenie* i *naśladowanie*. O znaczeniu wyrażeń tych nie ma co rozprawiać, gdyż co do tego, zdaje się wątpliwości nie masz. Tłómaczenie powinno być o ile możności wierne i do oryginału zbliżone; naśladowanie zachowując tylko główną myśl oryginału, ma prawo zmieniać wyobrażenia i obrazy, używać dowolnych porównań, skracać się nawet lub przedłużać. Zastanowienie się nad tą sprawą jest głównie z tego względu potrzebne, że przez nieszczęśliwy zbieg okoliczności, w wydaniach Mickiewicza dotychczas nazywano naśladowaniem to, co jest najdokładniejszém tłómaczeniem i odwrotnie. Ponieważ błąd ten powtarza się ciągle, sprostować go więc należy, a ponieważ na okoliczność tę zwracaliśmy już uwagę przy przekładach Byrona, tu więc notujemy tylko to, co się odnosi do tłómaczeń z włoskiego.

Tłómaczeniem w surowem pojmowaniu tego wyrazu są dwa ustępy z Dantego Boskiéj Komedyi, szczególnie zaś pierwszy, z P. III „Przezemnie droga w miasto utrapienia“. Jest ono tak wierne, że prawie słowo po słowie z włoskiego języka na polskie się tu przekłada.

Przytém ustęp ten jest tak piękny, że skoro go się z oryginałem porówna, zda się jakoby tłómacz tak we względzie poetycznego uroku, jak téż i w grozie opisanych rzeczy oryginał przewyższał. Większą już swobodą odznacza się ustęp *Ugolino*, ale i tu jeszcze wierność potrzebna jest zachowana. Nie tłómaczeniami już wszakże, ale naśladowaniami są sonety z Petrarki. Tam, gdzie włoski poeta zwraca się do przyjaciela *Senucia*, zatrzymane są jedynie główne motywa poddania się niewieściéj przemocy, któréj to władzy Mickiewicz z temperamentu już swojego nie mógł uznawać w takim stopniu jak Petrarka, co zaś do sonetu *Błogosławieństwo*, drobiazgowość, z jaką uczucia rozczłonkowuje Petrarka, nie mogła żadną miarą zgodzić się z naturą Mickiewicza i dla tego motyw zapożyczony od Włocha uogólnił. Mniéj jeszcze wierności zachowano w wierszu do ks. Zeneidy Wołkońskiéj „*chiare*, *fresche e dalei aeque*“.

Cybulski utrzymuje, że Mickiewicz w Odessie przetłómaczył jeszcze z arabskiego: *Szanfary* i *Almotenatbi*. Mickiewicz sam wyznaje, że je tłómaczył z francuzkiego przekładu p. *de Sacy*. Przekład ten, jak większa część tłómaczeń francuzkich, w których głównie o wierność chodzi, dokonany jest prozą i tłómaczenie Mickiewicza, w stosunku przynajmniéj do owego przekładu, gdyż nie znając języków wschodnich, nie mogliśmy go z oryginałem porównać, jest bardzo wierny, a przynajmniéj pojęcia wschodnie dokładnie są tu zachowane. Nie zdaje nam się atoli prawdopodobném, żeby praca ta podjętą była w Odessie. Mickiewicz we Wschodzie rozmiłował się głównie od czasu pobytu swojego w Krymie, a poklask, jaki wywołały Sonety Krymskie w Moskwie wydane, do kierunku tego jeszcze więcéj go zachęcił. W liście z Moskwy do Kowalewskiego znajduje się o tém kilka szczegółów:

„O twoim dykcyonarzu, pisze poeta, ciekawy jestem więcéj szczegółów. Czy znasz dawniejszy dykcyonarz tatarsko - ruski, podobno w Kazaniu wydany, który tu widziałem? Gramatykę *Sacy* możesz trzymać póki zechcesz, chociaż nie moja, ale się wytłómaczę przed właścicielem“.

Ten list więc nam dowodzi, że Mickiewicz z gramatyką de Sacy zapoznał się dopiero w Moskwie i tam ją wypożyczył dla siebie, oraz późniéj posłał swojemu przyjacielowi. Gramatyka ta składa się z dwóch części i druga stanowi rodzaj wypisów, gdzie się właśnie znajdują te ustępy, które tłómaczył Mickiewicz. Zachodziło by więc tylko pytanie, czy Kowalewskiemu posłał części jéj obiedwie, czy téż tylko jednę. W pierwszym razie już przed wysyłką jéj musiał mieć oba wzmiankowane ustępy w przekładzie; w drugim mógł to zrobić dopiero późniéj. Jakkolwiekbądź musiało to mieć miejsce w Mo-

skwie, gdyż powiada dalej: „Później miałem sobie udzielane od p. Sękowskiego tłómaczenie polskie dosłówne, z obszernym uczonym komentarzem. Korzystając z téj nowéj pomocy, starałem się tekst mego przekładu ile możności poprawić.“

Sękowskiego wprawdzie znał Mickiewicz jeszcze w Wilnie, ale jako ze słynnym już oryentalistą spotkał się z nim dopiero w Petersburgu, pokazuje się więc, że jakkolwiek tłómaczenia te dokonane w Moskwie, ostateczną jednak redakcyą uzyskały w Petersburgu, za drugą tutaj poety bytnością.

W cytowanym dopiero liście do Kowalewskiego powiada Mickiewicz daléj: „Masz wiedziéć, że się na pole oryentalne wybieram, historyą literatury wschodniéj czytam, i nawet sześć wierszy historyi Mirhandy z perskiego wytłómaczyłem, n.b. z oryginału. „Ten powód, oprócz wspomnianych już przekładów, wywołał wiersz *Farys*, ale jest to już działalność poety, która się odnosi do jego okresu moskiewskiego.

Aër.

LISTY CZESKIE.

XI.

Myśl zbudowania teatru narodowego w Pradze.—Przeszkody polityczne i plemienne.— Rok 1848. Ofiarność narodowa.—Pożar, odbudowa i jéj koszta.—Divadelni vlaky.— Nieprzyjazne wystąpienia Niemców na zebraniach i w dziennikarstwie. Rzekome powody wyższości Niemców nad Słowianami.—Odkąd datuje się przewaga żywiołu niemieckiego w Czechach.—Jedność państwa.—Obrona Józefinizmu.—Wniosek Wurmbranda o języku państwowym.— Interpelacya dr. Sturma.—Nowe wybory do sejmu w 1883.— Zjednoczona lewica.—Przemowa Wotloffa. — Nowy program radykałów niemieckich w Czechach.—Prazka izba handlowa.—Zachowanie się żydów. —Staroczesi i Młodoczesi.

Zanim przystąpię do opisu naszych sporów między narodowościami, stanowiących dotychczas, niestety, najwybitniejszy moment życia publicznego w Czechach, wspomnę w krótkości o wypadku który stanowi epokę w dziejach odrodzenia ludu czeskiego i którego znaczenia nie lekceważą nawet nasi polityczni przeciwnicy.

W dniu 18 listopada 1883 r. otwarty został nowy teatr czeski, to jest ziściło się nareszcie oddawna w duszy narodu piastowane pragnienie. Już w roku 1845, patryotycznie usposobieni obywatele Pragi (nazwisko dra Riegera jest od owego czasu ściśle związane ze wszystkiemi dążeniami do stworzenia samoistnego teatru czeskiego) wnieśli do ówczesnego sejmu podanie o wybudowanie czeskiego teatru. Podania wprawdzie nie odrzucono, ale jeszcze nie było załatwione kiedy rok 1848 położył szybki kres zgromadzeniu stanów krajowych. Podczas fatalnéj nawałnicy politycznéj, sprawy teatralne spoczywały nietknięte wraz z wielu innemi i dopiero w 1850 r. kwestya teatru na nowo odżyła. W latach 1848 i 1849 na polu polityczném zdobyliśmy niewiele. Niedojrzały radykalizm nie umiał uzyskać w 1848 r. tego, co mogło być osiągniętem; wybrano wprawdzie posłów do sejmu czeskiego w końcu maja 1848, naznaczono dzień otwarcia rozpraw i była nadzieja, że spodziewane współdziałanie

wszystkich przedstawicieli niemieckiéj i słowiańskiéj ludności w królestwie czeskiem załagodzi niebezpieczny, a wtedy zaledwie wszczęty, spór narodowości; że prawno-polityczne stanowisko królestwa czeskiego da się jasno określić ku ogólnemu zadowoleniu i wspólnemi siłami utrwalić wśród chwilowego rozluźnienia stosunków publicznych i że tym sposobem: wytworzy się taka podstawa do nowego politycznego ustroju królestwa czeskiego, z którąby nawet późniejsza ogólna reakcya liczyć się była musiała; ale niewczesne rozruchy wywołane w czerwcu 1848 r. (12 i 13-go) przez obcych agentów rewolucyjnych przy pomocy miejscowego niedojrzałego radykalizmu zabiły te wszystkie oczekiwania.

W 1848 r. rozważni i rzeczywiści przywódzcy narodu chcieli sejmu czeskiego, nie barykad lub ulicznéj bójki: prawdziwém podówczas zadaniem ludu czeskiego było, na drodze politycznych rokowań, z Niemcami w kraju z jednéj strony i z rządem monarchii austryackiéj z drugiéj, złożyć dowody politycznéj dojrzałości i w ten sposób, niespodzianie korzystne położenie rzeczy według możności na swoję korzyść wyzyskać. Stało się jednak wtedy coś zupełnie przeciwnego; tłumy zawsze łatwe do podniecenia, młodzież politycznie niedojrzała wraz z kilkoma płatnemi agentami zagranicznemi na czele i z rozmaitemi miejscowemi niedowarzonemi zapaleńcami, postawiła naraz barykady, nie wiedząc dobrze poco, strzelała do żołnierzy nie zdając sobie sprawy dla czego i dostarczyła księciu Windischgrätzowi łatwy tytuł do sławy pogromcy rewolucyi praskiéj. Kiedy niedorzeczną ruchawkę poskromniono i na uczczenie zwycięztwa spalono kilka młynów, gdy znikli odrazu obcy agitatorowie, a barykadowi zapaśnicy pochowali się gdzie mogli, zapalone a raczéj przepalone głowy ochłodły, i naród czeski spostrzegł z przerażeniem opłakane następstwa niewczesnych rewolucyjnych bohaterstw. Ogłoszono stan oblężenia, nastąpiły liczne aresztowania i sądy wojenne skazały winnych: polityczny ruch 1848 r. dobiegł w Pradze szybkiego kresu. Przygnębiającém brzemieniem zaciężyły na ludzie czeskim, tylko na *czeskim*, skutki téj praskiéj czerwcowéj ruchawki, którą wprawdzie nasi krańcowi dotąd jeszcze za czyn bohaterski uważają, ale którą bezstronne dzieje właśnie z powodu tych fatalnych skutków, potępić muszą.

Zgromadzenie się sejmu czeskiego ze wszelkiemi świetnemi nadziejami, które z nim słusznie wiązali wszyscy rozważni politycy, spełzło na niczém; wszystko cokolwiek ze sfery politycznych praw i swobód mogło być przez ten sejm osiągnięte, zostało odsunięte na dalekie bez żadnych widoków plany, a jednak nie była to jeszcze największa szkoda, jaką naród czeski poniósł w skutek czerwco-

wych rozruchów. Z okien Karolinum strzelali wtedy do grenadyerów studenci niemieccy na równi z czeskimi; niemieccy zagorzalcy budowali pospołu z czeskimi barykady i szastali się na nich aż do pierwszego kartaczowego wystrzału: słowem cały rozruch nie był bynajmniéj z góry obmyślaném powstaniem narodu czeskiego; ale naturalném następstwem wzburzenia rewolucyjnego ogarniającego wszystkie zapalone głowy bez różnicy narodowości: a jednak naród czeski musiał zań pokutować prawie wyłącznie a pod pewnemi względami zupełnie wyłącznie.

Praska zawierucha 1848 r. uznana została urzędownie za powstanie czeskie; cały czeski naród husyckiéj pamięci skazany był wtedy na polityczną bannicyą jako *par excellence* rewolucyjny, a ponieważ rozterka między narodowościami wybuchła już była w 1848 r., ponieważ Niemcy w Czechach wybrali już posłów do frankfurckiego parlamentu, a Czechy wzbraniali się uparcie od tego wyboru, insynuowano więc czerwcowéj ruchawce zamiar, jeżeli nie ryczałtowego wymordowania Niemców w Pradze to przynajmniéj wypędzenia ich z miasta. Nietylko gazety miejscowe w Czechach ale nawet wielkie dzienniki w Niemczech przepełnione były wtedy bajecznemi wiadomościami z Pragi o okrucieństwach czeskich bądź spełnionych, bądź zamierzonych, których ofiarami byli naturalnie biedni Niemcy.

Przed 1848 rokiem rząd patrzał na narodowe dążenia ludu czeskiego jeżeli nie z wyraźną przychylności to z wyrozumieniem wolném od nieżyczliwości, Niemcy w Czechach przyjmowali udział ze szczerą sympatyą w duchowém ocknieniu narodu czeskiego; późniéj zmieniło się wszystko i to jedynie przez czerwcowe powstanie 1848 r. Rząd zaczął uważać naród czeski za naród rewolucyonistów, a czeski patryotyzm, stał się w jego oczach jednoznacznym z usposobieniem rewolucyjném; Niemcy zaś zarówno w Czechach jak i po za ich granicami, z sympatyzujących z naszemi dążnościami narodowemi, stali się zdecydowanemi wrogami narodu zasługującego według ich rozumienia rzeczy jedynie na nienawiść.

Tak stały rzeczy, kiedy w 1850 r. utworzył się „komitet budowy teatru narodowego w Pradze.“ Rozpoczęte składki nie miały w takich warunkach widoków powodzenia. Wspomnę tu o znaczącéj okoliczności, która dowodzi, jak niepomyślne były ówczesne stosunki dla tego przedsięwzięcia. Rząd wiedeński zajął względem sprawy teatru stanowisko nieprzyjazne; kiedy członek jednéj ze znakomitszych czeskich rodzin szlacheckich, w patryotycznéj ofiarności, podpisał się na znaczną sumę na budowę teatru czeskiego, wzbroniono mu i jego rodzinie wstępu do dworu. Nastąpiło potém

ośm lat rządów reakcyjno-policyjnych. Baron von Kempen był wszechpotężnym ministrem policyi, pod którego władzę poddani zostali wszyscy inni ministrowie; nikt nie mógł być mianowany bez wyraźnego przyzwolenia ministra policyi; jego lakoniczne „nie" bez przytoczenia powodów wystarczało do usunięcia ze służby rządowéj i na jego również nie wymotywowany rozkaz musieli różni ministrowie oddalać bez oporu wysłużonych urzędników. Co wtedy działo się w ministeryach *quo ad personalia*, nie ciąży na pojedyńczych ministrach, ale było jedynie dziełem ministra policyi barona von Kempen, który ze swoim systematem szpiegowania i denuncyowania chciał być prawdziwym pogromcą ducha rewolucyjnego, i wybawicielem monarchii austryackiéj i państwa.

Mógłbym w téj materyi niejedną długą historyą opowiedziéć, jak nawet osobiste wdanie się tego lub owego ministra u Kempena i proponowana mu rękojmia nie mogły pokonać jego raz wyrzeczonego *veto* co do jakiejś nominacyi na posadę w służbie rządowéj. W oczach ministra policyi, naród czeski był narodem rewolucyonistów z rzemiosła; według jego zdania patryotyzm czeski był rzeczywistą przeszkodą do pełnienia obowiązków urzędowych.

Trzeba to wszystko uprzytomnić sobie ażeby pojąć, że „prazki komitet budowy czeskiego narodowego teatru," uważany przez barona Kempena za rzecz zupełnie zbyteczną jeśli nawet nie za całkiem niebezpieczną dla państwa, nie mógł pochwalić się wielkiém powodzeniem za rządów tego ministra policyi.

Wiadomo, że przegrana bitwa pod Solferino w 1859 r. spowodowała zwrot w polityce wewnętrznéj cesarstwa austryackiego. Koniecznem następstwem tego faktu była nowa era konstytucyjna. Składki na budowę teatru przyniosły do owéj chwili przynajmniéj tyle, że zakupiono plac, na którym stoi obecnie gmach teatralny. O rozpoczęciu saméj budowy nie mogło być mowy. Zasługa to d-ra Riegera, że w samym zaraz początku nowéj ery konstytucyjnéj wyjednał zasiłek z funduszów krajowych na wybudowanie teatru tymczasowego, który stanął w 1862 r. na części zakupionego właśnie gruntu.

Skromną była siedziba gdzie czeska muza dramatyczna znalazła nareszcie własne ognisko, ale stała się szkołą tych sił, z któremi wykonawcza sztuka dramatyczna, po długich 20 latach, mogła nareszcie rozgościć się we wspaniałéj świątyni wzniesionéj ofiarnością ludu czeskiego.

Po 1860 r. składki wzięły lepszy obrót i już w 1868 r. można było położyć kamień węgielny pod stojący dziś gmach teatralny. Dzień 16 maja 1868 r. był dniem uroczystości narodowéj, jakiéj Pra-

ga aż do owéj chwili i późniéj nie widziała. Naród czeski przywdział na ten dzień, że się tak wyrażę zupełnie nową szatę. Bractwa cechowe prazkie, a na czele bogate cechy piwowarski i rzeznicki, ukazały się w kostiumach umyślnie na tę uroczystość przygotowanych i naturalnie do każdego bractwa przystosowanych, konne banderye ze wszystkich okolic Czech w jednakowych ubiorach przyczyniły się do nadania długiemu orszakowi imponującéj cechy, a liczna banderya *Hanaków* w strojach narodowych przybyła aż z Morawii i sprowadziła z sobą najpiękniejsze konie z błogosławionéj Hauny dla przysporzenia świetności festynowi narodowemu.

Budowę teatru skończono dopiero w 1881 r. wydawszy na nią 1.800.000 złr., 11 września tegoż roku miało nastąpić uroczyste otwarcie teatru; 12 sierpnia, około go dziny 5 popołudniu wskutek nieostrożności wybuchł pożar pod dachem i zniszczył całkowicie wnętrze gmachu. Mury zewnętrzne wzniesione z potężnych ciosów ocalały nieuszkodzone i przy odbudowie mogły być użyte bez ważnych reperacyj.

Tego samego wieczora fatalnego rozpoczęły się nowe składki na odbudowę gorejącego jeszcze gmachu, a czytelnik nie weźmie mi zapewne za złe jeżeli zaznaczę z uczuciem zadowolenia, że w ciągu krótkiego czasu nie przekraczającego kilku miesięcy zebrało się 820.000 złr., która to suma wraz z wynagrodzeniem wypłaconem przez towarzystwo ubezpieczeń za spalone budynki w kwocie 280.000 złr. i z zasiłkiem 150.000 złr. z funduszów krajowych, dała komitetowi budowy możność przystąpienia do odbudowania gmachu teatralnego. Naród czeski złożył wogóle na tę budowę przeszło 2.000.000.

Odbudowanie trwało dwa lata, przy czém w urządzeniu widowni i sceny wprowadzono znaczne ulepszenia. Obecnie z każdego miejsca w sali można wygodnie widzieć całą scenę, co poprzednio było niemożliwém. Robotami przy odbudowie kierował budowniczy I. Szlütz, profesor czeskiéj politechniki w Pradze.

Dla uzupełnienia materyalnéj strony dziejów budowy naszego teatru winienem jeszcze dodać, że rzeczywiste koszta odbudowania przewyższyły o 154.000 złr. fundusz budowlany, i że ta suma musi być osiągnięta również drogą składek, które już zarządzone zostały.

Nie mam zamiaru wchodzić w szczegóły uroczystości otwarcia teatru: przedstawienie inauguracyjne 18 listopada w południe o godz. 12 z prologiem i obrazami na zakończenie; trzy widowiska galowe 18, 19 i 20 listopada (théâtre paré), bankiet, telegramy, goście ze wszystkich krajów słowiańskich; nie podaję również szczegółowego opisu naszego nowego gmachu teatralnego, powiem tylko wogóle,

że zdaniem gości zagranicznych teatr nasz może wytrzymać porównanie z najpiękniejszemi i najlepiéj urządzonemi teatrami w Europie. Sam gmach jest pomnikową, rzec można zbytkowną budową, a przedstawienie wszystkich dotychczas granych sztuk, było pod względem dekoracyi i kostiumów—wzorowe.

Nie brakowało krytykujących tę budowę (przyznaję otwarcie że i ja do nich należałem) którzy byli zdania, że nie należało wydawać tyle na wewnętrzne urządzenie teatru, ale myśléć raczéj o zaoszczędzeniu funduszu teatralnego od którego roczne odsetki mogłyby być użyte na subwencyą. Ale głosy tych krytyków dziś już zupełnie umilkły w obec szczególnego objawu, który mógł wyniknąć tylko z takiéj okazałości w budowie, a który nabrał w życiu narodu takiego znaczenia i tworzy w niém coś tak niebywałego, że muszę o nim wspomniéć nieco obszerniéj.

Proponowano pierwotnie ze strony konsorcyum teatralnego uroczysty pochód na festyn otwarcia; ale ze względu na znany już, choć liczebnie nie określony, deficyt odstąpiono od téj myśli. Młody jeszcze i bardzo energiczny dyrektor teatru Fr. Szubert, zaszczytnie znany jako pisarz belletrystyczny i dramatyczny, którego inteligentny kierunek na wszelkie zasługuje uznanie, pomyślał natomiast o tém, żeby wszystkim oddalonym uczestnikom w funduszu teatralnym ułatwione było zwiedzenie nowootwartéj czeskiéj świątyni Muz i zwrócił się do różnych zarządów kolejowych z propozycyą zapewnienia zdążającym do nowego teatru, taniego przejazdu do Pragi. W ten sposób powstały tak nazwane pociągi teatralne (*Divadelni vlaky*), których znaczenia w rozwoju naszego życia narodowego w potęgowaniu się świadomości narodowéj lekceważyć nie można.

Mam przed sobą urzędowy, z kancelaryi teatralnéj pochodzący wykaz takich pociągów od 28 listopada 1883 r. do 21 kwietnia 1884 roku. Liczba dochodzi w tym czasie do 61 z 40.777 osobami; dochód kasy teatralnéj wynosił 47.294 zł. Nowych 21 pociągów zapowiedzianych 21 kwietnia przybyło wraz z innemi jeszcze wtedy niezapowiedzianemi. Najliczniejszy pociąg teatralny przyjechał z pobliskiego Zbraslawia (Königsaal) okolic z 1560 osobami; po nim najwięcéj osób (1475) przywiózł pociąg z Kolina. Z Morawii przybyło 14 pociągów teatralnych; z Wiednia 1, z Pesztu 1; z Zagrzebia i Lublany zapowiedziane były na sierpień, a na maj 1885 r. oczekują gości z Ameryki. Cudzoziemscy goście zostają często dwa do trzech dni w Pradze i codziennie nawiedzają teatr. W takiéj wycieczce teatralnéj bierze często udział ludność całéj wsi bez różnicy wieku, a mieszkańcy wsi sąsiedniéj obejmują wtedy nadzór nad opuszczonemi domami, w czém naturalnie, przebywający podówczas w Pra-

dze sąsiedzi odwzajemniają się im później. Przyjęcie obcych gości na dworcach kolejowych, powitanie w „Mieszczańskiéj besedzie“ wzajemne zbliżenie ludzi jednakich opinij, którzy nie znali się dotychczas, nadają tym pociągom teatralnym niezwykłe znaczenie i robią z Pragi prawdziwą metropolią czesko-słowiańskiego życia narodowego. Gdy więc skromny chłop z Morawii, odpowiadając na powitanie ziomków w „Mieszczańskiéj besedzie“, kończy słowami „nie jesteśmy tu obcemi gośćmi, jesteśmy u siebie w domu; Praga jest naszą właściwą stolicą nie zniemczone Brno“:—to sobie tego ze wszech miar tylko winszować można.

Nie wspominam w téj chwili nic o nowych utworach czeskiéj dramatycznéj muzy, wykonanych w naszym nowym teatrze narodowym. Na teraz poprzestaję na podniesieniu okoliczności, że dzień 18 listopada 1883 roku, w którym otwarty został nasz nowy teatr, powinien być uważany wraz ze wszystkiém co po tém otwarciu nastąpiło, za dzień pamiętny w dziejach naszego narodowego rozwoju.

Naród czeski robi pouczające postępy w potęgowaniu swego narodowego życia, chociaż dzieje się to, niestety, wśród walk z niemieckimi współziomkami, które, mianowicie w ostatnich czasach i właśnie z powodu tych postępów, nabierają coraz większéj gwałtowności, i wytwarzają w naszym kraju stosunki publiczne, bynajmniéj nie pouczające. Kilka wyrazów wystarczy do scharakteryzowania tego niefortunnego stanu rzeczy. Dr. Prix, vice-burmistrz wiedeński, powiedział między innemi na strzeleckim festynie, odbytym w Lipsku w miesiącu lipcu:

„Z obozu stronnictw słowiańskich otrzymujemy (tj. Niemcy) od wielu lat dowody niechęci i złéj woli. Język niemiecki wystarczy zaledwie do oddania wszystkich obelg, któremi nas czeskie organa obrzucają“. Tak przemawia vice-burmistrz, jeden z pierwszych dostojników w stolicy monarchii austryackiéj i to na publicznéj niemieckiéj uroczystości narodowéj! Dowodów „niechęci i złéj woli“ otrzymują nierównie więcéj ze strony Niemców wszyscy słowianie austryaccy, aniżeli im są w stanie oddać. Ale drugi frazes pana vice-burmistrza Wiedeńskiego jest grubym fałszem, bo co do obelg, czyli mówiąc jaśniéj, żeby usunąć wszelkie nieporozumienia, co do rzeczywistych obelżywych wyrazów w polemice dziennikarskiéj, prowadzonéj bez przerwy między niemieckiemi i czeskiemi dziennikami, to podobny zarzut może prawie wyłącznie ciężyć tylko na dziennikarstwie niemieckiém, bo nie tylko posługuje się ono do scharakteryzowania dążeń czeskich słowami istotnie znieważającemi, kiedy dziennikarstwo czeskie ostro wprawdzie odpowiada, ale używania wyra-

żeń obelżywych o ile może unika. Rozmaite cele tu i tam uzasadniają dość wyraźnie rozmaitość postawy: Niemcy pragnęliby zgładzić całkowicie ze świata Słowian austryackich, uważają więc za zbyteczne zachowywać względem nich jakikolwiek pozór grzeczności lub przystojności; Czechy chcieliby tego dokazać, żeby oba narody, zamieszkujące królestwo Czeskie, żyć mogły obok siebie w pokoju, przyjaźni i przychylném poszanowaniu obustronnych praw. My więc, Czesi, bylibyśmy radzi zjednać sobie o ile możności przyjaźń naszych współziomków niemieckich, kiedy ci usiłują dać nam do zrozumienia, że nie tylko o naszą przyjaźń zupełnie nie dbają, ale jéj zgoła nie pragną.

„My, Niemcy austryaccy, mówił niedawno pewien niemiecki student na komersie w Ehrenbergu (w północnych Czechach), przestaliśmy oddawna być austryakami i jesteśmy tylko Niemcami. Ciążymy nie do Wiednia ale do Niemiec i jeżeli dzisiejsi władcy nie chcą nic o tém wiedzieć, niech złożą swoję purpurę, my każemy sobie z niéj porobić czerwone portki“. Tak po burszowsku prawi młodzież niemiecka, to co w nich niemieccy polityczni przywódcy wmawiają i wedle sił swoich zaostrzają sprzeciwieństwa, które i tak objawiają się dość ostro. My Czesi trzymamy się uczciwie i szczerze dynastyi i państwa austryackiego, bo tylko w téj wielojęzycznéj monarchii możemy dążyć do utrzymania naszéj narodowości i spodziewać się rozwoju naszego życia narodowego. Tacy narodowcy niemieccy dają nam do zrozumienia, że im właściwie nie chodzi ani o dynastyą austryacką, ani o państwo austryackie i że ich wszystkie myśli, nadzieje i pragnienia skierowane są ku państwu niemieckiemu, na którego jedynie zbawcze łono spodziewają się być kiedyś szczęśliwie przyjęci.

Czechy są więc przeszkodą dla Niemców w Austryi, przeszkodą, którą trzeba w oczach świata obelgami poniżyć i upokorzyć. ażeby nareszcie, jeżeli to będzie możliwém zupełnie z drogi usunąć. W tym kierunku i z tą dążnością pisze na przykład niemiecki prowincyonalny dziennik w Czechach „Gablenzer-Zeitung“: „Szczególna pogłoska krąży po mieście. Jakiś czeski człowiek agituje o założenie szkoły czeskiéj w Gablenz. W interesie wszystkich mieszkających tu Czechów, którzy tu, między nami, Niemcami, na chleb zarabiają. spodziewamy się, że ta wieść pozostanie tylko pogłoską, *bo nie zawahalibyśmy się ani na chwilę umieścić Czechów, którzyby podobną petycyą podpisali, na liście proskrypcyjnéj i odebrać im pracę i zarobek.* W niemieckiém mieście Gablenz nie będą cierpiane żadne czeskie zachcianki, a od niespodzianéj zasadzki obronić się potrafimy. Podobno założenie szkoły czeskiéj jest dobrze widziane nawet przez

niektórych Niemców; ale tacy idyoci nie mogą sprawie niemieckiéj ani zaszkodzić, ani przynieść pożytku“.

Tak pisze „Gablenzer Zeitung“ w miesiącu lipcu 1884 roku: Podobne zdania mógłbym tuzinami przytaczać z dzienników niemieckich, wychodzących w Czechach, ale jeden najzupełniéj wystarcza, aby we właściwém świetle przedstawić publiczne stosunki w kraju naszym.

Okazuje się z tego, że w tak zwanych rdzennie niemieckich miastach Czech, mieszkają też Czesi, okazuje się, że to nie jakieś 4 czy 5 rodzin czeskich, które między sobą wyrażają życzenie założenia dla swoich dzieci czeskiéj szkoły (w niektórych z tych „rdzennie niemieckich miast Czesi stanowią $^1/_4$ ludności), okazuje się również, że w tych miastach wiele niemieckich rodzin chętnie widziałoby czeską szkołę, w któréj niemieckie dzieci mogłyby nauczyć się drugiego krajowego języka, ale hasło stronnictwa niemiecko-narodowego wobec tych Czechów mieszkających w okolicach niemieckich Czechii, brzmi poprostu „wyrzeczenie się wszelkiego narodowego poczucia, milczące poddanie się germanizacyi, albo brutalne prześladowanie!“ Tak często sławiona wyższa niemiecka kultura niemieckich narodowców nie może zdobyć się względem Czechów na najprostsze ludzkie poczucie słuszności i nie zna ani sprawiedliwości ani chrześciańskiéj moralności. Kiedy najdrobniejsza niemiecka mniejszość w gminie czeskiéj dopomina się o całkowite, niczém nie uszczuplone prawo pielęgnowania i utrzymania swéj narodowości i nie ograniczone z tego prawa korzystanie; to nie ma być dozwolone gminie, według większości zaludnienia, uważanéj za niemiecką, czuć po czesku i dążyć do osiągnięcia tego, co jéj jest nawet zapewnionem prawnie artykułami istniejącej konstytucyi!

Ogólnie rozpowszechniona słabość samolubnéj natury ludzkiéj odgrywa i w téj walce, narodowości czeskiéj i niemieckiéj, główną rolę. W nowszych czasach zdołano wdrożyć przekonanie w niemiecką ludność Czech, która aż do r. 1848 i długie jeszcze lata późniéj żyła z Czechami w przyjaznych sąsiedzkich stosunkach, że Niemiec jest z natury czémś lepszém od Słowianina, że Niemiec na to jest stworzony, ażeby, jako wyższy żywioł cywilizacyjnéj społeczności ludzkiéj, przewodzić nad niższym Słowianinem, niby opiekun nad politycznie niedojrzałym, opiece jego powierzonym pupilem, że zatém upragnione przez Czechów polityczne równouprawnienie, jest absolutnie potępienia godnym dziwotworem, że wreszcie Czech jest wprawdzie zmuszony uczyć się języka niemieckiego, jako środka do nabycia wyższéj kultury, ale Niemiec, człowiek narodowości wyjątkowéj, ubliżyłby swéj godności, gdyby, ucząc się języka czeskie-

go chciał zejść do poziomu ludku duchowo niższego. Pochlebna myśl, że się jest czémś lepszém od wszystkich, choćby najzamożniejszych chłopów wewnątrz kraju, utkwiła w głowie najuboższemu chłopkowi, w najlichszéj wiosce pogranicznego okręgu; pod jéj wpływem stara się on przynajmniéj pychą i brutalstwem dawać Czechowi dowody, że umie grać rolę przyrodzonego pana kraju. Niemcy w Czechach nie bili się wprawdzie w tych wszystkich bitwach roku 1870 i 1871, w których armia niemiecka, dobrze przygotowana do téj ostatecznie rozstrzygającéj walki, zwyciężyła wszędzie z góry obrachowaną przewagą liczebną, naprędce pościągane wojska Napoleona III, zaślepionego wiarą w fantastyczne przymierza; właściwie nie mają żadnego prawa do udziału w sławie wojennéj narodu niemieckiego; niemniéj chcą być czémś znacznie wyższém od słowiańskich Czechów i tém głośniéj krzyczą: „I my też należymy do zwycięzkiego, do pierwszego w Europie narodu, równouprawnienie z Czechami byłoby dla nas upokorzeniem przeciwném naturze!“

Główny organ stronnictwa niemiecko - narodowego w Austryi wiedeńska „Deutsche-Zeitung“ pisze 17 lipca r. b.

„Niemieckie stronnictwo ma do spełnienia w tém państwie (tj. w Austryi) dwa wielkie, rzec można opatrznościowe zadania: winno najprzód czuwać, ażeby nasz naród, ażeby żywioł niemiecki, nie był wyparty ze swego dziejowego stanowiska w Austryi i nie służył za cywilizacyjną mierzwę do bujnego rozwoju innych narodowości. Powtóre, musi bronić jedności państwa przeciwko działaniu rozkładowego federalizmu, przeciwko wszelkim usiłowaniom rozluźnienia spójnego, przez cesarza Józefa stworzonego, organizmu państwowego“.

„Dziejowe stanowisko Niemców w Austryi“,—„jedność państwa i federalizm“,—„Józefiński organizm państwowy“,—są to wszystko główne punkta, co do których, my, Czesi jesteśmy stanowczo innego zdania, aniżeli nasi niemieccy współziomkowie, a ponieważ są to kwestye ogólnie austryackiéj natury, które ostatecznie jeszcze nie zostały rozstrzygnięte, więc mogę i dziś powtórzyć to, co powiedziałem, mniéj więcéj, przed dwudziestu laty, że nasza kwestya czeska jest przedewszystkiém kwestyą austryacką i dodać, że nowe konstytucyjne ukształtowanie cesarstwa austryackiego nie zyskało sobie jeszcze téj trwałéj podstawy, na któréj jedynie spodziewać-by się można dalszego rozwoju i pożądanego wzmocnienia się państwa. Według naszego pojmowania rzeczy, te właśnie trzy punkta, na których Niemcy austryaccy opierają prawo uprzywiliowanego szczepowego panowania, są bardzo spornéj natury.

Co do „historycznego stanowiska żywiołu niemieckiego“, muszę naturalnie mówić najprzód o królestwie czeskiém, a tu znajduję dziejowy okres, w którym naród czeski pod panowaniem własnych królów był niewątpliwie panującym w swoim kraju; późniéj następuje czas „odnowionéj ordynacyi krajowéj r. 1627“, w któréj równouprawnienia polityczne obu mieszkających w kraju narodów prawnie zostało określone; nareszcie nadchodzi pora odradzania się narodu czeskiego aż do roku 1848, w którym to czasie od wszystkich służących w kraju urzędników wymagana była znajomość obu języków krajowych. Odkąd-że właściwie datuje się historyczne prawo Niemców do uprzywiliowanego szczepowego panowania w królestwie Czeskiém? Poprostu od czasu nadanéj w r. 1861 konstytucyi. Ale wtenczas polityka domu habsburskiego dążąca do przewagi w Niemczech była wyłącznie decydującą w wewnętrznych sprawach cesarstwa i wskutek tego, wytworzono dla Czech sztuczną ordynacyą wyborczą, bynajmniéj nie odpowiadającą rzeczywistym stosunkom. Czechy, z $^3/_5$ słowiańskiéj ludności, otrzymały reprezentacyą krajową, z niemiecką większością, wynoszącą $^2/_3$ głosów i tak zwane „dziejowe stanowisko Niemców w Czechach było gotowe“. Nawiasowo tylko wspomnę, że to samo stało się w Morawii z $^3/_4$ słowiańskiéj ludności. Tymczasem dziś w r. 1884 Wilhelm I z domu Hohenzollerów, jest już od 14 lat cesarzem zjednoczonych Niemiec, polityka dynastyi habsburskiéj, dążąca do supremacyi w Niemczech, stanowczo została zarzuconą, antagonizm między Habsburgami a Hohenzollerami ustąpił szczeremu prawdopodobnie z obu stron związkowi przyjaźni między Austryą i Niemcami, wewnętrzna polityka państwa austryackiego stała się z konieczności zupełnie inną i tak zwane dziejowe stanowisko Niemców, wraz z koniecznem panowaniem niemieckiego szczepu, nie stanowi już *conditio sine qua non* stanowiska Austryi jako wielkiego mocarstwa.

„Jedność państwa“. Pomówmy o tém wyraźnie i nazywajmy rzeczy po imieniu. Czy to wyrażenie ma oznaczać utrzymanie całości państwa, jednolitość cesarstwa pod berłem dynastyi habsburskiéj?— w takim razie zgodzimy się na to w zupełności; ale jeżeli w tych słowach wyrażona jest myśl ujednostajnienia państwa austryackiego przez wprowadzenie i utrzymanie hegemonii niemieckiéj we wszystkich jego częściach, to porozumienie będzie niemożliwém, bo do podobnego -ujednostajnienia państwa brakuje podstawy historycznéj i prawnéj i wszystkie zasady nowożytnego konstytucyonalizmu sprzeciwiają się temu stanowczo. Jeżeli centraliści niemieccy, na wzór paryzkich centralistów z r. 1793, używają „federalizmu“ za straszydło, ażeby z jednéj strony podać w podejrzenie swoich prze-

ciwników, a z drugiéj rozpalić głowy swoich stronników, to mogą się pochwalić, że im się szczególniéj to ostatnie tu i owdzie udało i że dla niejednego Niemca w Austryi „federalista“ to samo znaczy co „wróg państwa“, „nieprzyjaciel dynastyi“, „zdrajca kraju“; Bóg wié jeszcze co, ale my nie dajemy się takiemi postrachami w kozi róg zapędzić i obstajemy spokojnie przy zdaniu: „że wielojęzyczna Austrya nie jest jednolitém państwem, bo nie była nim i pod absolutnemi rządami, a zanim powstał w r. 1804 tytuł „cesarz austryacki“, panujący z domu habsburskiego tytułowali się urzędownie królami czeskimi, węgierskimi, etc. etc., że wreszcie nie my, lecz Niemcy sami wytworzyli w okresie konstytucyjnym dualizm, który oczywiście nie jest jednolitością państwa. Wprawdzie wiemy, że Niemcy stworzyli dualizm dla tego, żeby przynajmniéj w połowie cesarstwa być panującym narodem, ale właśnie sądzimy, że i tam tak nie będzie. Galicya, Dalmacya, Istrya, Kraina, Czechy i Morawia itd. nie dadzą się téż przykryć jednym kapeluszem hegemonii; choćby nawet chciwi panowania Niemcy, chcieli Dalmacyą oddać Zalitawii, a Galicyi wytworzyć odrębne stanowisko, ażeby przynajmniéj w uszczuplonéj Przedlitawii zostać nieograniczonymi panami,—to i to, według naszego zdania, nie da się zrobić *et hinc illae lacrymae*. Tak gdyby nie było tych fatalnych Czechów, ze Słowianami można-by się jeszcze w końcu załatwić.

A teraz, kto jest wrogiem jedności państwa? czy my, którzy przez utrzymanie całości Austryi chcemy utrzymać naszą narodowość, czy my, którzy w austryackim parlamencie, chętnie ze względów praktycznych posługujemy się językiem niemieckim, ale nie znosząc żadnéj szczepowéj przewagi w krajach z mięszaną ludnością, jawnie i uczciwie dążymy do narodowego równouprawnienia w szkole, w urzędzie i w całém życiu publiczném, czy téż Niemcy, którzy nie wahają się państwa szarpać w kawały, aby przynajmniéj w jednéj takiéj sztuce swoje panowanie szczepowe zrobić zasadniczém prawem państwowém?

„Obrona spójnego organizmu państwowego“, utworzonego przez cesarza Józefa II, ma być „opatrznościowém zadaniem“ stronnictwa Niemieckiego..... Niemcy mają bronić tego systematu w dzisiejszéj konstytucyjnéj, dualistycznie rozszczepionéj, Austryi! Gdyby się czegoś podobnego nie czytało czarno na białém, w jednym z rozpowszechnionych organów stronnictwa niemiecko - narodowego, to można-by łatwo zwątpić, żeby ktoś był istotnie w stanie wpaść na myśl podobną.

Józef II był cesarzem państwa rzymsko - niemieckiego; potęgę swéj dynastyi uważał tylko za środek do utrzymania tego stanowi-

ska w Europie. Józef II pisał do jednego z magnatów węgierskich, który robił mu uwagi z powodu jego germanizacyjnych dążności, że wprowadziłby język węgierski, jako państwowy w swoich krajach, gdyby nie był cesarzem niemieckim. Gdyby Józef II rządził był w Austryi o sto lat późniéj, Niemcy nie stawiali-by mu może pomników. To téż nabożeństwo dla „Józefowskiego ustroju państwowego“ jest zupełnym anachronizmem, odgrzewaniem dążeń germanizatorskich, które w absolutnéj Austryi nie doprowadziły do żadnego wyniku, a w Austryi konstytucyjnéj témbardziéj nie mogą wydać jakiegobądź rezultatu. Wszystkie pomniki, które postawiono Józefowi II w niemieckich miejscowościach Czech i które dotąd się jeszcze stawiają, są właściwie pomnikami narodowego zaślepienia i stanowią, dla rozsądnego badacza nowszych dziejów, przedmiot do dziwnych spostrzeżeń. Józef II był zdecydowanym wrogiem i przeciwnikiem dynastyi Hohenzollerów i jéj dążeń wielkomocarstwowych, czyż więc Niemcy właściwie stawiają teraz w Czechach pomniki cesarzowi Józefowi? Józef II był absolutystą najczystszéj wody, czyżby Niemcy czescy, czcząc tego cesarza, chcieli złożyć hołd cezarowemu absolutyzmowi? Nie przypisujemy im takich dążności, ale widzimy z żalem, że porozumienie z naszymi współziomkami niemieckimi nie da się osiągnąć, dopóki ich tak zwany „liberalizm“ nic innego względem nas nie będzie znaczyć jak obronę „Józefowskiego systematu politycznego“, to jest, wyraźniéj mówiąc, germanizacyą, przeprowadzaną przemocą.

Z tego wszystkiego okazuje się jasno, że Czechy i Niemcy w królestwie czeskiém są przedstawicielami dwóch poglądów prawnych, które w przedmiocie konstytucyjnego ukształtowania cesarstwa austryackiego, w ostrzejszém niż kiedykolwiek stoją do siebie przeciwieństwie, i że ostateczne załatwienie sporu między narodowościami w Czechach jest rzeczywiście sprawą austryacką. W skutek tego traktowano ową sprawę w najnowszych czasach, jako jedną z najważniejszych kwestyj politycznych i poddawano ją w austryackiéj radzie państwa długim i bardzo gruntownym rozprawom.

Dopóki niemieckie, tak zwane wierno-konstytucyjne stronnictwo miało stanowczą większość w radzie państwa, ministeryum przedlitawskie rekrutowało się z jego szeregów, a deputowani czescy nie przychodzili do rady państwa, dopóty decyzya w sporze narodowości w Czechach była tylko przedmiotem środków administracyjnych. Rząd niemiecko-stronniczy zabezpieczał trwałość niemieckiéj większości w sejmie czeskim i robił co mógł dla zdławienia czeskich dążeń narodowych. Ale kiedy dostał się do steru gabinet Taafego, kiedy wskutek wejścia do rady państwa posłów czeskich, niemie-

ckie „wierno-konstytucyjne“ stronnictwo spadło do mniejszości, kiedy 8 października 1879 r. cesarz w mowie tronowéj zapowiedział zupełną zmianę systematu rządzenia, według któréj Austrya miała zostać „ochroną i ostoją dla praw i swobód wszystkich swych ludów“, kiedy jedném słowem skończyło się panowanie stronnictwa niemieckiego, a niemiecka partya wierno-konstytucyjna ze stanowiska wszechpotężnéj partyi rządowéj wypartą została na mniéj przyjemne i mniéj procentujące stanowisko, nie tyle wszechwładnéj opozycyi, wtedy rada państwa stała się placem bitwy, na którym Niemcy czescy sprzymierzeni z innymi Niemcami austryackimi chcieli stoczyć z Czechami bój i spodziewali się zwycięzko utrzymać swoję wyższość polityczną. Bo jakkolwiek w Czechach byli liczebnie w stanowczéj mniejszości, to w całéj przedlitawii, gdyby obok nich stanęli wszyscy Niemcy, mieli nie tylko pod względem liczby ludności, ale nawet w radzie państwa pod względem narodowości, znakomitą większość. W radzie państwa zatém musiały być roztrząsane kwestye narodowe, bo tam można było spodziewać się, że gdy przyjdzie do obrony niemieckich interesów narodowych, żaden Niemiec nie odważy się głosować z Czechami, że więc Czesi w podobnych sprawach zawsze będą w mniejszości.

Celem do osiągnięcia było panowanie stronnictwa niemieckiego, uznanie zaś niemieckiego języka za „państwowy“, miało posłużyć jako prowadzący do tego środek. Dr. Herbst, przywódca niemieckich posłów z Czech, był właściwym ojcem tego wniosku, ale uznano za dogodniejsze zrobić nim w obec świata styryjskiego posła hr. Wurmbranda, ażeby całéj sprawie odjąć barwę sporu narodowego czesko-niemieckiego, a nadać bardziéj ogólny charakter austryacki.

Hrabia Wurmbrand wręczył swój wniosek do prezydyum izby deputowanych 10 maja 1880 r. i wniósł go na posiedzeniu izby d. 14 grudnia 1880 r.

Wniosek brzmiał jak następuje: „Wysoka Izba uchwali: W wykonaniu art. XIX zasadniczego prawa państwowego, 21 grudnia 1867 roku, o ogólnych prawach obywateli państwa (1), wzywa się rząd, ażeby przedstawił projekt do prawa, w którym przy utrzymaniu języka niemieckiego, jako państwowego, uregulowane będzie używanie języka krajowego w szkole, w urzędzie i w życiu publiczném“.

Wniosek Wurmbranda stanowił pierwszą kolumnę, przeznaczoną do ataku w kampanii parlamentarnéj niemieckiego stronnictwa wierno-konstytucyjnego przeciwko gabinetowi Taafego i nowe-

(1) Artykuł tyczący się równouprawnienia narodowości.

mu systematowi rządowemu. Drugą kolumnę wyprowadził do boju Dr. Herbst 1 maja 1880 r.

C. k. ministerya sprawiedliwości (Stremayer) i spraw wewnętrznych (Taafe) wydały d. 19 kwietnia 1880 r. reskrypt dla Czech i Morawii „o używaniu języków krajowych (niemieckiego i czesko-słowiańskiego) w stosunkach władz politycznych, sądowych i prokuratorskich ze stronami i z organami samorządu“. Ten reskrypt ministeryalny posłużył niemieckiemu stronnictwu w Czechach do zainscenowania tak zwanego „wielkiego zaniepokojenia“ między niemiecką ludnością w Czechach. Zaznaczamy tu jednak z góry, że to „wielkie zaniepokojenie“ okazało się tylko wśród niemieckiéj ludności w Czechach, kiedy niemiecka ludność Morawii nie była niém dotkniętą. W Czechach, stronnictwo niemieckie miało dostateczne powody do uważania swéj przewagi za zagrożoną, w Morawii zaś niemiecka partya była jeszcze spokojną o trwałość i bezpieczeństwo swego panowania. Już 1 maja 1880 r. poseł niemiecki z Czech Wolfrum, wraz ze 137 towarzyszami (zjednaną więc była prawie cała wierno-konstytucyjna opozycya na sprzymierzeńca Niemców w czesko-niemieckim sporze narodowości), wniósł interpelacyą do gabinetu, dotyczącą reskryptu o języku 5 maja 1880 r., minister sprawiedliwości Stremayer odpowiedział na tę interpellacyą i bronił wydanego przez ministrym reskryptu d. 4 grudnia 1880 r. Dr. Herbert postawił wniosek, aby tę odpowiedź na interpellacyą Wolfruma przesłać do oddzielnéj komisyi do dyskusyi i sprawozdania. Izba poselska przyjęła jednogłośnie ten wniosek i wybrano „komisyą językową“, złożoną z 24 członków, w któréj prawicę reprezentowało 15, a opozycyą „wierno-konstytucyjną“ 9 członków. Do téj komisyi językowéj odesłano d. 14 grudnia 1880 r. wniosek hr. Wurmbranda.

Rozprawy „komisyi językowéj“ nad językiem państwowym są szczególnie zajmujące i wyjątkowo charakteryzujące stosunki austryackie. Niemieckie stronnictwo konstytucyjne sądziło, że znajduje w „niemieckim języku państwowym“ kamień filozoficzny, który przekształci się dla niego na złoto upragnionéj hegemonii; ale nie lepiéj mu się udało niż zwykłym alchemikom i kamień nie zamienił się na prawdziwe złoto. Fatalną zazwyczaj bywa rzeczą, kiedy stronnictwo polityczne nie przedstawia otwarcie swego właściwego zamiaru i nie ma odwagi bronić go bezwzględnie. Reprezentanci niemieckiéj, chciwéj panowania, partyi mówili naturalnie w komisyi językowéj nie o swéj żądzy panowania, ale o konieczności podtrzymania państwa austryackiego. Samo z siebie wynika, że co do tego celu wszyscy członkowie komisyi zgadzali się zupełnie; tylko co do jedynego, według mniemania partyi niemieckiéj, środka który do

tego miał prowadzić, zdania dzieliły się,—„Co panowie rozumiecie przez język państwowy“, pytali przedstawiciele nieniemieckich narodowości, „dajcie nam jasne określenie, żebyśmy wiedzieli, czego właściwie chcecie“. Tę definicyą dać było niełatwo, bo to co poseł salcburski Lienbacher przy ostatecznych rozprawach nad wnioskiem komisyi językowéj (w lutym 1884 r.) dał jako odpowiedź, mianowicie, że „język państwowy jest to język państwa“, nie jest chyba nawet przez niego samego za definicyą uważane. Gdyby cesarz austryacki mógł powiedziéć jak niegdyś Ludwik XIV, „państwo—to ja“.—wtedy kwestya wkrótce byłaby rozstrzygniętą, ale przypuściwszy, że język państwowy jest językiem państwa, to wypada w dalszym ciągu wyjaśnić, co jest państwo. Jeżeli państwo znaczy to samo co rząd i władze państwowe, w takim razie język urzędowy władz państwowych będzie językiem państwa; jeżeli zaś państwo ma oznaczać ogół obywateli, wtedy, w wielo-językowéj Austryi trudno będzie mówić o niemieckim języku państwowym. To też partya niemiecka nie wdawała się w tego rodzaju rozprawy, nie dała żądanéj definicyi języka państwowego, lecz hr. Wurmbrand wyraził w jéj imieniu życzenie, ażeby najprzód rząd wypowiedział swój pogląd na wniosek. Prezes ministrów, hr. Taafe, odpowiedział na wezwanie wnioskodawcy w sposób bardzo dokładny. Hr. Taafe zadaje sobie przedewszystkiem pytanie, czy wniosek hr. Wurmbranda jest na czasie, i oświadcza, że „rząd uznał-by wtedy tylko podobny wniosek za będący na czasie, gdyby najprzód nastąpiło porozumienie między różnemi narodowościami i stronnictwami politycznemi“. Pozostawia to wysokiéj komisyi do ocenienia, czy o podobném porozumieniu w téj chwili może być mowa. Hr. Wurmbrand chce wiedziéć, jakie stanowisko zajmie rząd względem jego wniosku. Ale tu nastręcza się przedewszystkiem pytanie: „co hr. Wurmbrand rozumie przez język państwowy“. Zdania w tym przedmiocie są rozmaite. Możnaby tu rozumiéć język służbowy władz, ale ustanowienie języka służbowego jest przedmiotem należącym do władz wykonawczych i należy do dziedziny rozporządzeń. „Rząd reguluje kwestyą języka służbowego, kierując się zasadą uproszczenia interesów, taniości itd., a nadto uwzględniając potrzeby krajów i ludności“. I dla tego w różnych prowincyach są różne języki służbowe.

„*Tu jednakże nie można przez język państwowy rozumiéć języka służbowego*“. Miałoż-by to w tym razie znaczyć to samo, co język zgromadzeń reprezentacyjnych? W radzie państwa rozprawy odbywają się po niemiecku. Na to nie wpływa bynajmniéj art. XIX zasadniczego prawa państwowego, jest to naturalny wynik praktycznéj potrzeby. „*Rzeczą jest nadto trudną ustanowić na drodze prawodawczéj*

jeden język, jako język państwowy, bo to nie da się ściśle pogodzić z brzmieniem art. XIX. *Faktycznie jednak niezbędném jest prowadzić rozprawy w parlamencie w jednym języku*. Jest to fakt, *który zdaje się nie potrzebować utrwalenia na drodze prawodawczéj*".

Daléj nasuwa się inne pytanie: czy język państwowy jest językiem sejmu? czy język niemiecki ma być językiem wszystkich sejmów? Hr. Taafe zostawia wysokiéj komisyi odpowiedź na te pytanie.

Doprowadziwszy w tak dobitny sposób cały wniosek *ad absurdum*, hr. Taafe, kończy następującemi słowy:

„Przedewszystkiem niech mi wolno będzie postawić wnioskodawcy pytanie: *jak myśli określić pojęcie języka państwowego, w jaki sposób urzeczywistnić je zamierza i jakim organom ma być powierzone przeprowadzenie wniosku w praktyce?*"

Nowe zakłopotanie stronnictwa niemieckiego; ale hr. Wurmbrand nie wpada w zastawioną mu łapkę, lecz wydobywa z niéj siebie i swoje stronnictwo dość dziwném oświadczeniem, „że jeżeli nie będzie uznana konieczność prawnego uregulowania języka państwowego, w takim razie nie potrzebna jest i odpowiedź na postawione mu zapytanie co do definicyi pojęcia języka państwowego".

Po téj przymuszonéj deklaracyi wnioskodawcy, nastąpiły w komisyi językowéj jałowe rozprawy ogólne w sprawie języków, bez jakiegokolwiek określonego przedmiotu do uchwały, bo żaden członek stronnictwa niemieckiego nie odważył się probować ścisłéj definicyi języka państwowego, ani odpowiadać na pytania, postawione wnioskodawcy przez prezesa ministrów. Zdawało się, że rokowania komisyi językowéj osiadły na mieliźnie. Coś jednak powinno było z tego winiknąć, w przeciwnym razie stronnictwo niemieckie ze swoim wnioskiem musiało ponieść formalną porażkę, trzeba było przynajmniéj wprowadzić wniosek na rozprawy *in pleno*, ażeby na jaw wyprowadzić wszystkie niemieckie okrzyki bólu i wszystkie skargi na zesłowiańszczenie Austryi. Dr. Sturm, przywódca Niemców w Morawii wystosował 21 stycznia 1883 r. interpelacyą do prezydującego w komisyi, hr. Hohenwartha i narady komisyi językowéj zostały na nowo podniesione 22 stycznia t. r. Zapytano znów hr. Taafe co myśli o téj sprawie, a ten oświadczył po prostu, że trzyma się w zupełności swojéj dawniéj wyrażonéj opinii i nie ma nic do dodania. Wnioskodawca został znów wezwany do ścisłego określenia pojęcia języka państwowego i znów nie był w stanie dać téj definicyi.

Komisya językowa nie mogła postąpić ani krokiem naprzód, bo bez ścisłéj definicyi pojęcia języka państwowego nie podobna było o nim *in merito* rozprawiać. Partya niemiecka nie chciała, czy téż nie mogła dać żadnéj definicyi; ta definicya nie znajduje się w żadném

z istniejących zasadniczych praw państwowych, a pojęcie języka państwowego nie jest faktycznie trwałém, ani według używanego w życiu potoczném wyrażenia, ani w teoryi. Brakowało więc do rozpraw niezbędnego substratu i rok 1883 nie przysporzył również żadnéj uchwały.

Tymczasem rok 1883 przyniósł dla Niemców w Czechach coś innego, o czém trzeba było w Wiedniu pomówić. Sejm czeski z niemiecką większością został rozwiązany w maju, tj. na rok przed upływem swego prawnego trwania i nowe wybory dały większość czeską, gdyż 70 przedstawicieli wielkiéj własności ziemskiéj należało do tak zwanéj historycznéj partyi szlacheckiéj i głosowało z Czechami. Prazka izba handlowa, z któréj dotąd większość niemiecka sztucznie wytworzona, posyłała do sejmu i do rady państwa jedynie stronników niemieckiéj partyi, miała być również niebawem rozwiązaną, nareszcie było też w perspektywie rozwiązanie sejmu morawskiego.

Partya Niemiecka, zwana dawniéj „wiernokonstytucyjną“, doszedłszy do przekonania, ku wielkiemu swemu smutkowi, że tak wysoko przez nią ceniona konstytucya lutowa z r. 1861, razem z wypracowanemi przez Niemców w r. 1867 poprawkami i dopełnieniami, nie jest w stanie utrzymać uprzywiliowanéj przewagi Niemców w Przedlitawii, przyjęła tymczasowo w wiedeńskiéj radzie państwa nazwę „zjednoczonéj lewicy“. Ta niemiecka wroga dla słowian lewica, musiała przecież coś zrobić, ażeby dowieść swojéj siły żywotniéj, choćby dlatego *ut aliquid fecisse videatur*. Kawaler von Chlumetzky, również polityczny przywódca Niemców w Morawii, który w nowszych czasach we wszystkich politycznych niedolach partyi niemieckiéj chciał, jak się zdaje, odgrywać rolę zbawczego *deus ex machina*, przedstawił w grudniu 1883 r. w izbie poselskiéj, tuż przed świętami Bożego Narodzenia naglący wniosek, ażeby nareszcie jakoś uchwała komisyi językowéj wpisana została na porządek dzienny izby, a prezes Smolka oświadczył, że to życzenie natychmiast uwzględni. Takim sposobem w końcu stycznia 1884 r. poddane zostały nareszcie pod publiczne rozprawy w radzie państwa wnioski hr. Wurmbranda, w kwestyi niemieckiego języka państwowego i dra. Herbsta, w przedmiocie zniesienia reskryptu językowego z dnia 19 kwietnia 1880 roku.

Niemam zamiaru nużyć czytelnika długiemi przytoczeniami z tych rozpraw. Nie potrzebuję także dodawać, że Czechy wystawiani w nich byli jako barbarzyńcy niezdolni do jakiéjkolwiek kultury, a hr. Taafe za głównego wroga państwa; samo z siebie również rozumie się, że uroczyste uznanie mowy niemieckiéj za austryacki język państwowy, jak najnatarczywiéj i na różne sposoby było zale-

cane, jako jedyna droga ratunku w obec grożącéj zagłady i zupełnego zdziczenia. Przytoczę tylko drobny przykład parlamentarnéj grzeczności, praktykowanéj przez niemiecką „zjednoczoną lewicę“. Von Plener, kandydat napinający się do teki ministeryalnéj nie wahał się powiedziéć w swojéj długiéj mowie, ozdobionéj mnóstwem komplementów, pod adresem Czechów: „Kiedy w Pradze Niemiec idzie przez ulicę, krzyczą za nim *bij psa niemieckiego*“. Czy te wyrazy tak dosłownie po niemiecku, czy też w języku czeskim były wymówione, tego nie wyjaśnił pan von Plener. Że zaś w Pradze znajduje się wielu Niemców i to nie tylko miejscowych, ale i obcych, że zatém gdyby takie krzyki na ulicach Pragi były tak zwyczajnemi, jak to p. von Plener utrzymuje, musiano-by je słyszeć przez cały dzień, o tém widocznie, nie pomyślał w swoim namiętnym zapędzie. Ja mogę tylko powiedziéć, że w Pradze nigdy takiego okrzyku nie słyszałem, choć bynajmniéj nie zaprzeczam, że coś podobnego można było usłyszéć, co mnie się wydaje bardzo zrozumiałém, bo pamiętam czasy, kiedy wśród konstytucyjnéj ery c. k. policya w Pradze zwykła była „czeskiemi psami“ na prawo i na lewo szafować i nie zapomniałem téż o tém, że niemieccy studenci w Pradze bardzo chętnie każdego Czecha tym tytułem częstowali.

Zresztą nie wydarzyło się w izbie poselskiéj ani w styczniu, ani w lutym 1884 r., w ciągu dziewięciu długich posiedzeń żadne inne nieszczęście i obradujący przeszli do porządku dziennego nad wnioskami hr. Wurmbranda i dra. Herbsta.

Tym sposobem projekt nadania językowi niemieckiemu charakteru języka państwowego został w radzie państwa uchylony. Hrabia Hohenwarth tak zakończył, godną męża stanu mowę w téj sprawie:

„Sprawozdanie mniejszości, wziąwszy sobie za zadanie dowieść, że język niemiecki jest zagrożony, nie może przytoczyć ani jednego wypadku, w którym byłyby widoczne usiłowania wyparcia języka niemieckiego z należnego mu stanowiska. Przeciwnie, sprawozdawca musi sam zaznaczyć, że nawet wybitni przywódcy słowian publicznie i wyraźnie istniejącemu stanowi rzeczy przyklaskiwali, ponieważ uznają w języku niemieckim konieczny środek do porozumienia się w naszém państwie wielojęzycznén. Więc nawet ze sprawozdania mniejszości nie jestem w stanie odkryć skąd to niebezpieczeństwo zagrażać ma językowi niemieckiemu. W obec wspomnianych wyżéj faktów, byłoby rzeczą nie tylko bezcelową, ale (proszę na to zwrócić uwagę) pod wielu względami niebezpieczną, zmuszać za pomocą prawa pisanego do tego, co mocą prawa nierównie silniejszego, bo prawa konieczności politycznéj, zachowało się nietkniętém dawniéj niż od stu lat.

„Panowie! mało mamy pisanych praw, któreby wykazać mogły tak niezmienną, tak niezachwianą skuteczność; nie mamy ani jednego, o którém dziś możnaby powiedziéć, że po wszystkie czasy trwać będzie; ale prawo państwowéj konieczności ustoi się dopóki Austrya Austryą, dopóki jest państwem wielojęzyczném, w którém rozmaite narody nie mogą obejść się bez wspólnego środka do porozumienia. Dla tego moi panowie, niech mi wolno będzie odezwać się do mniejszości: *Pas trop de zèle*! Nie wywołujcie przez zbytek gorliwości rzeczywistego niebezpieczeństwa, które dziś słania się tylko w rozdrażnionéj wyobraźni i bądźcie pewni, że nie możecie lepszéj usługi wyświadczyć językowi niemieckiemu, jak wyrzekając się wszelkich prób stworzenia mu sztucznie przywileju, który, naturalnym porządkiem rzeczy sam z siebie przypada i który właśnie dla tego nie może natrafić na żaden opór, na żadne zaprzeczenie“.

Gdybyśmy kiedykolwiek mieli wątpliwość do czego właściwie dążyło stronnictwo niemieckie ze swoim wnioskiem, uznania prawnie języka niemieckiego za państwowy, to tę wątpliwość musiała-by usunąć mowa posła Weitloffa, prezesa niemieckiego stowarzyszenia szkolnego w rozprawach nad budżetem, które nastąpiły po dyskusyi w przedmiocie języka.

„Zarówno jak w jakimś rodzie szlacheckim lub w dynastyi panującéj, młodszy brat nie ma prawa uważać się za pokrzywdzonego pierworodztwem starszego brata, wynikłem z naturalnego biegu rzeczy, i jak nie może targnąć się na to pierworodztwo bez obalenia wszelkich społecznych i państwowych stosunków, tak i pierworodztwo niemców w Austryi, oparte na naturalnym porządku rzeczy, musi być uznane przez inne ludy Austryi; wtedy dopiero znajdzie się podstawa do porozumienia i do wspólnéj ugody“.

To znaczy jaśniéj mówiąc: Niemcy mają być w Austryi urodzonemi panami, którzy wszystkiém są w państwie i wszystko w państwie posiadają, a ludy nie niemieckie mają mieć tylko prawo życia z łaski tych panów. Jakim sposobem da się pogodzić z tą austryacką teoryą państwową nowoczesny konstytucyonalizm i prawdziwy liberalizm nowoczesny, którego przecież niemcy właściwemi chcą być przedstawicielami, tego p. dr. Weitloff nie uznał za stosowne wyjaśnić. Utworzenie rodzaju włościańskich fideikomisów, w celu zapobieżenia wzrastającemu zubożeniu stanu chłopskiego, uważane za stanowczo antiliberalne przez niemieckich liberałów, którzy utrzymują, że w takim razie z młodszych synów wyrośnie chłopski proletaryat; dla szlacheckich fideikomisów również są nieprzychylni niemieccy liberałowie i skłonni byli-by raczéj znieść je zupełnie; ale zrobić z całego austryackiego państwa niemiecki fideikomis, którego

właścicielami według prawa pierworodztwa byliby Niemcy i w ktorym niemieckie ludy tworzyłyby rodzaj państwowego proletaryatu, żywiącego się niezbędnemi do egzystencyi porcyami łaski wydzielanemi wspaniałomyślnie przez naturalnych niemieckich panów, to wydaje się niemieckim liberałom zgodném, przynajmniéj z *ich własném* liberalizmem. Niestety jednak nie niemieckie ludy Austryi nie mają wielkiéj ochoty podtrzymywać życie łaską niemiecką i dla tego urządzenie w myśl wniosku Weitloffa niemiecko-austryackiego fidei-kómisu nie prędko zapewne przyjdzie do skutku.

Tymczasem stronnictwo niemieckie w Czechach ma wiele do roboty ze swemi wewnętrznemi rozterkami. Wdrażano w niemiecką ludność w Czechach wszelkiemi środkami politycznéj agitacyi myśl, że Niemcom należy się panowanie w Czechach i w całéj Austryi, że więc o jakiemś politycznem równouprawnieniu Czechów i Niemców mowy być nie może. Porozumienie się z Czechami, było wystawiane jako zdrada przeciwko germanizmowi, a zupełne poddanie się Czechów jako konieczność. Ludność niemiecka chciała widzieć urzeczywistnienie tego, co jéj polityczni wodzowie wygłaszali. Przywódcy owi, przyrzekli, że tak powiem, ludności niemieckiéj w Czechach przedewszystkiém zwalić w Wiedniu gabinet Taafego, poczem wszystko spełniłoby się według życzenia. Tymczasem mimo powtarzane kilkakrotnie usiłowania, nie mogli ci przewódcy podkopać ministeryum i świetne nadzieje czynione niemieckiéj ludności w Czechach nie ziściły się. Zachwiała się przez to wiara w powagę wodzów, i ufność w ich siłę i zdolność polityczną; znaleźli się nawet, jak to zawsze bywa w podobnych stosunkach, wśród ludności niemieckiéj Czech ludzie, którzy podejmowali się lepiéj to zrobić aniżeli poprzedni przywódcy. Wyszły na jaw nowe programy polityczne i wysławiane były przez miejscowe dzienniki, a jednocześnie poddawano całą parlamentarną działalność dawnych przywódców pod niemiłosierną i szyderczą krytykę.

„Powstrzymanie się od wszelkiéj działalności parlamentarnéj“ i „rozpołowienie Czech“—oto dwa główne punkta nowego programatu politycznego, radykałów niemiecko-narodowego stronnictwa. Posłowie niemieccy mają wystąpić z sejmu czeskiego i z austryackiéj Rady państwa i wycofać się z życia publicznego do zupełnéj bierności, przez którą to bierność rozumiéć by należało nie bezczynność, ale przeciwnie, spotęgowaną agitacyą narodową, w celu przeprowadzenia drugiego punktu nowego programatu,—mianowicie: politycznego przepołowienia Czech. Królestwo ma być podzielone na dwa okręgi administracyjne, niemiecki w którym nie mogłoby być mowy o jakiemkolwiek politycznem prawie mieszkających tam Cze-

chów, gdzie za tém niemiecki język miał być wyłącznie używany, jako służbowy władz i stron—i czeski, gdzie Niemcy mieliby naturalnie zapewnione poszanowanie praw narodowych a językiem służbowym w urzędzie byłby w miarę potrzeby niemiecki lub czeski. Stolica królestwa Praga ma być również podzieloną według biegu Wełtawy na dzielnice niemiecką i czeską: Malá strana, Hradiany i Smichov z najbliższemi okolicami byłyby stolicą niemieckich dzierżaw w Czechach i siedliskiem właściwych władz krajowych: Stare i Nowe miasto, stolicą części czeskiéj, itd. W takim razie i niemiecki uniwersytet musiałby być przeniesiony na Małą stronę, a wszystkie po nim budynki dostałyby się Czechom. Czy w stronnictwie niemieckiém tak to rozumiano?—nie wiem—ale w konsekwencyi byłoby to nieodbitą koniecznością. Cokolwiekbądź, podział Czech na dwie części jest na porządku dziennym i liczyć się z nim trzeba.

Niemcy chcą, jeżeli już nie mogą być panami w całém królestwie czeskiem, zdobyć przynajmniéj w jednéj jego części panowanie nieograniczone, niezamącone natrętnym widokiem czeskiego życia narodowego. Kiedy tak rozmaite stowarzyszenia niemiecko narodowe w Czechach w duchu wydanego hasła, ogłaszają „rozpołowienie Czech“ jako jedyny środek ratowania „zagrożonéj narodowości,“ południowa część Styryi, nawskróś słoweńska, rezolucyą uchwaloną 29 czerwca 1884 r. na wiecu „niemiecko-narodowego stowarzyszenia postępu“ w (Słovenskiej Bystrzicy Windischfeistritz) uroczyście zaprotestowała przeciwko odrębności słoveńskiéj Dolnéj Styryi „ponieważ byłaby to zdrada przeciwko tradycyjnéj i od wieków przez wszystkich mieszkańców kraju za świętą uważanéj jedności Styryi.“ Zestawienie to dość jest wymowne:

Nie potrzebuję dowodzić, że do administracyjnego podziału Czech nie przyjdzie, dopóki istnieć będzie cesarstwo austryackie, ale winienem przytoczyć jako polityczne *curiosum*, że starzy przywódcy polityczni Niemców w Czechach, dr. Herbst, dr. Schmeykal *e tutti quanti*, widząc jasno niemożliwość takiego przepołowienia, nietylko nie odważają się publicznie przeciw temu wystąpić, ale je aprobują, nawet nie milcząco. W kwestyi powstrzymania się od działalności politycznéj, okazują ci panowie nader bojaźliwą postawę, to jest należą do wszystkich ciał parlamentarnych, ale w téj sprawie o ile możności zachowują milczenie. Lękają się zmienności *aurae popularis* i dowodzą tém, że nie mają samodzielnego charakteru politycenego, ale są raczéj ambitnymi agitatorami. Ażeby więc nie stracić łaski własnoręcznie podburzonych tłumów, chcą panowie przywódcy przygotować małą uciechę *in puncto* „przepołowienia“ swoim stronnikom, którzy już zaczęli być bardzo chwiejni.

Nowo-wybrana rada kultury krajowéj w królestwie Czeskiém odbyła 20 lipca posiedzenie organizacyjne. Tu niemieccy przywódcy poliityczni zgodzli się urzędownie, a przynajmniéj przyklasnęli zabawkom, z „przepołowieniem Czech“ i z „taktyką abstynencyi, 27 członków wybranych z okolic niemieckich postanowiło nie wstępować do Radv kultury krajowéj i utworzyć własne centralne stowarzyszenie gospodarzy wiejskich i leśników, co urzeczywistniało za jednym zamachem abstynencyą i podział. Ci 27 nie wypowiedzieli otwarcie, w swoim memoryale do prezydyum Rady, że postępując tak, dążą jedynie do celów politycznie narodowych, ale przytoczyli wszelkie możliwe pozory, których Rada, przechodząc poprostu nad calą deklaracyą do porządku dziennego, nie uważała za potrzebne zbijać, i których ja również przytaczać tu nie będę, ponieważ nie stanowią właściwych powodów, dla jakich niemieccy członkowie nie weszli do Rady kultury krajowéj. Ale muszę zwrócić uwagę, że w téj korporacyi z dawien dawna żadnéj nie uprawiano polityki, i załatwiano tylko sprawy odpowiadające jéj przeznaczeniu, i że w niéj teraz raczéj niż dawniéj trwożliwie się zabiega o narodowe równouprawnienie. Sferę działalności Rady kultury krajowéj stanowią rolnicze sprawy kraju, jego gospodarstwo leśne i uregulowanie biegu rzek, o ile takowe wpływają na gospodarstwo rolne i leśne. Te czysto materyalne kwestye, w których Rada kultury krajowéj decydować winna, stanowią w normalnym stanie rzeczy grunt zupełnie neutralny, na którym mogłoby być osiągniętém jeżeli nie zupełne porozumienie się obu narodowości i stanowcze usunięcie sporu językowego, to przynajmniéj, bardzo przydatne do tych prawdziwie cywilizacyjnych celów, złagodzenie krańcowych przeciwieństw opłakanéj rozterki między narodowościami. Wprowadzenie przemocą do takiéj korporacyi podobnéj rozterki może odpowiadać specyalnym celom nieprzejednanego stronnictwa niemiecko-narodowego, ale ten tryb postępowania nie może mieć nic wspólnego z patryotyzmem austryackim. Że Niemcy nie mogą mieć większości w Radzie kultury krajowéj królestwa czeskiego, w któréj większość gospodarzy wiejskich i leśników należy do narodowości czeskiéj,—to samo z siebie się rozumie; ale żeby niemcy byli tam wszędzie uciśnieni, żeby germanizm wszędzie tam czuł się zagrożonym, gdzie nie może panować sztucznie wytworzona większość niemiecka nad rzeczywistą większością czeską, to jest twierdzenie wprawdzie ciągle przez Niemców powtarzane ale niemniéj pozbawione wszelkiéj faktycznéj podstawy. Nie germanizm zagrożony jest w Czechach, ale nienaturalna, zgoła danym stosunkom nie odpowiadająca, i sztucznie tworzona przewaga niemiecka. Ta nienormalna budowa rozpada się teraz w gruzy, i je-

żeli 27 niemieckich członków Rady kultury krajowéj przeprowadziło 30 lipca swój narodowy justunek, to należy to przypisać okoliczności, że właśnie 28 lipca Niemcy stracili swój jeden potężny wał ochraniający germanizm, a zdobyty przez Czechów.

Nowo-wybrana prazka Izba handlowo-przemysłowa odbyła swoje organizacyjne posiedzenie 28 lipca 1884 r., a z nowych wyborów wynikła większość czeska 32 głosów przeciwko niemieckiéj mniejszości 16 głosów. Izba handlowa prazka wysyła do sejmu czeskiego i do austryackiéj rady państwa po dwóch deputowanych. Lutowa Schmerlingowska konstytucya postarała się i tu zapewnić Niemcom większość drogą odpowiedniéj ordynacyi wyborczéj, ażeby tym sposobem pomnożyć liczbę niemieckich członków w sejmie i w radzie państwa. To téż Niemcy mieli zawsze większość w prazkiéj Izbie handlowéj od 1861 r. aż do lipca 1884. Większość niemiecką osiągano w ten sposób, że po pierwsze ordynacya wyborcza przyznawała wielkiemu handlowi i wielkiemu przemysłowi, zostającym do dziś dnia po większéj części w rękach niemieckich, nie proporcyonalnie znaczną liczbę przedstawicieli w Izbie handlowo-przemysłowéj, powtóre że wszyscy żydzi głosowali z Niemcami.

Dzisiejszy rząd austryacki (ministeryum Taafego), który zaczyna być już nieprzyjemnym partyi niemiecko-narodowéj w parlamentarnych ciałach reprezentacyjnych, dał nareszcie i prazkiéj Izbie handlowéj z własnéj inicyatywy nową ordynacyą wyborczą, która bądź co bądź więcéj odpowiada danym stosunkom aniżeli dawniejsza. W okręgu wyborczym prazkiéj Izby handlowéj mieszka według urzędowego spisu ludności z 1880 roku, 95% Czechów i 5% Niemców; wszystkie miasta, z wyjątkiem Lancskorony są czeskie. Kilka cyfr okaże najlepiéj różnicę między dawną i nową ordynacyą wyborczą.

Dawna ord. wyborcza.

Wielki przemysł	304	wyborców
Handel . . .	1204	"
Górnictwo . .	47	"
Rzemiosła . .	10831	"
Razem	12.446	

Nowa ordynacya wyborcza,

Sekcya handlowa	*Praga.*	*Prowincya.*	*Razem*
Ia. Wielki handel	148	17	165
Ib. Średni handel	1142	1110	2252
Ic. Mały handel	1498	4241	5730
Sekcya przemysłowa			
IIa. Wielki przem. rol.	25	162	187
IIb. Ogólny przemysł	36	103	139
IIc. Górnictwo	—	54	54
IId. Drobny przemysł	274	408	682
IIe. Drobny proceder	2714	6004	8718
Razem	5228	12099	17927

Rezultat nowych wyborów w m. lipcu 1884 roku.

Korporacye wyborcze.	Liczba wyborców.	Podane głosy.	Czeskie.	Niemieckie.
Ia.	165	146	42	104
IIb.	2252	2014	1456	558
Ic.	5730	4839	4439	—
IIa.	187	171	133	38
IIb.	139	114	35	79
IIc.	54	45	35	10
IId.	682	544	469	75
IIe.	8718	6582	6514	—
	17927	14455	13123	864

Każdy bezstronny sędzia widząc tu cyfrę 13.123 głosów czeskich obok 864 niemieckich musi mimowolnie zadać pytanie: Jakim sposobem było przedtem możliwém osiągnąć niemiecką większość w prazkiéj Izbie handlowéj?

Wspominałem już że dawniéj żydzi głosowali z Niemcami; teraz winienem dodać, że się ten stosunek odmienił. Żydzi, nie wszyscy wprawdzie głosowali z nami przy nowych wyborach członków Izby handlowéj, ale też wielu nie głosowało z Niemcami lecz wstrzymali się zupełnie od wyborów. Jeden z wielkich przemysłowców i wielkich właścicieli w Czechach, powiedział na ostatniém posiedzeniu rady państwa w Wiedniu d-rowi Riegorowi następujące słowa o żydach w Czechach: „Z mojego osobistego stanowiska (należy do zjednoczonéj lewicy rady państwa) może to być dla mnie nieprzyjemném, ale tak jest, że za kilka lat wszyscy żydzi w królestwie czeskiem z Czechami będą głosować.“ Nowe wybory do prazkiéj Izby handlowéj możnaby uważać za początek tego zwrotu. Miasta Mlada, Bolesław i Kolin są miejscowościami gdzie żydów najwięcéj się znajduje; w obu miastach żywioł niemiecki był rzec można tylko przez żydów reprezentowany. O tych miastach można obecnie powiedzieć, że w nich prawie niema wyraźnéj partyi niemieckiéj; żydzi już do nas przystali i możnaby ich prawie do Czechów zaliczać. W Pradze bogaci żydzi tworzą zawsze potężną podporę partyi niemieckiéj, a żydowskie pieniądze odgrywają dotąd główną rolę we wszystkich sprawach niemieckich gdzie pieniądz jest głównym nerwem: naprzykład przy utrzymaniu „niemieckiego domu,“ czyli kasyna niemieckiego, wielkiego gmachu na Grabenie, który dawniéj należał do żyda i za specyalnie żydowskie pieniądze od niego został odkupiony na lokal dla stowarzyszenia niemieckiego; daléj przy budowie nowoprojektowanego teatru niemieckiego, przy budowie sali gimnastycznéj niemieckiéj i w innych tym podobnych interesach. Gdyby bogaci

żydzi prazcy inaczéj się namyślili i w sporze między stronnictwami narodowemi przyjęli choćby tylko stanowisko neutralne, w takim razie byłoby źle z niemiecką partyą w Pradze, bo brakowałoby im niezbędnego *nervus rerum*. I tu zwrot jest tylko kwestyą czasu, a jeżeli nie uda się niemieckiéj zjednoczonéj lewicy obalić ministeryum Taafego, wtedy ten zwrot nastąpiłby również między prazkiém bogatém żydowstwem; zbyt już silnie na pierwszy plan występujące anti-austryackie zachcianki krańcowéj frakcyi niemiecko-narodowéj dostarczają ku temu gotową sposobność. Żydzi zostaną austryakami, choćby ze względu na wiszący w powietrzu w państwie niemieckiém anti-semityzm, który też w Wiedniu uprawiany jest jedynie przez stronnictwo niemiecko-narodowe Schönerera. W obozie narodowym czeskim byliby żydzi zupełnie zabezpieczeni od antisemityzmu.

Z przytoczonych powyżéj faktów czytelnik łatwo wywnioskuje że czesko-słowiańska sprawa narodowa w Czechach, znajduje się w stanie pocieszającego rozkwitu i byłoby tylko pod tym względem do życzenia, żeby wewnętrzna rosterka w łonie czeskiego narodowego stronnictwa ustąpiła równie pożądanéj i potrzebnéj jedności. Że takie rozdwojenie w naszym obozie narodowym istnieje, temu nikt przeczyć nie może, jak również nikt nie zechce twierdzić, że podobne niesnaski przynoszą pożytek sprawie narodowéj. Czy przy spokojném i przedmiotowém rozważeniu całego stanu rzeczy możnaby te rosterki usunąć,—jestto kwestya któraby poważnie zająć powinna każdego szczerego patryotę czeskiego. Nie potrzebuję wyraźniéj nadmieniać, że mowa tu o narodowych frakcyach, o tak zwanych „Staroczechach“ i „Młodoczechach.“ Młodoczesi nazywają się sami z upodobaniem „stronnictwem wolnomyślném“ i chętnie téż Staroczechów charakteryzują „jako stronnictwo zachowawcze,“ przy czém niekiedy używają się wyrażenia „klerykalny,“ „feudalny“ a przy pociskach grubego kalibru „reakcyjny.“ Według poglądu wolnomyślnych Czechów, „klerykalnymi są „Staroczechy“ dla tego, że nie uważają za dobre występować ustawicznie przeciwko naszemu duchowieństwu narodowemu i poniżać w oczach ludu ten kler, który przy narodowém rozbudzaniu ludu czeskiego, odegrał tak wybitną i pełną zasług rolę, który i teraz w naszych zapasach narodowych stoi po stronie ludu jako wierny jego sprzymierzeniec; dla tego że jestto duchowieństwo katolickie, a „Staroczechy“ nie mogą widzieć w nowożytnéj niereligijności, wyraźniéj mówiąc w nowożytnym ateizmie zbawienia ludu czeskiego; nazwę „feudalnych“ otrzymali Staroczechy od swoich „wolnomyślnych“ współziomków dla tego, że nie są bezwarunkowemi przeciwnikami szlachty, ale przeciwnie uważają za

konieczne dla interesów narodu czeskiego o ile można łączyć szlachtę czeską z życiem narodowém ludu czeskiego i w tym przyjaznym sojuszu ze szlachtą czeską, popierać daléj sprawę narodową ludu; wreszcie od czasu do czasu dostaje się Staroczechom od młodych przymiotnik „reakcyjni," dla tego że Staroczechy chętniéj idą z rządem niż przeciw niemu, ponieważ opozycyi przeciwko rządowi nie uważają za dobrą ani godną pochwały i w rozsądném raczéj umiarkowaniu przyswajają sobie jedne po drugich narodowe zdobycze, aniżeliby ciągłém krańcowém *aut-aut* mieli ściągnąć na siebię opinią uporu husyckiego.

Młodoczechy lubią przedstawiać hussytyzm jako właściwą cnotę narodową Czechów i na nim opierają głównie prawo nazwania się „wolnomyślnymi"; w husytyzmie widzą naturalnie demokratyczne usposobienie w stosunku do szlachty, stanowcze przeciwieństwo z Niemcami i radykalną opozycyą przeciwko rządowi austryackiemu. Staroczechy są znów zdania, że przedewszystkiém należy oddzielić Husa od husytyzmu, tak jak przy ocenianiu wielkiéj rewolucyi francuzkiéj oddzielić trzeba zasady 1789 r. o derroryzującego motłochu w 1793 r., że zatém można pozostając Czechem szanować Husa i jego naukę, podobnie jak wszyscy francuzi szanują zasady 1789 r., ale jednocześnie uważać rewolucyjne nadużycia Husytów, to jest właściwy ów husytyzm za nieszczęście dla Czech, tak jak każdy rozsądny francuz uważać będzie rewolucyjne okrucieństwa 1793 za klęskę dla Francyi. Przyjdzie taki czas, rzekłbym prawie że już nadszedł, kiedy historyk czeski wypowie otwarcie i bez obawy, że wybryki husytyzmu były właściwą przyczyną duchowego i materyalnego upadku narodu czeskiego, który bez tego husytyzmu byłby już w przeszłém stuleciu jednym z pierwszych europejskich ludów, bo w takim razie bitwa pod Białą Górą nie zostałaby stoczoną. Co się tycze ogólnie dziś rozpowszechnionego zdania wykształconych Francuzów o wielkiéj rewolucyi, to ograniczę się tu na wzmiance, że nawet republikański minister oświaty, Juliusz Ferry, odezwał się 11 lipca 1882 we francuzkiéj Izbie deputowanych, w te słowa:

„Prześladowanie duchowieństwa zgubiło rewolucyą francuzką."

Młodoczechy będą więc musieli zmienić swoje poglądy na husytyzm i na jego praktyczne zastosowanie w naszych czasach. Agitacya przeciwko klerowi katolickiemu jest dziś bez żadnego pożytku dla narodu czeskiego; równie przeciwném interesowi narodu jest występowanie przeciwko szlachcie, która życzy sobie połączyć się z ludem czeskim; niepodobna także myśléć o wypędzeniu Niemców z Czech i byłoby szaleństwem gdyby Czechy chcieli powstać przeciwko panującéj dynastyi. Jeżeli zaś to wszystko usuniemy, cóż po-

zostanie z husytyzmu Młodoczechów? chyba tylko religijny fanatyzm Husytów? Ale sądzę że religijnego fanatyzmu nikt nie będzie szukał u Młodoczechów i oni téż sami nie będą go zapewne uważać za charakterystyczny przymiot swego stronnictwa.

Poprzednicy naszych dzisiejszych Młodoczechów dosyć szkody zrządzili w 1848, przedsięwziąwszy publiczną agitacyą o wypędzenie Niemców z Pragi i z Czech. Wtedy już następstwa takiego narodowego radykalizmu nie były dla nas zbyt przyjemne. Dziś, obok Austryi stoi potężne państwo niemieckie; najlżejsze więc ślady podobnych ultranarodowych zachcianek miałyby najfatalniejszą doniosłość. Nawet ulubione „nic po niemiecku“ naszych wolnomyślnych, nie jest w obec więcéj uzasadnionego „nic po czesku“ naszych Niemców, żadnym dowodem przedmiotowego ocenienia stanu rzeczy. Jeżeli Niemcy oświadczają przy każdéj sposobności, że uznają za niepotrzebne, za niegodne swéj narodowéj wyższości, uczyć się języka czeskiego, to mają za sobą bezpośrednie sąsiedztwo wielkiego niemieckiego cesarstwa i rząd centralny państwa austryackiego; przeciwko sobie mają, pożądane w rezultacie dobre porozumienie z czeskiemi ich współziomkami i bądź co bądź przeprowadzane coraz szerzéj w Czechach równouprawnienie obu narodowości w szkole, urzędzie i w życiu publiczném. Ale gdybyśmy Czechowie powiedzieć chcieli: „nie będziemy uczyć się po niemiecku,“ to, krótko mówiąc za sobą nie mamy nic a przeciwko sobie wszystko, bo takiém postępowaniem działalibyśmy sami przeciwko temu, co wskazujemy jako cel naszych politycznych dążeń, mianowicie przeciwko zasadzie narodowego równouprawnienia. Niemcy wypowiadają otwarcie, że nie chcą równouprawnienia Czechów i Niemców, więc mogą powiedzieć że nie chcą uczyć się po czesku. My Czechowie głosimy bez ustanku że niczego goręcéj nie pragniemy, jak narodowego równouprawnienia z Niemcami; to téż my nie możemy powiedzieć: „nie będziemy uczyć się po niemiecku, bo równouprawnienie narodowe jest niemożliwe bez znajomości obu języków krajowych. Jeżeli więc dr. Rieger, przywódca Staroczechów mówi że ukształcony Czech powinien umieć po niemiecku, to mówi tylko prawdę, a jeżeli następnie przywódca krańcowych Młodoczechów dr. med. Edward Grégr ogłasza przeciwko d-rwi Riegorowi broszurę p. t. „Osudné slovo“ (Fatalne słowo) i dowodzi w niéj, że prawdziwy Czech nie powinien rozumiéć ani słowa po niemiecku, to podobną niedorzeczność tém tylko można objaśnić że dr. Gregr, jako Młodoczech, czuje się zawsze w obowiązku powiedzieć coś przeciwnego temu co mówi dr. Rieger; bo gdyby dr. Rieger był tak nielogicznym, żeby powiedział, że żaden Czech nie powinien uczyć się po niemiecku i że prawdziwe czeskie, narodowe

usposobienie zamanifestuje się najlepiéj przez zupełną nieznajomość języka niemieckiego, w takim razie jego przeciwnik dr. Gregr, dowiódłby mu jak dwa a dwa cztery, że interes Czechów koniecznie wymaga, żeby się dobrze po niemiecku wyuczyli, bowiem w takim tylko razie, w kraju gdzie znajomość obu języków jest tak nieodbicie w praktyczném życiu potrzebna, będą mogli zająć każde stanowisko i tym sposobem zdobędą wyraźną przewagę nad Niemcami, którzy to uważają za uchybienie swojéj godności.

Dr. Edward Gregr inaczéj bierze rzeczy: pisze w Czechach piorunującą broszurę przeciwko d-rowi Riegerowi i potępia znajomość niemieckiego języka jako coś antynarodowego; następnie udaje się do Wiednia w charakterze posła do Rady państwa i tam ma mowę w języku niemieckim, tak poprawnym i płynnym że rodowity Niemiec nie mógłby lepiéj przemawiać. Możnaby i do niego wystosować pytanie jako odpowiedź na jego broszurę: Czy życzyłby pan sobie nie umiéć zgoła po niemiecku?—i prawdopodobnie dr. Gregr miałby kłopot z odpowiedzią na to pytanie.

Sądzę więc że Młodoczechy muszą zmienić swoje zdania, nie tyle może rzeczywiście wyznawane ile manifestowane, co do potrzeby znajomości języka niemieckiego.

Jeżeli nasi Młodoczechy w tak drażliwéj sprawie językowéj zajmą to samo stanowisko jak nasi nieprzejednani Niemcy, to należy im powiedziéć: *Si duo faciunt idem, non est idem*; jeżeli znowu przez swoje „nic po niemiecku“ nie oparte na istniejących stosunkach, dadzą Niemcom rzeczywistą podstawę do twierdzenia, ciągle zresztą powtarzanego, że właściwie mamy zamiar *zczeszczyć* całe królestwo czeskie, to spełniają oczywiście coś takiego, co zgoła nie może sprzyjać pomyślnemu rozwojowi naszéj sprawy. Walczymy z zupełnem prawem przeciwko dążeniom germanizacyjnym; ale czy Niemcy nie mają tego samego, jeżeli nie większego prawa, nie pozwolić się zczeszczyć? Możnaby zachcianki w tym kierunku naszych Młodoczechów nazwać dziecinnemi, gdyby istotnie nie miały tak fatalnéj doniosłości. Do jednego możemy rozsądnie i z zupełnem prawem dążyć:—do rzeczywistego, we wszystkich stosunkach życia publicznego uczciwie, otwarcie uznanego i przeprowadzonego równouprawnienia narodowego. Ale jakże mamy w téj kwestyi dójść z Niemcami do odpowiedniego porozumienia, jeżeli będą mogli ciągle nam powtarzać: nie myślicie o tém uczciwie, wasze domaganie się równouprawnienia narodowego jest tylko obłudą; chcecie właściwie tego samego co Młodoczechy, chcecie nas zczeszczyć, z tą tylko różnicą, że Młodoczechy otwarcie to wypowiadają, co wy Staroczechy mądrze przemilczacie.

Młodoczechy więc, ze swoim tak zwanym „husytyzmem“ są istotną przeszkodą na drodze do tego co osiągnąć pragniemy i można powiedziéć, że ze swoim radykalizmem narodowym pracują bezustannie na korzyść naszych przeciwników.

Niemogę, niestety, wyrazić nadziei, że ta rozterka w naszym obozie narodowym wkrótce się zakończy, bo opiera się na charakterystycznym rysie, naszych tak zwanych nowych choć nie lepszych czasów, mianowicie na lekceważeniu powagi, w któréin szczególniéj dzisiejsza nasza młodzież upatruje właściwą wolnomyślność a nadto, na jednym jeszcze, wszędzie przejawiającym się symptomacie, zwykłym w okresie przejściowym, kiedy wszystkie rwące się umysły miotane są gorączkowém podnieceniem, na dążeniu w którém „*Ote-toi de là, que je m'y mette*, zawsze główną rolę odgrywa. U nas również podobne osobiste motywa odgrywają bardzo smutną rolę, w którą bliżéj tu wchodzić nie chcę: *nomina sunt odiosa.*

Tacit: *peccatur intra muros et extra* i jedynie silna wiara w słuszność naszéj sprawy może nam w każdéj walce zachować nieodzowną stateczność umysłu. A walka trwa bez przerwy: „Matice szkolska“ stanęła przeciwko „Niemieckiemu stowarzyszeniu szkolnemu,“ „Pošumavska jednota“ przeciwko „Niemieckiemu związkowi Lasu Czeskiego,“ a ponad walczącemi stronnictwami narodowemi stoi ministeryum Taffego, ze swoją polityką pojednawczą, którą naturalnie zwalczają Niemcy a potępiają Młodoczechy, któréj wygłoszona zasada: „*że Austrya nie ma być ani niemiecką ani czeską, lecz austryacką,*“ jest jedynėm możliwém wyjściem z odmętu walk narodowych na drogę trwałego pokoju i zmocnienia konstytucyjnéj Austryi, jeżeli ta zasada istotnie ma oznaczać uczciwie pojęte i uczciwie przeprowadzone równouprawnienie narodowe.

Dr. Gabler.

KONGRES ANTROPOLOGICZNY
WE WROCŁAWIU.

Towarzystwo Niemieckie Antropologiczne obrało Wrocław na miejsce swego XV zjazdu i rozesłało zaproszenia na dnie 4—7 sierpnia r. b. Skutek wyraził się w poważnéj cyfrze 395 uczestników, objętych „listą obecności“. Największą skwapliwość okazali sami wrocławianie, stając w komplecie 262 osób, wszelkich powołań, od naczelnego prezydenta prowincyi, jenerałów, półkowników, aż do fabrykantów i kupców; znalazły się nawet dwie reprezentantki płci pięknéj (pani Beyersdorff kupcowa i panna Klingner), które przypięły sobie pąsowo-białe kokardki i dostąpiły za to specyalnie dla nich wymyślonego tytułu: *Anthropologinnen.* Nie śmiemy zresztą orzekać, czy ich zasługi i kwalifikacye naukowe dorównywają uznaniu, jakie zdobyła sobie trzecia uczęstniczka zjazdu, panna Mestdorf, piastująca urząd konserwatora muzeum archeologicznego w Kiel. Niewątpliwą jest przynajmniéj ich sympatya dla prac towarzystwa. Bez kokardek, w charakterze gości jednorazowych, ukazywało się po kilkanaście i kilkadziesiąt dam na ucztach, wycieczkach, posiedzeniach, szczególnie na odczycie Schliemann'a.

Gdybyśmy potrącili wrocławian i szlązaków, oraz amatorów rozmaitego zawodu: pokazałoby się, że liczba uczonych specyalistów z dalszych prowincyj lub krajów niemieckich nie była imponującą, zwłaszcza w obec 24 ch cudzoziemców; znajdowało się bowiem 4 ch uczonych z Wiednia, 1 profesor z Brukseli (niemiec Albrecht), 2-ch z Budy-Peszt'u (v. Bärenbach i utalentowany Török), 1 morawianin z Ołomuńca (Wanbel), 1 profesor z Dorpatu (Braun), 1 z Kazania (Tołmaczew) i 8 polaków, prócz 6-ciu miejscowych (pp. Nehringa, Erzepki i Kozińskiego z Wrocławia, hr. Kwileckiego-Węgierskiego, Kazimierza Szulca i hr. Sierakowskiego z Poznańskiego i Prus Za-

chodnich). Dwaj ostatni reprezentowali towarzystwa naukowe Poznańskie i Toruńskie; nawet akademia Krakowska wysłała swego delegata, S. N. Sadowskiego, zaszczytnie znanego Niemcom ze znakomitéj monografii, o drogach handlowych, w dorzeczach Odry, Wisły i Dniepru. Bywali téż na posiedzeniach studenci Polacy, z uniwersytetu Wrocławskiego. A nie tylko liczbą osób, ale też wartością wystawionych przedmiotów archeologicznych, okazali ziomkowie nasi pochopność do uczestniczenia w obszernéj, jak przewidywano, dyskusyi naukowéj, Poznań, akademia Krakowska, prof. Józef Przyborowski z Warszawy i hr. Kwilecki z Wróblewa, umieścili w muzeum liczne i w wysokim stopniu interesujące egzemplarze ze swych zbiorów: kamienne, gliniane (1), bronzowe.

Czy istniała jakaś pobudka do okazania téj skwapliwości? Tak. Rozumiano, że na ziemi Piastów, w mieście, przechowującém pamiątki po Piotrze Właście-Duninie, fundatorze 70 kościołów, towarzyszu Bolesława Krzywoustego, należy stawić przed oczy uczonym niemieckim dawne dzieje i ślady życia dawnych posiadaczy téj krainy. O co tu chodzi, domyślali się niewątpliwie kierownicy zjazdu, który, według ich wyznania, przeistoczył się na kongres naukowy, skutkiem licznego stosunkowo udziału obcych przybyszów.

W obszernéj sali koncertowéj (Concerthaus), dnia 4 sierpnia, o godzinie $9^1/_2$, zagaił pierwsze posiedzenie prezes, radca tajny, dr. *Virchow*, obszerną i świetnie wypowiedzianą mową. Zaznaczywszy, iż antropologia nie została dotychczas przyjętą w poczet nauk, uznanych przez uniwersytety i państwo; iż nie uregulowała jeszcze swoich stosunków z historykami i filologami; iż pozostaje tymczasowo „nauką rydla“, wedle wyrażenia Schliemann'a: oświadczył, iż chce stać się i stanie się nauką. Zjazdy, kongresy, mają na celu nasamprzód propagandę, werbunek coraz większéj liczby współpracowników, pozyskanie świeżych sił, na zastąpienie starzejących się, lub schodzących ze świata weteranów. Następnie, usprawiedliwiając wybór Wrocławia na miejsce obrad, poruszył delikatnie stosunki historyczne prowincyi Szląskiéj „stajemy tu, mówił, na granicy naszéj ojczyzny niemieckiéj, na ziemi, która niegdyś była odjęta (abgenommen) Słowianom, ale śmiem oświadczyć, stajemy z wszelkiemi przyjaznemi uczuciami dla naszych sąsiadów słowiańskich i miło mi jest stwierdzić tu zaraz, iż nie mała liczba naszych wschodnich i południowych sąsiadów przybyla na zaproszenie, któreśmy do nich

(1) Hr. Kwilecki wystawił pomiędzy innemi przedmiotami urnę z wyobrażeniem ptaka i pająka, wyrytém w glinie wyraźnemi kresami; jestto pierwszy w tym rodzaju objaw poczucia artystycznego w garncarzu.

skierowali. Właśnie na takim gruncie, jak tutejszy, możliwém jest usunięcie w nauce tego przeciwieństwa, jakiego nie możemy w zupełności uniknąć w życiu politycznem, w walce o byt. Wolno mi jednak rzec, iż, według mego zdania, nauka nasza toruje sobie drogę wśród zupełnéj bezstronności. Jesteśmy w każdéj chwili gotowi do dyskusyi; poddamy chętnie pod ponowne badanie takie nawet punkty, które sami za załatwione uznajemy; lecz przedewszystkiém cieszymy się, że się nam udało usunąć nieco sprzeczności w téj dziedzinie, która jest tak rozległą, że na niéj zapadają w nicość wszelkie kwestye narodowe, zajmujące świat nasz obecnie. Mamy do czynienia z człowiekiem bezimiennym. Przyznaję, że właśnie tu na wschodzie stanie przed nami pytanie: czy to, lub owo jest germańskiém, słowiańskiém, lub celtyckiém? I musimy sobie zawczasu wyjaśnić: czy chcemy posuwać naukę naszą tylko na podstawie pewnych przyjętych mniemań teoretycznych, czy téż z tą niezawisłością, jaka przystoi naturaliście w obec nastręczającego się jemu materyału faktycznego?" Ze swéj strony mówca zawarował bezstronność nawet w dwóch zasadniczych teoryach: dawniejszéj, ugruntowanéj przez filologów niemieckich, tak zwanéj indo-germańskiéj, głoszącéj, że wszystkie ludy aryjskie przybyły z Azyi, i nowszéj, twierdzącéj, że Germanowie są autochtonami, że na téj ziemi się zrodzili i zawsze mieszkali. Wyznaje niewiadomość swoję co do czasu, kiedy się Germanowie ukazali; stwierdza, że nie znalazł pomiędzy zabytkami archeologicznemi nic, coby rzeczywiście germańskiém być miało. Znajdują się w wykopaliskach przedmioty importowane z dalekich krajów lecz i te nie dadzą się zdeterminować co do pochodzenia: czy z Italii, czy ze wschodu? Możemy tylko powiedzieć: to jest wzór południowy, lecz nie możemy nazwać germańskim, słowiańskim lub celtyckim. Nie wynaleziono dotąd cech słowiańskich nawet w wykopaliskach największego wału Lubeki, w horodyszczach Arkony, Gartz'u, Meklemburga. Nie wiemy, czy Słowianie z roku 1000 ery chrześcijańskiéj mieli te same cechy, co dzisiaj. Zagadkę dla nas stanowią cmentarzyska grobowe i urnowe. Z pewnością twierdzić możemy tylko, że do Germanów należały tak zwane groby merowingskie rzędowe (Reihengräberfelder) we Francyi, Belgii i północnéj Szwajcaryi w siedzibach Allemanów i Franków. Ale na Szlązku i daléj aż po Salę znajdują się inne cmentarzyska z kółkami, przymocowanemi na skórzanych opaskach do głowy lub szyi, z przedmiotami wschodniego czyli „arabskiego" importu od Kaukazu i Wołgi, z monetami Sassanidów, które zatrzymują się właśnie na granicach kultury słowiańskiéj, ale téż ukazują się i w Skandynawii, i w Anglii, i w Szkocyi—zapewne skutkiem stosunków handlowych.

Może obecnie dowiemy się od polskich i słowiańskich kolegów, jakie to są cechy słowiańskości, bo wykopaliska słowiańskie są jeszcze bardzo niedawnéj daty, iżbyśmy je znać mogli. Trudności mnożą się gdy zauważymy iż po epoce grzebania nastąpiła epoka palenia ciał (wieki V, VI) i na cmentarzyskach znajdujemy, zamiast skieletów, tylko urny z popiołami. Antropolog traci w téj epoce główną podstawę swych badań: czaszkę. Jakże tu dociec, do jakiego ludu należą owe popioły? I dla czegóżby cała Germania miała zaniechać dawnego, uświęconego religią, niewątpliwie najświętszego obyczaju? Chyba przypuścić należy najście jakiegoś innego ludu, przymus jakiejś władzy, przemocy. Mówca nie chce zresztą stawiać teoryi, zwraca tylko uwagę na fakt. W końcu, uczciwszy wspomnieniem zmarłych uczonych: Lepsius'a, Nillsona, Hochstädtera, wzywa obecnych do powstania z miejsc na cześć zmarłego a zasłużonego archeologa wrocławskiego Göpperta i ogłasza otwarcie kongresu antropologicznego.

Żywym oklaskom całéj publiczności towarzyszy zadowolenie naszéj cudzoziemczéj gromady: zadawalniały nas tak wygłoszone zasady etyki naukowéj, jakotéż misterne zarysy snujących się w obecnéj chwili domysłów, wątpliwości, sprzeczności dokoła kolebki rodzaju ludzkiego. Sądziliśmy, że mowa prezesa stanie się programatem obrad kongresu.

Naczelny prezydent prowincyi szlązkiéj (Oberpräsident, Wirklicher Geheimer Rath) dr. von *Seydewitz*, stanąwszy na stopniach biura obok katedry, powitał kongres w imieniu rządu uprzejmemi i gładkiemi słowy. Podobne powitanie w imieniu miasta wygłosił nadburmistrz *Friedensburg*, zaś przewodniczący w komitecie miejscowym Towarzystwa Antropologicznego, radca sanitarny dr. *Grempler* w powitalnéj przemowie swojéj dotknął dziejów miasta Wrocławia, poczynając od X wieku (900—950 r.) gdy polacy ufortyfikowali swoję osadę na wyspie katedralnéj (Dominsel) ku obronie przeciwko najazdom czechów i udzielił obszerniejszych informacyj o bibliotece miejskiéj, muzeum, zbiorach monet, kopersztychów; z wdzięcznością wspomniał o nadesłanych na wystawę przedhistoryczną wykopaliskach z dorzecza Odry i Wisły.

Po tych powitaniach prof. *Ranke* z Monachium, sekretarz jeneralny Towarzystwa wprowadził słuchaczy we właściwą sferę zajęć kongresu, czyniąc raport naukowy czyli raczéj sprawozdanie krytyczne o nowych dziełach, jakich dostarczyła literatura niemiecka w dziedzinie badań przedhistorycznych. Doniósł tedy o świeżo wynalezionéj stacyi w Lonethal przez Oskara Fraas'a (1) oraz o mono-

---

(1) Der Bochstein im Lonethal, eine neue prähistorische Station in Schwaben.

grafii Albrechta Penck p. t. Człowiek i Epoka Lodowa (1), zaznaczając, iż pewnych śladów istnienia człowieka w epoce lodowéj nie znaleziono dotychczas. Drugą grupę prac stanowią badania nad końcem epoki kamiennéj w Europie, mianowicie 4 rozprawy R. Virchov'a (2) z których jedna zawiera odkrycia antimonu w cmentarzyskach kaukazkich, jako metalu używanego do ozdób i pracę pana Eisel-Gera o pagórkach Nickelsdorf'u pod Krosnem. Epokę bronzu przedstawił wyczerpująco Sophus Müller (3); wielkich pochwał dostąpiło ostatnie dzieło Henryka Schliemann'a o Troi (4), wreszcie rozszerzył się sprawozdawca nad nową teoryą asyryjologa Eug. Meier'a i Fritz'a Hommel (5), która wynajduje pierwotne zaczątki cywilizacyi nie tylko semickiéj, ale téż całéj Śródziemno-morskiéj u ludów ałtajsko-węgierskich, syberyjskich. Od siebie zresztą prof. Ranke oświadcza, iż nie jest wiadomém, do jakiéj rasy należeli pierwotni twórcy cywilizacyi azyatyckiéj (Egipcyanie i Sumero-Akkadowie); nie wątpi jednak, iż wyższe szczeble cywilizacyi, iż rozwój ducha który obecnie panuje nad ziemią i wartość życiu ludzkiemu nadaje,—to zdobycz plemion indo-germańskich. Zakończeniu takiemu przyklasnęła publiczność niemiecka, nie bacząc na niestosowność terminu „indo-germański“ zamiast „indo-europejski“ lub „aryjski,“ jakiego używał prezes Virchow zgodnie ze zwyczajem już ustalonym we Francyi, Anglii, Słowiańszczyźnie i ze względami grzeczności dla obecnych cudzoziemców,

Sprawozdanie podskarbiego o obrocie funduszów Towarzystwa i ogłoszenie porządku dziennego zakończyło tę pierwszą 3-godzinną sesyą kongresu.

Na 2-m posiedzeniu (popołudniowém) udzielił dr. Virchow objaśnień co do przedmiotów złotych, które wyrobił jubiler berliński, Telge, jako dokładną kopią oryginałów, wykopanych, 1) na wyspie Rugii (pod Hiddens=Oe), 2) pod Vettersfeld i 3) w Karpatach. Te ostatnie należą do muzeum w Bukareszcie, lecz uległy smutnemu losowi (eine moderne Einwirkung, jak się wyraził ironicznie mówca).

---

(1) Mensch und Eiszeit.

(2) 1) Ueber die Ausgänge der Steinzelt in Norddeutschland u. der angrenzenden Gebieten; 2) Gräberfunde der jungsten neolithischen Zeit aus Cujavien, der Provinzen Posen u. Sachsen; 3) Das neolithische Gräberfeld in Targermünde; 4) o podróży na kaukaz tytuł nie był przytoczony.

(3) Ursprung u. erste Entwickelung der europäischen Bronzecultur, beleuchtet durch die ältesten Bronzefunde im südlichen Europa.

(4) Troja, Ergebnisse meiner neuesten Ausgrabungen.

(5) Die semitischen Völker und Sprachen I Bd, I Buch; die vorsemitischen Culturen in Aegypten u. Babylon, oraz Die Sumero-Akkader ein altaisches Volk.

Skradziono je raz, odzyskano, ale już poprzecinane z uszkodzeniem run na pierścieniu; potém skradziono po raz drugi i wtedy doznały jeszcze dotkliwszych uszkodzeń. Pod wielu względami te przedmioty są podobne do wyrobów greckich z nad brzegów morza Czarnego. Do kogo należéć mogły? niewiadomo. Wszakże dr. Virchow, rzucając okiem na wschodnio-europejską równinę, nasuwa domysł, że do ludów germańskich, powołał się bowiem sympatycznie na zdanie jednego z uczonych niemieckich (zdaje się, Heidemann'a) że tak zwane baby (babuszki), kamienne bałwany nader liczne w południowéj Rosyi i Słowiańszczyźnie środkowéj pochodzą od Gotów, że sięgają tak daleko, jak siedziby Gotów. Wspomniał téż o sporządzonéj przez Mehlis'a archeologicznéj mapie Palatynatu i zachęcał do opracowania podobnych map w innych miejscowościach.

Prof. *Schaafhausen* z Bonn, tajny radca, członek zarządu Towarzystwa, zaznaczywszy zadawalniające postępy w opracowaniu katalogów antropologicznych (obecnie brakuje tylko 5-u z pomniejszych uniwersytetów niemieckich), mówił o kraniometryi i antropometryi. Dotąd niemasz jeszcze metody jednéj powszechnie uznanéj do mierzenia czaszek ludzkich. Mówca zaleca oznaczenie trzech płaszczyzn: pozioméj, pionowéj i ukośnéj, a nadto domaga się pomiarów na żywym człowieku dla dokładniejszego oznaczenia cech rasowych. Sam dokonywał pomiarów na dzieciach swoich od 1-go do 30-go roku życia i wymienił poczynione na takiéj podstawie spostrzeżenia. Pomiary dokonane na mieszkańcach Azyi i Afryki dostarczyły mu wniosków co do organizacyi ras niższych, jakoto: wązkość czaszki, rozszerzenie nosa u podstawy, prognatyzm, podniesienie ucha, pewne właściwości ręki, długość wielkiego palca u nogi itp. Z opozycyą wystąpił prof. *Albrecht* z Brukselli, dowodził mianowicie: że wielki palec ma niezwykłą długość i szerszą odległość od innych palców u Greków, wszakże nie skutkiem niższości rasowéj plemienia helleńskiego, lecz skutkiem używania rzemieni do obuwia; żądał zwracania pilniejszéj uwagi na różnice płci, objawiające się szczególnie w rozmiarach miednicy; wreszcie twierdził, że kobiety różnią się od mężczyzn muskułem *trochanter tertius*—czemu Schaafhausen zaprzecza. Prof. Ranke dodaje kilka objaśnień do sporządzonéj przez siebie czaszki metalowéj, która ma służyć za podstawę do międzynarodowego porozumienia w przedmiocie pomiarów kranijologicznych.

Profesor uniw. wrocławs. dr. Ferd. *Cohn* zainteresował słuchaczy wykładem swoim o przedhistorycznéj roślinności Szlązka. Pięknie określił usługi, jakie Botanika wyświadczyć może przy badaniu pierwocin cywilizacyi. Pomimo pozornéj krótkotrwałości roślina

może być niemniéj długowiecznym świadkiem ubiegłych wieków, jak narzędzia kamienne. Możliwém było przecie rozpoznać i określić rośliny, których przed 4.000 lat użyto na wieniec do przyozdobienia mumii Ramzesa W-go w Egipcie. Rośliny przedhistoryczne zostawały zawsze w związku z obrzędami religijnemi i pogrzebowemi, a nadto służyły za pożywienie. Gdybyśmy dowiedzieli się, gdzie jest pierwotna ojczyzna roślin niemieckich, moglibyśmy się wkrótce dowiedzieć, jaką drogą przyszły one do Niemiec porównywając je z roślinami okresu klasycznego, zestawiając ich nazwy w różnych językach, zbierając doniesienia podróżników o pojawianiu się tych roślin tu i owdzie w stanie dzikim lub w stanie uprawy, nareszcie przetrząsając wykopaliska. Mówca zachęcił młodego antropologa, studenta Buschan'a, aby zbadał i spólnie z nim zdeterminował rośliny, znajdujące się w zbiorach archeologicznych muzeum wrocławskiego. Z przeprowadzonych tym sposobem badań prof. Cohn osiągnął następne wnioski: w epoce przedhistorycznéj, która na Szlązku trwa do r. 1.000 tj. do czasu schrystyanizowania (mówca użył mniéj właściwego wyrazu: zgermanizowania) téj krainy, znajdują się szczątki bardzo nielicznych roślin; ziarna zbożowe świadczą o istnieniu rolnictwa, lecz są od dzisiejszych mniejsze i mniéj pożywne. Okazuje się to z wagi 10 ziaren:

żyta	przedhistorycznego	0.8	gramów,	dzisiejszego	1,22	gramów
grochu	"	0,45	"	"	2,9	"
konopi	"	0,1	"	"	0,19	"
siemienia lnianego	"	0,04	"	"	0,23	"

Opisawszy nową stacyą nawodną palową, odkrytą w r. 1875 przez Göpperta w samym Wrocławiu na wyspie katedralnéj (1), prof. Cohn nakreślił obraz życia przedhistorycznego. Prócz wymienionych wyżéj gatunków zboża znajduje się proso; mięsnego pożywienia dostarczały stada wołów i kóz, pasące się pod strażą psów; z łowów człowiek miewał sarny, łosie, dziki, bawoły; z konopi robiono sieci do łowienia ryb; umiano przyrządzać kasze; na deser służyły wiśnie, czereśnie, śliwki, orzechy; o napojach nie możemy żadnéj powziąć wiadomości, chyba domyślać się wolno że rozweselano serce miodem. Publiczność nagrodziła mówcę rzęsistemi oklaskami.

Dla antropologów, naturalistów i geografów, lecz nie dla historyków, mógł być zajmującym odczyt d-ra Schadenberg'a z Głogowy o rasach zamieszkujących wyspy Filipińskie. Prelegent wykładał własne spostrzeżenia, uzbierane w ciągu dwukrotnego kilkuletniego

(1) W kołach historyków stacya ta nie cieszy się jednak uznaniem.

pobytu w południowéj Azyi. Fotografie rozdawane między publiczność do obejrzenia, ilustrowały jego słowa. Zresztą nie zauważyliśmy wniosków ogólniejszéj natury i wyższego interesu naukowego. Mniemania o przeistoczeniu czaszek dolichocefalicznych na brachyafaliczne nie podzielił dr. Virchow. Na tém jego oświadczeniu zakończyło się o godzinie 4½ drugie posiedzenie.

Posiedzenie 3-cie, d. 5 sierpnia ściągnęło liczniejszą, niż zwykle publiczność, która zapełniła salę, a po części i galeryą. Mógłby Virchow winszować sobie powodzenia zapowiedzianéj propagandy, widząc pomiędzy łysemi głowami mnóstwo kapelusików damskich. Nie antropologia wszakże była tém great attraction, lecz osoba Schliemann'a, który miał mówić o swych poszukiwaniach w Tyrynsie. Powitano go téż hucznie przy wejściu na katedrę. Kilka fotografij i kolorowanych rysunków oraz plan rozkopanéj miejscowości unaoczniały wartość dobytku naukowego. Prelegent zebrał szczupłą wiązankę historycznych wskazówek z Pauzanijasza, Dyjodora, i mytologów o losach Tirynsu i postawił wniosek, iż pałac królewski wraz z akropolem był zburzony w 2-m tysiącoleciu przed Chr. (nie w 468 r. jak dotąd mniemano), a zatém cyklopiczne mury fortecy. z ogromnych kamieni wzniesione, w niektórych miejscach na 15 metrów grube, należą do epoki homerycznéj. Tu miało być rodzinne miejsce Heraklesa, którego mytyczne dzieje ukazują się téż w malowidłach ściennych. Opisując szczegółowo wszystkie odkryte budowle, S. wynajduje podobieństwo do spółczesnych gmachów Pergamu i Troi, szczególnie w suszonych na słońcu ceglach, które tworzyły górną warstwę murów fortyfikacyjnych. U stóp akropolu roztaczało się zapewne miasto. Wielką wagę przywiązuje S. do odkrycia malowideł ściennych (człowieka skaczącego w zgiętéj postawie na koniu, kobiet trzymających się za ręce zapewne w tańcu i kilka niewyraźnych fragmentów) wykonanych 5-u barwami, a pochodzących z epoki tak odległej, gdyż dotąd znano tylko malowidła pompejańskie. Kończąc oświadczył, iż za dostateczną dla siebie poczyta nagrodę jeśli szan. zgromadzenie uzna, iż odkrycia jego przyczynią sławy drogiéj ojczyźnie niemieckiej. Słowa te wywołały nową salwę oklasków, a dr. Virchow, jako prezydujący zapewnił Schliemann'a o wzrastającéj wciąż sympatyi społeczeństwa niemieckiego dla jego poszukiwań, wyraził ubolewanie, iż nie przybyła żona jego, wierna towarzyszka trudów; wreszcie wynurzył nadzieję, że nadal nie ustanie w pracy. Schliemann zapowiedział, iż badania swoje ma zamiar przenieść na wyspę Kretę.

Gdy ucichł szmer wychodzącego tłumu i w sali pozostało szczuplejsze grono miłośników archeologii lub antropologii, wstąpił na ka-

tedrę prof. von Török z Pesztu, żeby mówić o nowém wykopalisku pod Alpáv nad rz. Cissą odkrytém. Głos jego może zrządzić niemałe strapienie koryfeuszom dzisiejszéj antropologii niemieckiéj. Oto w rzeczonéın wykopalisku z epoki bronzowéj znalazły się czaszki całkiem różnych typów: długogłowa i okrągłogłowa, rzekomo frankońska i słowiańska. Co większa, znalezione tamże przedmioty wskazują na czasy przedhistoryczne, na IV, V lub VI wiek po Chr., aliści w ustach jednego z tychże skieletów znalazła się moneta (denar) króla Andrzeja Węgierskiego z połowy XI wieku! Zapytywany przez prof. Albrechta i Virchowa o czaszki magiarskie, p. Török odpowiedział, że powstrzymać się musi od sformułowania określonego sądu, ponieważ typ magiarski, skutkiem krzyżowania się z innymi ludami, jest wielce trudnym do określenia; zbliża się jednak najbardziéj do słowiańskiego. Dużo jeszcze trzeba zebrać materyału, zanim się można będzie o definicyą pokusić. Nazajutrz tenże prof. Török, wymowny i bardzo sympatyczny przedstawiciel naukowości węgierskiéj, okazał przyrządy własnego wynalazku (1), posługujące do ścisłego wymierzania czaszek. Prof. Virchow, który pokazywał też swój przyrząd pomiarowy, używany podczas podróży na Kaukaz, przyznał wysoką zaletę wynalazkowi węgierskiego kolegi.

Półgodzinna przerwa i załatwianie kwestyj administracyjnych Towarzystwa spowodowały nowy odpływ słuchaczy. Mowa d-ra Tischler'a, dyrektora muzeum królewieckiego o wykopaliskach kaukazkich, w szczególności o znajdowanych tam paciorkach szklannych i o technicznych sposobach wyrobu, była zbyt specyalną, żeby mogła zainteresować całe zgromadzenie. Wybiła już godzina 2-ga; czuło się powszechne znużenie gdy prezes udzielił głosu drowi Kazimierzowi Szulcowi z Poznania.

W niepomyślnéj przeto chwili rozpoczął delegat Towarzystwa Poznańskiego Naukowego rzecz swoję: „O pierwotnych mieszkańcach ziem pomiędzy Wisłą a Elbą leżących.“ Samo założenie, że mieszkańcami tymi byli Słowianie, sympatycznéın nie mogło być dla słuchaczy niemieckich, żywiących wcale inne przekonanie (2). Wreszcie prelegent napotykał jeszcze trudność w wysłowieniu, bo chociaż nazwisko jego brzmi z niemiecka, lecz w rodzie jego od trzech przynajmniéj pokoleń nikt nie znał i nie używał mowy niemieckiéj. Pomimo tak niepomyślnych warunków gorliwość o spra-

---

(1) Spheniodalgoniometer, Parallelgoniometer i Facialgoniometer.

(2) W rozdawanym przy wejściu na salę (d. 4 sierpnia) Zaproszeniu (Einladung) odczyt dra Szulca został nawet pominięty, chociaż zamieszczono go w zaproszeniu pierwotném, rozsyłaném w m. lipcu i na kartach uczestnictwa (Theilnehmer-Karte).

wę Słowiańszczyzny natchnęła go odwagą. Zaznaczywszy na wstępie, że palenie ciał nigdzie nie napotyka się tak powszechnie, jak w okolicach Baltyku, że u Słowian cmentarzyska mają kształt kolisty, u Germanów zaś znajdujemy groby rzędowe (Reihengräber), p. Szulc wyciągał z Jornandesa, Prokopa, Tacyta, Ptolemeusza, Wellejusa Peterkul'a, Pomponijusza Meli, Cezara, a nawet Pyteasza Marsylskiego wskazówki geograficzne, żeby udowodnić, że Słowianie mieszkali z dawien dawna na równinach wschodniéj Europy, a między Wisłą i Elbą (nawet Salą) zwani byli Lygiami czyli Lechami (Polakami) i Semnonami, którzy mylnie dzisiaj są zaliczani do rzeszy germańskich Swewów. Poparcie swych twierdzeń znajdował prelegent jeszcze u Pawła Dyjakona i w listach św. Bonifacyusza. Za daleko, zdaniem naszém posunął się, stawiając wątpliwe a nieużyteczne dla rozwijanego tematu twierdzenie, że wszyscy Germanowie przyszli ze Skandynawii. Nadmienić jednak winniśmy, że przy rozgraniczeniu Słowian od Germanów znalazł parę dowcipnych argumentów, jak np. 1) jeśli Germanowie sięgali do Wisły to groby i zabytki archeologiczne po obu brzegach Elby aż do Renu powinny być jednakowe: tymczasem są różne; 2) nazwa Baltyku pochodzi do wyrazu „baltas“ i oznacza morze białe; tymczasem niemcy nazwali je Ostsee, morzem wschodniém, więc mieszkali daléj ku zachodowi na dorzeczach morza Niemieckiego. Pozostawał jeszcze do wyłożenia przegląd zabytków archeologicznych, lecz prezydujący dr. Virchow przerwał prelegentowi ze względu na spóźnioną porę i przekroczenie 20-minutowego czasu, jaki był programatem na odczyty naukowe zastrzeżony. Lubo warunek ten nie był zachowywany przez kilku poprzednich mówców, przez samego prezesa i przez Schliemann'a (bo mówili po $1\frac{1}{2}$ godziny), p. Szulc bez protestacyi poprzestał na zapowiedzi, że rozprawa jego będzie wydrukowaną w Pamiętniku, i przystąpił do streszczenia twierdzeń swoich w postaci syllogizmu. Gdy, zwróciwszy się do prezesa, zakończył słowami: „A więc udowodniłem, że Semnonowie byli Słowianami“: ten odpowiedział przeczącém, dosadném słówkiem: „Schwerlich!“ Słuchacze uśmiechali się, okazywali zniecierpliwienie; słaby oklask wydał się nam zdawkową grzecznością; wielu jednak niemców winszowało, przedstawiało się p. Szulcowi tak po zejściu z katedry, jako téż nazajutrz. Gazety miejscowe nie podały szczegółowego sprawozdania, lecz zamieściły kilka pochlebnych dla prelegenta frazesów. Posiedzenie zaraz zamknięto (o godzinie $2^3/_4$).

Stosownie do zapisanego wyżéj oświadczenia w mowie inauguracyjnéj prezesa spodziewaliśmy się, że dyskusya nad rozprawką p. Szulca otwartą zostanie zaraz na początku 4-go posiedzenia (d. 6

sierpnia). Chciał w niéj wziąć udział p. J. N. Sadowski, który wywarłby niewątpliwie nader korzystne wrażenie, przedstawiając na zagodzenie sporu plan badań, przyjęty przez Akademię Krakowską. Ale dr. Virchow spóźnił się o całe dwie godziny; zastępca zaś jego, prof. Schaafhausen, zagaiwszy posiedzenie, udzielił głosu samemu sobie i mówił nadprogramowe rzeczy o diluwialnych brzegach Renu, o trzeciorzędowym człowieku itp. Potém p. Konrad Müller z Wrocławia zachęcał do wynalezienia grobu Alaryka w łożysku rzeki Busento, wskazując na przestrzeń 7 kilometrów pomiędzy Crati i ujściem rz. Arbicello (1). Potém p. Waldeier z Berlina, powołując się na dzieło swoje „O badaniu włosów człowieka“ zażądał obioru komisyi do prowadzenia takich badań (obrano téż zaraz wnioskodawcę, Virchowa, Fritsch'a i Ranke'go). Dopiero dr. Behla z Luckau (w Dolnych Łużycach) nawiasowo oświadczył niezgodność swoję z twierdzeniami p. Szulca, mówiąc „o miejscach ofiar narodowych Swewskich w kraju Semnonów.“ Zdaniem jego kwestye takie dadzą się rozstrzygnąć nie przez cytacye autorów, lecz przez wykopaliska. Okrągłe wały (Rundwall) miały otaczać miejsca ofiar. Las nadsprewski (Spreewald) należał niegdyś do Semnonów, był punktem wyjścia dla plemienia Swewów; jedna z miejscowości ofiarniczych, otoczona wałem okrągłym, znajduje się w rzeczonéj puszczy koło Burgberg bei Schloss; tu, jakotéż w Łużycach znajduje się zwykle, pod warstwą urn i wyrobów garncarskich słowiańskich, warstwa przedmiotów, które należały do innéj dawniejszéj, germańskiéj ludności.

Dr. Virchow, objąwszy kierownictwo obrad, dał głos p. Aleksandrowi Szumowskiemu, jako wystawcy dzidy tak zwanéj Kowelskiéj (Kowel'sche Lanzenspitze), podziwianéj już na zjeździe Berlińskim 1880 r. i teraz ponownie przez komitet wrocławski żądanéj. Przy katedrze umieszczono tablicę z rysunkiem obu stron grotu i znaków srebrem inkrustowanych. Wystawca podał przy téj sposobności swoje spostrzeżenia co do przewagi znaków symbolicznych (svastiki, znaków słońca itp.) nad runicznemi w napisie, dotychczas niedokładnie odcyfrowywanym. Dr. Rafał Loewenfeld uprzejmie podjął się przetłómaczenia i odczytania rozprawy w języku niemieckim; na wezwanie wszakże prezesa musiał opuścić część wywodu i śpiesznie przejść do wniosków po upływie 20 minut. Dłuższa dyskusya wywiązała się pomiędzy profesorami Török'iem, Virchow'em, Albrecht'em i Ranke'm o kraniometryi przy oglądaniu wspomnia-

---

(1) Prelegent rozdał słuchaczom litografowaną mapę téj przestrzeni.

nych wyżéj aparatów; dr. Tischler otrzymał głos dla wytłómaczenia swych nieukończonych jeszcze badań nad emalią. Ostatni głos dany był prof. drowi Neugebauerowi z Warszawy. Władając wybornie mową niemiecką, prelegent tłómaczył obszernie użytek i pochodzenie znajdujących się w muzeum wrocławskiém pincetów, porównywał je z pompejańskiemi, przytaczał liczne cytacye z pisarzy starożytnych, i pomimo napomnień prezesa Virchow'a zdążył wypowiedzieć wniosek o pochodzeniu narzędzi chirugicznych z Italii tudzież wymienić nazwisko p. Sadowskiego, jako pierwszego autora, który ściśle oznaczył drogi handlowe pomiędzy południową i północną Europą. Były to ostatnie wyrazy, wymówione w Concerthausie wrocławskim przed zamknięciem kongresu.

Niewiele tedy uczyniono dla wyjaśnienia podniesionéj przez dr. Virchow'a kwestyi o pierwotnych mieszkańcach Szlązka; sam on niezbyt cierpliwie i chętnie słuchał „słowiańskich kolegów," przynajmniéj surowszym był dla nich w wymiarze czasu. Po części może to było skutkiem osobistych usposobień jego (1); ale część owego niepomyślnego bilansu musimy przyjąć na własny rachunek. Na przyszłość towarzystwa nasze naukowe powinny przy wysyłaniu delegatów okazać większą przezorność i czujność organizacyjną. W obecnym np. wypadku należało wiedzieć lub przewidzieć, że zgromadzenie będzie się składało z naturalistów i lekarzy, zatém nie będzie mogło rozwinąć dyskusyi na tle historyczno-filologiczném. Należało daléj zaopatrzyć delegata w instrukcyą, albo-co lepsza odczytać na swém posiedzeniu przygotowany referat z uwzględnieniem stosowności lub niestosowności wprowadzanego materyału i bardzo krótkiego, bo 20-minutowego zakresu. Gdyby takie zrobiono przygotowanie, głos naszéj reprezentacyi naukowéj zabrzmiałby donośniéj i znalazłby szczersze uznanie nawet w niesympatyzującém gronie słuchaczy. Wypowiadając te uwagi, nie chcemy bynajmnéj uwłaczać należnéj wdzięczności panom Szulcowi i Neugebauerowi, którzy, znalazłszy się samotnie na zagrożonym szańcu, skoczyli żwawo do chorągwi i dzielnie do walki stanęli.

Pomiędzy posiedzeniami cały czas był zapełniony, dzięki gorliwości miejscowego zarządu (drów Gremplera i Luchsa) przyjemnie i pożytecznie na zwiedzaniu zbiorów muzealnych, numizmatycz-

---

(1) Jedna z gazet wrocławskich wytknęła mu, że traktuję prelegentów i publiczność „en bagatelle"; pewne niezadowolenie objawiło się też w łonie Towarzystwa Antropologicznego, gdy pozostawiając nietkniętym cały zarząd, oddało tylko pierwsze prezesostwo na rok przyszły p. Schaafhausen'owi umieszczając p Virchow'a na drugiém.

nych, bibliotecznych, kościelnych lub na ucztach i wycieczkach w okolice Wrocławia. We wspaniałéj katedrze ksiądz Bystry, polak-szlązak pokazywał nam bogate dary rodzin polskich, w téj liczbie relikwiarz Sobieskich z czasów Jana III. W pierwszym dniu (4 sierpnia) zasiedliśmy do galowego obiadu w udekorowanéj stosownie sali przy dźwiękach licznéj orkiestry. Po spełnieniu toastu za cesarza prezes Virchow uprzejmie dziękował cudzoziemcom „aus Polen, Galizien, Ungarn“ za przybycie na kongres, lecz streścił należny im toast w jedném imieniu dra Schliemann'a. Chociaż pan Schliemann melduje się obecnie jako mieszkaniec Aten, pracuje wszakże, według własnego oświadczenia, dla „drogiéj ojczyzny niemieckiéj.“ Ponieważ imię jego, zresztą zasłużone i sympatyczne, nie mogło służyć za spólne miano dla obecnych cudzoziemców, przeto nie poczuwaliśmy się do obowiązku odpowiadania i nie przedstawiliśmy się p. Virchow'owi. Wynagradzano późniéj nam to uchybienie, może usprawiedliwione jakimiś względami dyplomacyi czy polityki: w dniach następnych orkiestra grywała marsze rosyjskie, wiedeńskie, czardasze węgierskie i „polnisches Lied,“ a właściwie dwie popularne pieśni (1). Przy każdéj sposobności uczestnicy kongresu niemcy szukali znajomości z nami, zamieniali swe karty i świadczyli małe przysługi. Wieczorem, 5 sierpnia miasto urządziło wspaniałą iluminacyą na Liebiechshöhe, w ogrodzie ozdobionym bardzo wysoką wieżą czyli raczéj altaną (dar bogatego obywatela miejskiego, Liebicha); okoliczne kamienice okryły się flagami i napisami: „Hoch der Wissenschaft und ihren Jüngern;“ tłum zapełniał ulicę; koncert orkiestry wojskowéj przeciągnął się do godziny 11-éj. Popołudniu 6 sierpnia odbyła się wycieczka parowcami do malowniczego lasu Strachata i ogrodu zoologicznego; z powrotem goście ujrzeli ognie bengalskie, światła rzęsiste i fantastyczne tańce dzieci na brzegu Odry. Nareszcie cały dzień 7-go sierpnia został poświęcony na jazdę do Sobótki (Zobten) po części dla obejrzenia „panny z rybą“ kamiennéj, wielce starożytnéj i portretu Piotra Własta. Otrzymaliśmy wyborną rozprawkę archeologiczną pióra prof. Wł. Nehring'a dla zapoznania się z wartością naukową rzeczonych pomników (2). W 30 powozów ruszyliśmy o godzinie 7 zrana do odległego o 4 mile miasteczka Zobten, które przystroiło się we flagi i zielone bramy

(1) Uiejskiego: Z dymem i Felińskiego: Boże coś...

(2) Ueber die Steinalterthümer auf dem Zobtenberge. Wiederabdruck aus Schlesiens Vorzeit in Bild und Schrift. 23 Bericht vom Jahre 1875 als Festgabe für die Mitglieder des in Breslau 1884 tagenden Anthropologen-Congresses. Breslau. Druck von R. Nischkowsky.

z napisem: „Willkommen.“ Przy śniadaniu w hotelu wymienialiśmy toasty z burmistrzem; po drodze dziatwa wszędzie witała nas okrzykami; przechodnie uchylali kapeluszów. Znać było, że ludność ceni i szanuje pracowników nauki. Z miasteczka musieliśmy iść pieszo całą milę (przez 2¼ godziny) wśród lasów królewskich na górę, wysokości 2.200 stóp; nacieszywszy się widokiem rozległym ze szczytu, zeszliśmy inną drogą do pałacu pana v. Kuliz (Gorkau=Gorków). Właściciel częstował nas gościnnie piwem i winem, zastawionėm w starożytnéj sklepionéj izbie, gdzie znajduje się właśnie wizerunek bardzo już nie wyraźny najdawniejszego z magnatów polskich Piotra Własta czyli Włostowica. Przy obiedzie, zastawionym w Rosalienthal, wygłoszono ostatnie pożegnalne toasty i przy humorystycznéj oracyi jednego z burszów „wurde ein Salamander gerieben“ tj. nastąpiło postukiwanie kuflami na cześć obecnych dam.

Nieobeznani ze społeczeństwem niemieckiém cudzoziemcy mieli sposobność nieraz podziwiania téj popularności, jakiéj używa nauka i sztuka w szerokich kołach, rzec można—w całym narodzie. Do najcharakterystyczniejszych zdarzeń zaliczamy następne: podczas obiadu galowego w sali koncertowéj (d. 4 sierpnia) rozdano biesiadnikom elegancko wydrukowany wiersz z podpisem P. (radcy miejskiego Pinka) (1). Na czele wskazaną była melodya, zapewne jakaś popularna. Niezwłocznie ozwała się orkiestra i całe towarzystwo przeszło 300 osób zaczęło śpiewać chóralnie wiersz po wierszu o prapradziadku, który na lekkiéj łodzi przybił niegdyś do zielonego wybrzeża Europy, o antropologach i wszelkich prorokach czystéj ludzkości, o niewiastach, które siadywały niegdyś na kredzie zamiast aksamitów i jedwabiów, a przyciskały do czułéj piersi jakieś trzeciorzędowe zwierzęta, o przyszłym Virchow'ie, który po upływie wieków będzie przebierał nasze kości, porówna je z gorylem, ale zapewne nie odnajdzie szlązkiego serca, otwierającego się dla antropologów itp. Śpiew płynął swobodnie i zgodnie przerywały go tylko wybuchy śmiechu.

Dla nas, polaków, przyda się jeszcze jedna uwaga. Oto, wszystkie te uczty kosztowały bardzo tanio i obiad galowy 4 marki, jazda do Sobótki w powozach ze śniadaniem i obiadem, trwająca 15 godzin, 6 marek (2 talary) pomimo wysokiéj taksy dorożkarskiéj (2).

---

(1) Tytuł: Fest—Gruss dem funfzehnten Anthropologen-Congress. Breslau, 4 August 1884. Druk von Grass, Barth und Comp. (W. Friedrich).

(2) Koszt uczestnictwa z udziałem we wszystkich ucztach i wycieczkach wynosił 18 marek (6 talarów) a bez tych dodatków 6 marek. Dostaliśmy bezpłatnie dużo druków pomiędzy innym Przewodnik po Wrocławiu dr. Lucks'a.

Jedzenie było skromne, lecz dostateczne, główny zaś sekret taniości mieścił się w wyłączeniu win z rachunku. Za napoje każdy musiał sam płacić. Szampan nie ukazał się wcale; spełniano patryotyczne toasty za Cesarza winem stołowem lub piwem nawet przy stole prezydyalnym, gdzie zasiadali tajni radcowie i naczelny prezydent prowincyi, który prócz wysokiego urzędu posiada wielką fortunę, jako arystokrata miejscowy. Przykład godny naśladowania!

Tadeusz Korzon.

O PODDAWANIU UCZUĆ,

JAKO ŚRODKU WYCHOWANIA NARODOWEGO

(Prawo zwrotnego działania ruchów).

I.

To, w czém poeta w chwili ekstazy najdotkliwiéj człowieczą swą niższość uczuł i w czém najbardziéj pragnął dorównać Bogu był to—rząd nad duszami. W gruncie rzeczy jest to kwestya większéj wiedzy i sztuki byleby uznać, że zmiany w istocie owéj, którą rządzić mamy, zachodzące podlegają prawu przyczynowości czyli zachowania siły. Wobec uznania téj prawdy znika tajemniczy i nieujęty pierwiastek istoty, którą chcemy rządzić; czyny jéj są koniecznemi skutkami przyczyn; ująwszy przeto przyczyny, zapanujemy nad czynami i oto w zasadzie dusza ludzka oddaną zostaje w niewolę istocie, która pozna wszystkie czynniki jéj poruszeń. Wielka mnogość i powikłanie tych czynników stają na przeszkodzie zastosowaniom. Zdarza się jednak, iż skomplikowany ów mechanizm upraszcza się, ilość ożywiających go sił schodzi do minimum, znamy je wszystkie i wprowadzamy je w grę dowolnie: dusza staje się biernym, prawie martwym materyałem w rękach operatora. Takie też wypadki, do których w pierwszym rzędzie należy t. z. hipnotyzm, odsłaniają nam niedość jawną w zwykłym stanie rzeczy zależność jednych objawów od drugich i tém samém dają wskazówki, w jaki sposób możemy na jedne oddziaływać przez drugie.

Z rozważenia niektórych objawów hipnotycznych zamierzam ustanowić pewne prawo—z rzędu praw empirycznych—dotyczące związku uczuć i ruchów, oraz wyciągnąć wnioski praktyczne, nie bez znaczenia dla etyki obyczajów i sztuki wychowania.

U osobnika zahipnotyzowanego zamiera całkiem prawie samodzielna czynność duszy; wola i uwaga dotknięte niemocą, zmysły, ruchy i wyobraźnia tak w sferze umysłu jak uczuć, stają się igraszką wpływów z zewnątrz dochodzących; ponieważ zaś te wpływy łatwo dają się wytworzyć i regulować, osiągamy zupełną władzę nad pacyentem i dusza jego staje się na chwilę jakby czystą tablicą, na któréj to tylko się pojawia od czasu do czasu, co zapisze na niéj obca ręka. Widzisz to, niewidzisz tamtego, to zrobisz tamtego niezrobisz—mówimy zahypnotyzowanemu, i objawy te występują z fatalną koniecznością, niekiedy nawet pomimo świadomego oporu ze strony pacyenta. Co więcéj, przenikamy w sferę, w któréj człowiek najbardziéj zdaje się być zabezpieczonym od obcego wpływu, w któréj zazwyczaj najdłużéj pozostaje sobą—w sferę uczucia.

James Braid, pierwszy przynajmniéj w duchu naukowym i z korzyścią dla nauki, po nim Charcot, Haidenhain, Richet i wielu innych poznajomili nas ze zjawiskami t. z. poddawania uczuć zapomocą nadania pacyentowi odpowiedniéj postawy i gestu. Wyprostowawszy ciało, wygiąwszy naprzód pierś i ściągnąwszy wogóle mięśnie wyprostne, wywołujemy w pacyencie uczucie miłości własnéj, pewności siebie, siły i dumy; ze zwolnieniem wspomnianych mięśni, pochyleniem tułowia i cofnięciem klatki piersiowéj, zmienia się natychmiast nastrój, rysy twarzy, ton głosu wyrażają przygnębienie, lękliwość, pokorę. Jeśli zaciśniemy pięść prawéj ręki pacyent przybiera postawę i wyraz gniewu, groźby; lecz skoro tylko złożymy mu dwie ręce dłonią, do siebie, nastrój ów wnet ustępuje miejsca wprost przeciwnemu, człowiek pada na kolana i ze łzawym wyrazem w twarzy błaga litości. Gdy podniesiemy jego prawą rękę, przykładając palce do ust pacyent wyraża na twarzy miłosny zachwyt uśmiecha się i przesyła pocałunek.

Możnaby zaznaczyć wątpliwość, czy niemamy tutaj prostego kojarzenia się ruchów jednych z drugiemi: wyraz każdego uczucia przedstawia pewien agregat skurczów tak mięśni twarzy jak kończyn i tułowia, poruszenia te mogłyby wejść w skojarzenie bezpośrednie tak iż z pojawieniem się jednego np. gestu, występowałaby reszta związanego z nim agregatu, bez jakiegokolwiek udziału wewnętrznego czynnika, świadomości, uczucia. Przykład czegoś podobnego widzimy w doświadczeniach Duchenna, który pobudzając prądem elektrycznym odpowiednie mięśnie, nadawał twarzy dowolną ekspressyą, przyczem jednak dusza pacyenta zachowywała się zupełnie obojętnie; a i stan normalny pozwala nam obserwować bezpośrednie skojarzenie się ruchów, chociaż z charakterem nieekspre-

syjnym, gdy np. ktoś gra machinalnie na fortepianie lub bezmyślnie wymawia słowa pacierza. Nie takim jest jednak stan rzeczy w wypadkach hipnotycznego poddawania wyrazu. Z doświadczeń Hacke Tuke'a okazuje się że stan hipnotyka bynajmniéj nie jest nieświadomy, przynajmniéj w pierwszym i końcowym okresie snu. James Braid podaje: „Oto mój pacyent na kolanach, przeniknioiny uczuciem religijnem; pytam go, co widzi, odpowiada *niebo*. Wtedy marszczę mu skórę na czole, ściągając ją ku podstawie nosa a na pytanie tym samym głosem uczynione, odpowiada wstrząsając się cały, że widzi *piekło*. Ten sam skutek następuje, jeśli w pierwszym razie klęczącemu podniesiemy głowę ku górze, w drugim—opuścimy ją nadół". (*Neurypnologie. p. 249*). Widzimy przeto, iż nieznaczna zmiana w postawie wpływa na bieg myśli, dobór wyobrażeń, co jest właśnie pośrednim skutkiem zmieniającego się nastroju uczuciowego i między gestem nadanym a uzupełniającym go i samoistnie występującym wyrazem twarzy wstawia się czynnik świadomości uczuciowéj.

Nie u każdego osobnika objawy te występują równie stanowczo, co zależy wogóle od stopnia inteligencyi: w przyjaznych jednak warunkach otrzymujemy ekspresyą tak zupełną i typową, jakiéj nigdy w stanie normalnym widzieć się niezdarza. Najrozmaitsze poruszenia duszy, gniew, ekstaza, miłość, zachwyt, groźba, pogarda, wstręt, przestrach malują się w postawie i twarzy inteligentniejszych kobiet histerycznych z taką siłą i plastyką, jakiéj niedosięga żaden artysta; jeden ze znakomitszych aktorów francuskich, będąc obecnym przy doświadczeniach Charcot'a w la Salpetrière, zauważył, iż nigdy niezdarzyło mu się widzieć lepszéj lekcyi mimiki i że sam prawdopodobnie niepotrafiłby wznieść się do takiéj doskonałości w wyrażaniu uczuć.

Na jawie uczucia nietylko nie osiągają tak typowego wyrazu, lecz wogóle na pierwszy rzut oka trudnoby powiedzieć, czy w zwykłych warunkach zachodzi coś podobnego jak w hipnotyzmie, czy postawa i wyraz oddziaływa na stan wewnętrzny, czy wywołuje odpowiednie uczucie. Na korzyść tego przypuszczenia możnaby wprawdzie powołać się na ogólną zasadę, że w procesach patologicznych nie występują żadne nowe pierwiastki materyalne ani formalne, że choroba jest tylko spotęgowaniem i w pewnych razach zwichnieniem równowagi procesów fizyologicznych. Lecz zasada ta nienawieleby nam się tym razem przydała; byćby bowiem mogło, iż ostateczny rezultat—obudzenie się uczucia pod działaniem wyrazu—zawarunkowany jest takiém połączeniem i w takim stopniu czynników, jakie występują tylko wstanie patologicznym, w położeniu zaś nor-

malnym jakkolwiek znajdowałyby się wszystkie potrzebne dane, pozostawałyby zawsze tylko w stanie siły napiętéj, widocznym skutkiem nieujawniając się i tém samém nie dając żadnéj podstawy dla wywodów praktycznych. Co się tyczy spostrzeżeń empirycznych, jakie moglibyśmy zebrać z życia i w których zjawisko owo zdawałoby się występować, to zważywszy wielość i powikłanie możliwych przyczyn, wartości dowodu spostrzeżenia te mieć-by nie mogły. Pozostaje dedukcyjnie rozłożyć zjawisko na składowe czynniki, wyśledzić działanie każdego z nich pojedyńczo, poczém oznaczywszy, o ile dają się widzieć one w stanie normalnym, otrzymamy prawdopodobieństwo zależnego od nich ogólnego skutku.

W zjawiskach hipnotycznego poddawania uczuć głównym momentem jest pojawienie się uczucia w następstwie nadanego ruchu. Jest to, rzecz widoczna, przypadek kojarzenia się stanów świadomości na zasadzie przyległości. W zwykłym porządku uczucie wzbudzone ubocznie, powoduje pewne ruchy mimiczne i gesta; w skutek tego zawiązuje się skojarzenie między uczuciem, a pewnemi poruszeniami i skoro się one pojawią, pojawia się i uczucie, już nie jako pierwiastek czynny, powodujący, lecz poprostu jako przypadkowy towarzysz danego stanu świadomości.

Prawo kojarzenia się wedle przyległości, jest zasadniczém w życiu psychiczném, chociaż nie dość prostém, ażeby w każdym poszczególnym wypadku dało przewidzieć i wyznaczyć taki, a nie inny bieg wyobraźni; od danego wyobrażenia, stoi zazwyczaj kilka dróg otworem dla myśli, a po któréj pójdzie ona rzeczywiście, to zależy od wpływów drugorzędnych. Wpływy te mogą być: a) pewne zmiany w miejscowym obiegu krwi, o których nic bliżéj niewiemy, b) wrażenia współcześnie odbierane, c) zwykła postać umysłu, czyli wyobrażenia najpochopniejsze do odrodzenia się, wyobrażenia, związane z temperamentem, położeniem, profesyą człowieka, d) panujący w danéj chwili nastrój uczuciowy, wreszcie siła i częstość skojarzeń danego wyobrażenia z jakimkolwiek inném. Wszystkie te czynniki, prócz ostatniego, działają, już to w zakresie samego tylko kojarzenia się wedle przyległości, rozstrzygając o tém, który z wielu przylegle skojarzonych stanów odrodzi się przed innemi, już to wpływem swym wzmacniają i odradzają jakiś stan, skojarzony przez podobieństwo wbrew stanom, skojarzonym przylegle, które również w danym razie mogły się odrodzić i dążyły do odrodzenia się. Tak, kiedy stojąc na brzegu, patrzę na bieżącą wodę, a z oddali odsłoni mi się jakiś skrawek téjże rzeki, myśléć będę o dalszym jéj przebiegu, krajach, któremi płynie o morzu idt. Przypuściwszy, iż żadne z wrażeń w tym kierunku nie działa, pomyślę może o wypadkach,

jakie się nad tą rzeką rozgrywały, jeśli jestem historykiem, o jéj własnościach mineralnych, głębokości, zarybieniu, jeśli zajmują mnie nauki przyrodnicze; handlarz zboża lub drzewa myśléć będzie o jéj spławności, finansista dopatrzy może podobieństwa do fluktuacyi kursów itp. Innym razem wszystkie okoliczności poprzednie okazać się mogą bezsilne, w obec przeważającego we mnie nastroju uczuciowego, który narzuci mi myśl, nie będącą w związku ani z obecném otoczeniem, ani ze zwykłą postacią mego umysłu. Jeśli jestem smutny i rozdrażniony, widok rzeki nasunie mi może obrazy klęski zniszczenia, jakie jéj wylewy powodują, a może i samobójczą myśl utopienia rozpaczy w jéj nurtach; pod wpływem religijnego nastroju, patrząc na nieskończony ruch fal, pogrążę się w zadumę o wieczności, życiu przyszłém itp. Czynniki powyższe, obce saméj zasadzie kojarzenia wedle przyległości, nie tylko w pewnych razach rozstrzygają o jedném z równie możliwych skojarzeń przyległych, lecz niekiedy mogą zupełnie samę zasadę ubezwładnić i myśli rozwiną się nie wedle przyległości, ale wedle podobieństwa choćby bardzo odległego. Stany, objęte temi czynnikami, dane są w umyśle naprzód, z innych źródeł, niezależnie od wyobrażenia, które uważamy za punkt wyjścia pewnego szeregu myśli; gdy to wyobrażenie pojawi się, one wstają z ubocza, przyłączają się *do niego*, ale nie powstają z *niego*, ani *w skutek niego* jedynie. Dopiero gdy te czynniki są bardzo słabe lub zgoła nie obecne, kojarzenie przyległe wystąpić może w całéj czystości: wtedy po daném wyobrażeniu pojawi się to, które kiedyś w przestrzeni lub czasie wiązało się z nim najsilniéj lub najczęściéj. Przy takich więc warunkach, w powołanym przykładzie wyobrażenie rzeki wywoła może w mym umyśle wspomnienie wielkiego niebezpieczeństwa, które mnie na niéj spotkało i silnie mną wstrząsnęło, lub może przypomni mi przyjaciela, z którym zawsze nad rzeką chodziłem. I w takim jednak wypadku, ażeby dane wyobrażenie, pojawiwszy się w umyśle, pociągnęło za sobą koniecznie i niezmiennie jakieś inne przyległe, potrzeba jeszcze, ażeby to ostatnie było w ogóle z pierwszém dość trwale skojarzone i powtóre, aby było skojarzone silniéj od jakichkolwiek innych. Być bowiem może tak, iż albo pojedyńczo wzięte, żadne wyobrażenie nie ma dość żywotności, aby się odrodzić w następstwie danego, które w skutek tego zakończy sobą szereg i pozostawi umysł w stanie chwilowéj bezmyślności, lub otworzy pole do uświadomienia się jakiemuś wyobrażeniu, z innego zupełnie szeregu; albo też kilka może wyobrażeń z równą siłą dążyć będzie do odrodzenia się, w skutek czego nie odrodzi się żadne i pozostaną one w pewnym stanie nieruchoméj równowagi i spowodują ten sam rezultat, co i przedtém, chwilową

próżnią myśli. Ostatni przypadek, jakkolwiek wydawać się może subtelnym, bynajmniéj nie jest czysto hipotetycznym: zdarza się owszem obserwować takie czasowe zawahanie i starcie myśli, które okazuje, iż dla jéj zbudzenia się konieczną jest pewna nierówność i przewaga jednego skojarzenia nad innemi. Takie są tedy warunki, które określają bliżéj zasadę kojarzenia się przyległych stanów świadomości, zasadę, będącą, jak widzieliśmy, głównym momentem w zjawisku hipnotycznego poddawania uczuć.

Zobaczmy teraz, w jakim to otoczeniu ów główny moment występuje w stanie hipnotycznym, czyli jakie są jego współczynniki. Jeśli pominiemy zmienne fazy snu hipnotycznego, oraz nieskończenie rozmaite różnice indywidualne, i uwzględnimy tylko objawy najzwyklejsze i typowe, to przyjąć można, iż t. z. sen hipnotyczny cechuje przedewszystkiem *znieczulenie* (anaestesia), w którém rozróżnić możemy dwa przejawy. Na częściach układu nerwowego obwodowych występuje ono jako znieczulenie zmysłów, pacyent wogóle zrywa stosunek ze światem zewnętrznym, ustaje dopływ wrażeń, niewidzi on, niesłyszy, nieczuje. Jednocześnie czynność ośrodków spada niżéj poziomu świadomości, umysł staje się próżnym wszelkiéj myśli, wszelkich wyobrażeń i uczuć, co nazwać-by można ogólną *bezmyślnością* (amnesia). Obok tych symptomatów i w znacznéj części zapewne w zależności od nich przyczynowéj, stwierdzamy zupełne ustanie zdolności czynnych: uwagi i świadoméj woli, które zastępuje czysty automatyzm. Dowolna uwaga w zakresie czynności umysłowych jest niewątpliwie zdolnością najwyższą, o tyle, iż w postępowym rozwoju pojawia się najpóźniéj, przy szkodliwym wpływie słabnie i znika najpierwsza, zależną będąc od stopnia rozwoju i harmonijnego funkcyonowania zdolności niższych. Obecność pewnéj liczby wyobrażeń, między któremi można-by zrobić wybór, jedne przeciwstawić i wypierać z umysłu za pomocą drugich, módz myśléć o jedném, ażeby nie myśléć o czém inném, oto jéj warunek konieczny, który wyłącza właśnie amnezya, czyli przytłumienie myśli z wyobrażeń; zkąd naturalném jest, iż w obec sporadycznie pojawiającego się wyobrażenia lub uczucia, uwaga, wola, okaże się bezsilną. Wszelako ani znieczulenie, ani bezmyślność, ani *bezwola* (abulia) w śnie hipnotycznym nie są bezwzględne, ani ogólne, jak to bywa np. w letargu lub głębokim śnie fizyologicznym: na głos eksperymentatora uchyla się od czasu do czasu rąbek zasłony, oddzielającéj pacyenta od wrażeń zewnętrznych, przez utworzoną w ten sposób szczelinę wdziera się to i owo wyobrażenie na ciemne tło umysłu, wyobrażenie to stać się może impulsem ruchu. Co więcéj, ponieważ tak zmysły, jak umysł i wola są w ogóle nieczynne, ubez-

władnione, to cały zasób energii nerwowéj znajduje się w stanie wolnym, rozporządzalnym, a wskutek tego każdy objaw życia psychicznego—wrażenie, wyobrażenie, ruch, o ile znajdzie pole dla siebie, skupia w sobie na chwilę przeważną część owéj wolnéj energii i osiąga w ten sposób niezwykły stopień natężenia: i oto przy *ogólném* znieczuleniu, bezmyślności i bezwoli, w zakresie *pojedyńczych* wrażeń, wyobrażeń i ruchów występuje objaw wprost przeciwny—*cząstkowa* nadczułość, wybujanie wyobraźni (hiperideacya) i nadpobudliwość. Częściowo rozbudzony zmysł zaostrza się niezwykle tak, iż hipnotycy np. po woni, jaką wydaje chustka, w tłumie wynajdują jéj właściciela; wyobrażenie, wywołane w umyśle za pomocą wrażenia, dorównywa mu w sile i jak senne widziadło, staje się halucynacyą; jeśli posiada charakter impulsywny, np. rozkaz, powoduje natychmiastowo, fatalnie ruch—wykonanie rozkazu.

Wracając teraz do zajmującego nas zjawiska—pojawienia się uczucia w skutek nadanego wyrazu, jesteśmy przygotowani do racyonalnego jego objaśnienia. Wyłuszczyliśmy składające je momenty; tłem, na którém zjawisko występuje, jest ogólne stłumienie czynności zmysłowych, myślowych i ruchowych, obok cząstkowego spotęgowania tychże czynności; na tém tle pojawia się wrażenie ruchowe, albo po prostu ruch, jako pod obcym wpływem przybrany gest, postawa. Wrażenie to, przedarłszy się do umysłu, zdolne jest rozbudzić część wewnętrznych jego zasobów, część, która w danym wypadku okaże się najpochopniejszą do zbudzenia się pod wpływem tego wyobrażenia. Zbudzenie to nastąpi w skutek zasady kojarzenia się stanów świadomości, którą już wyżéj rozpatrzyliśmy, jako główny moment zjawiska. W saméj rzeczy teraz przekonywamy się, iż moment ten jest decydującym, od niego bowiem zależy, jaka to część wewnętrznego zasobu umysłowego—wyobrażeń, uczuć, powołaną zostanie do świadomości przez nadany ruch ekspresyjny. Ruch ten, jako stan świadomości, staje się punktem wyjścia dla pewnego szeregu innych stanów; jakież to będą stany? Widzieliśmy, iż o tém, jaki stan świadomości nastąpi po danym, obecnym stanie, np. wyobrażeniu, rozstrzygać mogą naprzód wrażenia, współcześnie z zewnątrz do zmysłu dopływające. Ale czyż to w danym wypadku, przy tych czynnikach, jakie warunkuje sen hipnotyczny, jest możliwém? oczywiście nie, znieczulone zmysły żadnych zewnętrznych wrażeń niedopuszczają i tém samém uniemożliwiają ich wpływ na bieg myśli, czyli kojarzenie się stanów. Drugim z kolei czynnikiem być-by mogła zwykła myślowa postać umysłu, t.j. wyobrażenia związane z usposobieniem, upodobaniami, zajęciem, profesyą człowieka. Więc podsycane, żywe, w każdéj chwili odrodzić się gotowe, choćby

nawet z wyobrażeniem obecném wiązały się bardzo luźno i skojarzone z nim będąc nieprzylegle, ale przez podobieństwo, stały na dalszym planie, w głębi umysłu: ogólne jednak przytłumienie życia wewnętrznego, bezmyślność i ten wpływ zobojętnia. Z téjże saméj przyczyny nie może oddziałać i trzeci czynnik — nastrój uczuciowy, któryby w téj chwili w umyśle panował, danym był przed wyobrażeniem, o które idzie, i z ubocza na jego dalszy kierunek wpływał; w tym względzie umysł jest apatyczny, obojętny i równie skłonny do przyjęcia każdego wyobrażenia, z jakimkolwiekbądź charakterem uczuciowym. Widzimy przeto, iż przy warunkach, znamionujących hipnotyzm, stan świadomości, który wchodzi do umysłu, jako wrażenie i z którego wysnuć się ma dalszy szereg stanów, nie znajduje tam nic, coby tkwiło uprzednio, wyszło ku niemu i swoim własnym wpływem nań podziałało: znajduje ono pole zupełnie swobodne i co do następstw swych zostawione jest samemu sobie. Lecz widzieliśmy, iż w braku czynników ubocznych, następstwo stanów zawarunkowane jest prostą zasadą kojarzenia, wedle przyległości, mianowicie siłą i częstością skojarzenia danego stanu z pewnym innym, który po nim niechybnie nastąpi. W zajmującym nas wypadku, jakież to jest skojarzenie przyległe pojawiającego się naprzód wrażenia — wrażenia ruchowego, wyrazu, gestu, postawy? Jest to nic innego tylko odnośne uczucie, które w zwykłym porządku rzeczy, pojawiając się pierwsze, wywołuje dane wrażenia (ruchy), kojarzy się z nimi, z którego przeto mamy prawo oczekiwać, że się pojawi teraz w następstwie tych właśnie ruchów. Lecz co do tego zachodzić może jedna jeszcze wątpliwość, ażeby po danym stanie świadomości nastąpił drugi, skojarzony z nim przylegle, skojarzenie jego z pierwszym musi być silniejsze i trwalsze niż któregokolwiek innego, który jednocześnie dążyć może do odrodzenia się. Czyż ruchy wyrażone i odnośne uczucia są rzeczywiście skojarzone z sobą silniéj, niż z jakimikolwiek innemi stanami, t. j. w sposób, któryby zapewniał niechybne pojawienie się uczucia w następstwie wyrazu, przy pewnych, wyżéj wyszczególnionych warunkach? Są fakty, które przypuszczenie to potwierdzają. Uczucie każde ma swój wyraz stały i określony, nie wyraża się zaś raz w ten, drugi raz w inny sposób; a jeśli czasami zdawać-by się mogło przeciwnie, to pochodzi ztąd, iż uczucie co do nazwy, a nawet co do istoty to same, przybiera jednak i różne odmiany, oraz w niejednakowym objawia się stopniu, czemu odpowiada i zmieniony nieco wyraz. Uczucie nie tylko ma swój własny i określony wyraz, lecz ilekroć się pojawi, dąży do wcielenia się w ten wyraz koniecznie: prawem jest, iż każde uczucie się wyraża. Wiemy wprawdzie, iż można zapanować nad sobą i ukryć

uczucie, czyli niedać mu wyrazu; lecz pozorny ten wyjątek wzmacnia tylko zasadę, o którą nam idzie. Bo cóż to znaczy panowanie nad uczuciem: nic więcéj, jak obecność w umyśle pewnych wyobrażeń i uczuć, które są przeciwne uczuciu, mającemu być opanowaném i które przez to hamują jego siłę impulsową, ruchową. Ale niech tylko ustanie owa władza, hamująca, czyli niech znikną przeciwne wyobrażenia i uczucie dane otrzyma wolną drogę, a takiém jest właśnie założenie obecnego wypadku, wnet uczucie owo wyrazi się we właściwy mu sposób, czyli skojarzy się z odpowiedniemi ruchami. Dlatego to, gdzie owa przeciwstawiająca się treść umysłu jest w ogóle ubogą, lub mało sposobną do samodzielnego odradzania się, jak to bywa u dzieci, dzikich i obłąkanych, tam uczucia wyrażają się daleko pełniéj i żywiéj, aniżeli przy warunkach przeciwnych u dorosłych, oświeconych i zdrowych. Jak dalece wreszcie związek ten uczucia i jego wyrazu jest stanowczym i niezmiennym, świadczy i ten fakt, że niezmiernie jest utrudnioném, a czasami wprost niemożliwém, współistnienie pewnego uczucia i wyrazu, przysługującego nie temu, lecz i innemu uczuciu: niepodobna prawie pogodzić żywszego uczucia religijnego, z postawą leżącą, np. modlić się leżąc; niepodobna prawie czuć pokory, strachu itp. przy postawie wyprostowanéj, dumnéj, lub gniewnéj; o ile zaś współistnienie takie jest możliwém, to wymaga upartego wysiłku woli i skoro tylko ten ustanie, natychmiast przywraca się sam przez się normalny związek uczucia i jego własnego wyrazu.

Tak więc w wieloraki sposób odsłania się nam trwały i konieczny związek uczucia i wyrazu: w braku przeciwnych wpływów, jak tylko pojawi się uczucie, wnet następuje po nim jego wyraz czyli ruchy ekspresyjne. Nie mamy zaś żadnéj podstawy, ażeby związek ten zaprzeczyć w kierunku odwrotnym tj. od wyrazu do uczucia. I oto otrzymujemy wniosek, ku któremu zmierzało całe dotychczasowe roztrząsanie: w braku wszelkich odpornych wpływów umysłu—a takie wpływy zobojętnia właśnie stan hipnotyczny—ruchy wyrazowe, gest, postawa, w myśl ogólnego prawa kojarzenia się wedle przyległości, wywołują odpowiednie uczucie i wywoływać je muszą, jako stan skojarzony z nimi silniéj, niż którykolwiek inny. To zaś uczucie, raz do świadomości za pośrednictwem sztucznie nadanego wyrazu (gestu, postawy) wprowadzone, wywiera znów właściwy mu wpływ i na mocy tegoż prawa kojarzenia i współdziałania tychże czynników hipnotycznych, na mocy których samo się pojawiło, wywołuje resztującą część swojego wyrazu, część, któréj obca ręka nadać niemoże, która jednak teraz pojawia się już automatycz-

nie wskutek istniejącego uczucia, jako to skurcze drobnych mięśni twarzowych, wyraz oczu itp.

Znieczulenie, bezmyślność i bezwola, charakteryzujące stan hipnotyczny, w zestawieniu z ogólném prawem kojarzenia, dały nam podstawę do objaśnienia istotnego momentu zjawiska—niezbędnego pojawiania się uczucia wskutek nadanego wyrazu. Przypomnijmy teraz, iż obok wzmiankowanych objawów stwierdziliśmy również w hipnotyzmie nadczułość, wybujanie wyobraźni i nadpobudliwość w zakresie cząstkowo pojawiających się stanów świadomości, a zrozumiemy i to, dlaczego uczucie w powyższy sposób wywołane otrzymuje z kolei wyraz pełniejszy i bardziéj plastyczny, aniżeli to kiedykolwiek w stanie normalnym postrzegać się daje. Naprzód ruch nadany, w umyśle jako wrażenie, odczuty zostaje silniéj niż w stanie zwykłym podobnie jak wrażenie któregokolwiek ze zmysłów specyficznych. Występujące teraz uczucie, w części dlatego iż stan, który je obudził, był—niezwykle natężony, w części z tejże saméj przyczyny, która dodała natężenia owemu pierwszemu stanowi, mianowicie skupienia wolnéj energii nerwowéj na nielicznych bardzo i ograniczonych punktach, samo osiąga wyższy stopień natężenia; co więcéj, nietylko jako dane uczucie jest spotęgowaném, lecz wolném jest przytém od tych przymieszek uczuciowych i myślowych, które zwykły mu towarzyszyć w stanie normalnym. Powstając samo w świadomości tylko, jako stan najsilniéj ze wszystkich skojarzony z ruchem wyrazowym, powstaje też w tych tylko granicach, w jakich było skojarzone, a więc wszelkie przymieszki, które raz były obecne, drugi raz nie, raz te, to znów inne, jako niestale i niejednostajnie kojarzone, teraz pozostać muszą po za obrębem świadomości. Tak więc nadany gest gniewny obudzi w umyśle hipnotyka czyste uczucie gniewu, nie zaś owę mieszaninę gniewu i uczuć pokrewnych, wstrętu, pogardy, nienawiści, która jest najczęstszym przypadkiem stanu normalnego. Wreszcie, uczucie raz obudzone dąży do zupełniejszego wyrażenia się w ruchach mimicznych twarzy; uczucie to wysoko jest natężone a zatém wielką ma siłę impulsową, niezależnie od tego przewodnictwo ruchowe, wskutek obfitego napływu wolnéj energii, jest silnie podniecone, to téż spowodowane przez uczucie ruchy muszą być o wiele pełniejsze i żywsze, niż to się zdarzyć może w stanie normalnego czuwania. Nadto, ponieważ wyrażające się uczucie jest czystém i jednolitém, to i wyraz jego będzie ściśle ograniczonym, skończonym i typowym, do czego w stanie czuwania najznakomitszy aktor-mimik dojść niezdola, niepodobna bowiem nigdy tak zacieśnić pola świadomości, aby w danéj chwili istniało i wyrażało się jedno tylko i jedyne uczucie.

Dotychczas pomijaliśmy jednę jeszcze okoliczność, warunkującą pojawianie się uczucia wskutek nadanéj postawy, która wprawdzie sama przez się rozumie się, w pewnych jednak razach może braknąć. Mówiliśmy, że w następstwie pewnéj postawy wogóle pojawia się uczucie wogóle, jako z nią skojarzone i w ten sposób przypuszczaliśmy, iż uczucie to zawsze mogło być skojarzone, że kiedyś istniało już w świadomości w związku z postawą. Ale takie przypuszczenie, o ile słusznem być może odnośnie do uczucia w ogóle, nie zawsze sprawdzić się może, gdy idzie o szczególną jego formę; w saméj rzeczy nadać możemy pacyentowi postawę takiego uczucia, którego on nigdy w życiu niedoświadczał, które nie wyrażało się w nim daną postawą, z nią się nieskojarzyło, i które teraz wskutek tego niepojawi się: nadanéj postawie, przy wszystkich wyżéj wymienionych przyjaznych warunkach, braknąć jednak będzie drugiego ogniwa skojarzenia i omawiane zjawisko nie ukaże się. Jako istotny przeto warunek fenomenu postawić należy, iż: nadana postawa wywoła odnośne uczucie wtedy tylko, jeżeli uczucia tego doświadczał już osobnik. Zdaje się, iż nie jest tu koniecznem, aby uczucie danem było w doświadczeniu indywidualnem: niektóre uczucia bardzo proste i bardzo elementarne (radość, gniew itp.) przenoszą się, być może, dziedzicznie, jako skojarzone trwale ze swoim wyrazem, tak iż co do nich wystarczałoby doświadczenie rodzaju, przodków: osobnik prawdopodobnie mógłby ich doświadczyć pierwszy raz w swoim życiu wprost wskutek nadanéj postawy. Eksperyment jednak niemoże wątpliwości téj roztrzygnąć, gdyż osobnik każdy wcześnie bardzo uczuć tego rodzaju doświadcza i dlatego, gdy się pojawią wskutek postawy, niewiemy, czy przypisać je własnemu jego doświadczeniu, czy skojarzeniu organicznemu.

W praktyce zresztą, zachodzić może tylko brak uczuć wyższych, złożonych, jak zachwyt religijny, pokora itp.

(*dok. nast.*) *J. Wl. Dawid.*

JAKÓB NATANSON

WSPOMNIENIE POŚMIERTNE.

Każda jednostka wydatniejsza kolejami i przejściami życia zarysowuje, odbija jak w zwierciedle charakter społeczeństwa i epoki do której należy. Im bogatsza i szlachetniejsza natura, tém dokładniéj uwydatniają się rysy i kontury otoczenia w jéj życiu, w jéj dążeniach, w pracach podjętych, w zawodach doznanych. Życiorys jednostki staje się cząstką dziejów społeczeństwa i w obrazie nieskończenie zmniejszonym, charakteryzuje je na dany ustęp czasu.

Taką kartkę dziejów krajowych stanowi żywot świeżo zmarłego Jakóba Natansona, męża uczonego, najznakomitszego z profesorów b. Szkoły Głównéj, a zarazem jednego z przodowników na polu działalności obywatelskiéj, na polu prac, wypełniających treść żywota społeczeństwa naszego od lat 20-u. Kreślić obraz dokładny, iść krok w krok za biegiem tego pełnego treści, pełnego zacnych usiłowań życia, zaznaczać, podnosić i oceniać każden szczegół, niepodobna w warunkach obecnych. Zresztą za świeża mogiła, za blizka epoka.

Ograniczymy się na podaniu kilku wydatniejszych rysów. Jakób Natanson urodził się 1832 roku w Warszawie. Ojciec mieszczanin, żyd z wyznania, ożywiony pragnieniem dania dzieciom wykształcenia, Jakóba najmłodszego z siedmiu synów, kształcących się po zakładach krajowych i zagranicznych, wprowadza mimo trudności napotykane, do gimnazyum. W lat parę po rozpoczęciu przez Jakóba nauk szkolnych, stał się fakt trudny do uwierzenia, a jednak prawdziwy, że wszystkie gimnazya w Warszawie zostały zamknięte. Zmusiło to do umieszczenia chłopca po zadomem w szkołach w Radomiu, zkąd dopiéro po otwarciu gimnazyum realnego w Warszawie do rodzinnego powraca miasta.

Nowo otworzone gimnazyum realne skupiło podówczas najlepsze siły naukowe, na polu przyrodniczém. Do grona nauczycieli należeli, rozpoczynający podówczas zawód pedagogiczny, późniejsi profesorowie Szkoły Głównéj, Jurkiewicz, Aleksandrowicz i inni. Wykładającym Chemią był Zdzitowiecki, wytrawny pedagog, zamiłowany w fachu który uprawiał, i umiejący w młodzieży budzić zapał do nauki. Wpływowi Zdzitowieckiego przypisać może należy, że Jakób po skończeniu gimnazyum, wyjechawszy 1850 r. do Dorpatu, oddał się specyalnie studyowaniu Chemii.

Pięcioletni pobyt w Dorpacie, wykazuje niezwykłe naukowe zdolności młodzieńca, a zarazem dzielny jego charakter i szlachetne dążenia, które zarysowują się w życiu koleżeńskiém, w stanowisku zajętém wśród licznéj młodzieży polskiéj, garnącéj się podówczas do gościnnéj *Alma Mater Dorpatensis*.

Po dwu latach studyów uniwersyteckich prowadzonych pod kierunkiem znakomitego, a do dziś dnia zajmującego katedrę Chemii profesora Karola Schmita; Jakóbowi przyznany zostaje medal złoty za pracę naukową na konkurs napisaną. Ten pierwszy naukowy tryumf młody pracownik ciężką opłaca chorobą, którą spowodowywa gwałtowne poparzenie przy pracy w laboratoryum. Na chwilę zwątpiono nawet o jego życiu. Siły młodości zwyciężyły. Jakób po paru miesiącach wrócił do zdrowia, wrócił z dawnym zapałem do pracy tak, że już w roku 1855, obroniwszy publicznie rozprawę „Ueber das Acetylamin und seine Derivate. Eine zur Erlangung der Würde eines Magisters der Chemie verfasste und mit Genehmigung einer hochverordneten physikalisch—mathematischen Facultät etc. bestimte Abhandlung.“ Dorpat 1855, otrzymał wysoki stopień naukowy magistra Chemii. Młody zaledwie 24-y rok liczący Jakób, powróciwszy do kraju niesie w sobie obok zamiłowania nauki, któréj się poświęcił, uczucia i dążenia obywatelskie, które mu od pierwszéj niemal chwili torują drogę do uznania i szacunku w społeczeństwie.

Owocem pracy naukowéj z pierwszych lat pobytu w kraju, było 2-u tomowe dzieło „Krótki rys Chemii organicznéj ze szczególnym względem na rolnictwo, technologią i medycynę (T. I wydany 1857 r. T. II 1858 r.). Praca ta uznaną została przez krytykę za dzieło najlepsze w ówczesnéj niebogatéj literaturze naukowéj przedmiotu, który traktuje. Zjawiła się ona w chwili, w któréj dzięki wpływowi Towarzystwa Rolniczego ruch piśmieniczy na polu agronomii ożywiać się zaczynał i zjednała autorowi uznanie w kołach wykształconych rolników. Faktem charakteryzującym nastrój obywatelski, stała się żywa polemika dotycząca stanowiska społecznego

żydów w kraju, prowadzona 1859 r. z jedném z najpoczytniejszych pism krajowych. W polemice téj Jakób żywy i bezpośredni udział bierze, jednając sobie przez to uznanie tych wszystkich, których nie unosiły przesądy i uprzedzenia kastowe. To téż już w chwili najbliższéj spotykamy Jakóba postawionego przez opinią ogólną w szeregu tych ludzi, którym się przodujące stanowisko należy.

Mimo młodość swoję łączy on z życiem i zapałem właściwym wiekowi, statek, powagę myśli obywatelskiéj, która mu wskazuje właściwy kierunek pracy i dążeń społecznych. Radością téż go przejmują reformy zachodzące w kraju pod kierunkiem męża stanu, który działalnością swoją na chwilę zaświecił na widnokręgu życia krajowego; bólem najcięższym wypadki, które rozpoczętą zaledwie pracę w niwecz obracały.

W téj epoce walki i przejść ciężkich otwiera się przed Jakóbem upragniona dlań działalność naukowa. Do świeżo otwierającéj się Szkoły Głównéj zostaje on, jako autor dzieła wyżéj wspomnionego, a nadto, jako posiadający już imię naukowe w kraju i zagranicą znane, powołany na profesora Chemii. Z prac które utorowały Jakóbowi Natansonowi drogę do katedry uniwersyteckiéj wymienimy: „Ueber Substituirung der Aldehydradicale im Ammoniak" (Annalen der Chemie u. Pharmacie Bd. 92—1854)—„Ueber zwei neue Bildungsweisen des Harnstoffs" (Annalen der Chemie u Pharmacie Bd. 98—1856). „Ueber das Acetylamin" (tamże) „Ueber die Anwendung einer Modification der Gay-Lussac'schen Dampfdichte-bestimmungsmethode bei Substanzen mit hohen Liedepunkte" (tamże). „Empfindliche Reaction auf Eisen" (Annalen der Chemie u. Pharmacie Bd. 130—1864).

Pozostawiając specyalistom bliższą ocenę znaczenia i wartości wymienionych prac, (v. Wszechświat tom III pg. 594) zaznaczymy tu ogólnie, że je wszystkie cechuje niezwykla w tak młodym pracownika samodzielność i głębokość poglądu naukowego. Dotyczą one przeważnie pytań zasadniczych w nauce, jako to: budowy ciał amonowych, otrzymywania ciał wchodzących w skład istot ożywionych, czyli ciał organicznych na drodze sztucznéj, na drodze syntezy pierwiastków nieorganicznych, bez udziału życia i sił odrębnych, istotom żyjącym podówczas przypisywanych. Prace te stanowią wyłom w pojęciach dualistycznych w Chemii, torując drogę teoryi unitarnéj, uznanéj dziś powszechnie, a wiążącéj się ściśle ze współczesnym nam poglądem przyrodniczym na świat, na jedność sił elementarnych, na jedność i niezmienność praw przyrody.

W wyborze tematu, w kierunku podjętych prac, uderza tu niezwykła głębokość, a zarazem bystrość umysłu, który na polu zale-

dwie przez siebie zdobytéj wiedzy, umié ująć i poddać właściwemu badaniu te punkta, które są zwrotnemi i stanowczemi dla dalszego rozwoju nauki. Prace téż te zachowają nie zatartą w dziejach nauki pamięć Jakóba Natansona. Jedna z wymienionych powyżéj prac, nabrała szczególnego znaczenia, nie tylko dla ogólnéj teoryi naukowéj, ale i ze względu na szerokie techniczne zastosowanie faktu w niéj wykazanego. Badając związki amonowe, opisując dokonany przez siebie rozkład nielotnéj acetyliny, na lotny acetyliak i wodę, wspomina autor, że otrzymał z aniliny, działaniem chlorku etylenu, barwnik czerwony i fioletowy. Fakt ten uzupełniony dalszém odnośném badaniem, zrodził w następstwie cały, dziś na tak szeroką skalę prowadzony, przemysł barwników anilinowych, najświetniejszych ze wszystkich znanych i powszechnie przeto w technice używanych.

W obec téj wartości prac naukowych Jakóba Natansona nie dziw, że zwrócił nań wzrok swój założyciel Szkoły Głównéj i powołał go w pierwszéj zaraz chwili jako profesora zwyczajnego na katedrę chemii. Nominacya Jakóba Natansona przypada równocześnie oniemal, z prawem o równouprawnieniu żydów, i jest, rzec można, pierwszym, a tak świetnym nowego porządku społecznego owocem.

Od pierwszego wstąpienia na katedrę uniwersytecką, młody profesor niezwykłém cieszy się powodzeniem. Nie tylko treścią bogatą, ścisłością i jasnością wykładu, ale i pięknością formy porywa on licznych słuchaczy, dla pomieszczenia których audytorya pałacu Kazimirowskiego zbyt były szczupłemi. Prócz zaś tego magicznego węzła, który go wiąże ze słuchaczami, jedna on sobie miłość młodzieży miłością, jaką miał dla niéj, opieką, jaką żądnym nauki dawał, a nawet pomocą pieniężną, którą biedniejszym służył. Jako fakt cechujący zmarłego, przytoczyć się tu godzi, że Jakób Natanson zrzekł się pensyi swéj profesorskiéj na rzecz skąpo uposażonego laboratorium, oraz na stypendya dla biedniejszych studentów. Po latach paru działalności wysiłkowéj nauczycielskiéj, tego najwyżéj cenionego profesora, od prac w laboratorium, a następnie w r. 1865 i od wykładu odrywa choroba, będąca początkiem całego szeregu cierpień, wlokących się przez dziesiątki lat, których kres ostateczny stanowi smutna data 14 września 1884 r.

W roku 1865 podejmuje on wprawdzie jeszcze pracę naukową większego zakresu, wydaje początek dzieła pod tytułem „Wykład Chemii Organicznéj, podług systemu unitarnego“ (Część I). Wzmagające się jednak cierpienia fizyczne, nie pozwalają mu już dokończyć zamierzonéj pracy, która acz ułamkowa, pozostanie świetnym dowodem działalności naukowéj i nauczycielskiéj jéj autora.

Dziwnéj siły i energii ducha było potrzeba, aby lata całe módz walczyć z dolegliwém, rozstrajającém cierpieniem, a mimo tę walkę, umiéć służyć swoim i umiéć utrzymać węzeł, który go z nauką wiązał.

W szeregu prac, które po chwilowym zastoju życiowym między 60 a 70 rokiem i w latach następnych, w kraju rozwijać się poczynają, Jakób Natanson wszędzie radą, udziałem, pracą na miarę sił, wreszcie ofiarą pieniężną, staje w rzędzie pierwszych. Przemysł cukrowniczy, papiernictwo, górnictwo krajowe, muzeum przemysłowe, towarzystwo ubezpieczeń Warszawskie, wystawy przemysłowe i rolnicze: we wszystkich tych pracach imię Jakóba jest zapisane. W r. 1874 w konferencyi rolniczéj żywy bierze udział, a wykład swój o nawozach sztucznych ogłasza drukiem. Nie tylko jednak na polu ekonomiczném spotykamy się z działalnością Jakóba Natansona. Słabnący ruch wydawniczy skłania go do popierania wydawnictw pedagogicznych, naukowych, historycznych, do popierania tak gorliwego, że w wielu razach inicyatywa w podjętéj sprawie, od niego w znacznéj mierze wychodzi. Spotykamy go téż w liczbie założycieli szkoły rzemiosłowéj na ulicy Jasnéj. Bierze udział najczynniejszy w komitecie opracowującym ustawę kasy pomocy dla pracujących na polu nauki imienia Mianowskiego, a od chwili zatwierdzenia ustawy, wchodzi jako członek do zarządu kasy.

Ta wielostronna działalność na tak różnych polach, którą pobieżnie tylko zaznaczyć mogliśmy, świadczy, że Jakób Natanson z głębokością i samodzielnością umysłu uwydatniającą się w badaniach jego naukowych, łączył bystrość i praktyczność nieodzowną w działalności na polu życia społecznego. Policzyć zaś wszystkie usiłowania skuteczne, wszystkie zawody doznane, bóle przecierpiane w tém usianém powodzeniami i cierniami życiu, niepodobna. Ostatni rok pełen ciosów osobistych, złamał do reszty siły fizyczne, tego moralnie niespożytego człowieka. Przez rok ten odsunięty chorobą od wszelkiego bezpośredniego z ludźmi stosunku, umiał jeszcze choć pośrednio wpływać, działać, pobudzać, rękę przykładać do niejednéj pożytecznéj pracy, chwile zaś cierpień największych fizycznych wypełniać czytaniem, pracą nad nauką, która mu pozostała dozgonną towarzyszką życia.

Ogólne dla zmarłego uznanie, ogólna cześć, głosy prasy całéj poważnéj, bez różnicy odcieni, świadczą, że słowa przez nas na świeży grób rzucone, nie są tylko wyrazem uczuć osobistéj przyjaźni, lecz raczéj, że są słabym odbiciem tego, co się zgasłemu przedwcześnie, bo w 52 roku życia Jakóbowi Natansonowi od współczesnych należy. Dla tych zaś, którzy ze śmiercią Jakóba Natansona, prócz

współobywatela stracili jednostkę, czy po krwi czy po stosunku osobistym, blizką, żal wyrażony przez ogół, winien się stać pociechą, a przynajmniéj ulgą w bólu. Snać praca zmarłego nie była płonną, snać posiew życia jego na dobry grunt padał, skoro społeczeństwo do którego należał, któremu służył, mimo sztuczne podniety do nienawiści rasowych, żegna go i opłakuje jako brata po krwi.

„W naturze nic nie ginie“. Aksyomat ten przyrodniczy, który wyznawał zmarły, jest prawdą, nie tylko w martwéj naturze, ale i w życiu ludzkości. Wierzymy téż, że praca Jakóba Natansona wyda plon obfity.

Niech mu będzie lekką ziemia rodzinna, którą tak gorąco ukochał.

Dr. Ig. Baranowski.

ROZBIORY, SPRAWOZDANIA

I WRAŻENIA LITERACKIE.

Jana Kochanowskiego, Dzieła wszystkie. Wydanie pomnikowe. Tom drugi. W Warszawie. W drukarni Józefa Ungra. 1884. Str. VIII — 509.

Komitet redakcyjny, zajmujący się wydaniem pomnikowém dzieł Kochanowskiego, starał się choć w części spełnić zadanie swoje i gdy nie mógł ogłosić drukiem wszystkich utworów wieszcza z Czarnolasu w roku trzechsetnym jego śmierci, przyśpieszył przynajmniéj ogłoszenie tomu drugiego, który łącznie z pierwszym objął wszystkie dzieła polskie naszego poety.

Pod względem zewnętrznym: formatu, papieru, druku, podobizn, przedstawia się on równie świetnie i wspaniale jak tom pierwszy, a pod względem objętości o wiele pokaźniéj od niego. Wdzięczność prawdziwa należy się tym, którzy pracą swoją lub pieniędzmi przyczynili się do pięknego i rozumnego uczczenia pamięci jednego z największych twórców naszéj mowy poetyckiéj, jednego z wielkich naszych cywilizatorów. Będzie to istotny pomnik, który wobec przyszłości zaświadczy o zacnych dążnościach obecnego pokolenia i zachęcić może do podejmowania nowych prac w tym samym kierunku, a więc bezpośrednio i pośrednio wzbogacić naszę literaturę.

Oddawszy tym sposobem hołd komu należy, a nie chcąc ogólnikowemi pochwałami obniżać tonu, jakim o podobném przedsięwzięciu mówić wypada, przechodzę do rozpatrzenia się w szczegółach wydania.

O zachowywanéj w niém pisowni rozszerzać się tu nie będę. Przed rokiem szczegółowi temu poświęciłem dużo miejsca przy rozbiorze tomu pierwszego. Zasada tu przeprowadzona znalazła naturalnie i w tomie drugim zastosowanie; opinia zaś moja o jéj wartości nie zmieniła się w niczém, owszem ugruntowała się jeszcze bardziéj. Na zjeździe historyczno-literackim w Krakowie taż sama kwestya poruszo-

ną była z ogólniejszego stanowiska. Referent (dr. Roman Pilat) postawił za prawidło modernizowanie pisowni przy przedruku dzieł pisarzy starożytnych, posiłkując się argumentami mniéj więcéj takiemi, jakich ja używałem w krytyce pisowni, zachowanéj w wydaniu pomnikowém dzieł Kochanowskiego. W żywéj dyskusyi, z tego powodu wywiązanéj, odezwały się wprawdzie głosy za i przeciw, ale przeciwnicy tezy niewiele mogli znaleźć argumentów rozumowych i używali tylko sercowych przeważnie, iż stara pisownia ma szczególniejszy urok, przenosi w wieki odległe itp. Zdaje się, że na przyszłość wyjątkowo jedynie pojawiać się będą przedruki, z zachowaniem dawnéj pisowni; za regułę zaś wzięte będzie jéj modernizowanie. Takie przynajmniej wrażenie wyniosłem i z ogólnéj dyskusyi na zjeździe i z rozmów szczegółowych z tymi, którzy mają zamiar wydawać przedruki dzieł dawnych.

Druga ważna kwestya, którą roztrząsnąć tu muszę obszerniéj, jest sprawa układu utworów Kochanowskiego. Jakkolwiek układ w pierwszym tomie nie wydawał mi się dobrym, nie robiłem wszakże na tę stronę wydania nacisku, dlatego, że nie był on jeszcze rażącym: utworów było niewiele i nie odskakiwały one od siebie zbytecznie, co do rodzaju poetyckiego, gdyż wszystkie były liryczne. Ale w drugim tomie rzecz się ma inaczéj. Pomieszczono w nim dwadzieścia pięć utworów, tak różniących się od siebie, jak proza od poezyi, jak liryka od dydaktyki, jak epika lub poezya opisowa od dramatyki. Tu już potrzeba było koniecznie jakiś ład zaprowadzić. Prawdziwie racyonalnemi systemami grupowania pism danego autora są dwa: chronologiczny i rzeczowy. Do badań historyczno-literackich najodpowiedniejszym byłby niewątpliwie system chronologiczny, gdyby było można przeprowadzić go z całą ścisłością. Ale ponieważ ścisłość taka niezawsze jest możliwą i ponieważ częstokroć oznaczyć daty pewnego utworu niepodobna: musimy przeto, obok chronologicznego, posługiwać się systemem grupowania rzeczowym, według rodzajów prozy i poezyi.

Ani jeden ani drugi sposób układu pism Kochanowskiego nie został przyjęty przez komitet wydania pomnikowego. I tak po dziewięciu utworach wierszowanych, następuje jeden utwór prozą (*Wzór pań mężnych*), po nim znowuż siedem poematów, daléj cztery utwory prozaiczne (*Wróżki*, *O Czechu i Lechu*, *Wykład cnoty*, *O pijaństwie*); po nich napowrót trzy poemata, w końcu proza pomieszana z wierszami (*Fragmenta*, zawierające: Apoftegmata prozą pisane, oraz różne wiersze, pomiędzy któremi, w środku *Carmen macaronicum*). Takto poprzekładano prozę poezyą. A w układzie samych poematów jakaż dowolność! Po dydaktycznych *Fenomenach* następuje liryczna

Muza, po niéj szyderski *Satyr*, daléj przekład jednéj pieśni wielkiego eposu greckiego (*Monomachia Parysowa*), w dalszym ciągu dramat: *Odprawa posłów greckich*, który znowuż ma obok siebie poemat dydaktyczny: *Szachy* itd.

Jakie panuje zamieszanie w układzie, uważanym ze stanowiska rzeczowego, takież samo dostrzegamy w nim pod względem chronologicznym. *Zgoda* i *Satyr* i treściowo i czasowo najściśléj z sobą spojone, przedstawiają się w wydaniu pomnikowém rozdzielonemi od siebie aż dziesięciu utworami różnego rodzaju i z różnych czasów. *Szachy* z r. 1566 następują tu po *Odprawie posłów* greckich z r. 1578; *Zuzanna* napisana około r. 1562 idzie po *Trenach* z r. 1580; *Proporzec* zapewne z r. 1569 umieszczony po *Epitalamium* na wesele Krzysztofa Radziwiłła i po *Dryadzie Zamechskiéj* z r. 1578.

Dość będzie tych zestawień, ażeby uwidocznić wszelki brak ładu w ułożeniu pism Kochanowskiego, stanowiących tom drugi. Wobec faktu, że wydaniem pomnikowém zajmują się ludzie, znający doskonale warunki wydań naukowych, zadziwiać może ten rażący zaraz na pierwszy rzut oka układ utworów. Zadziwienie to jest zupełnie usprawiedliwioném; atoli fakt zaznaczony daje się wyjaśnić dosyć łatwo. Jest on bowiem wypływem téjże saméj dążności, co i skrupulatne zachowywanie pisowni wydań pierwotnych. Ponieważ utwory Kochanowskiego, wyszłe w całości po raz pierwszy w Krakowie z drukarni Łazarza, uszykowane były w takim porządku; więc zdaniem komitetu wydawniczego nie wypadało go zmieniać, nie wypadało rozrywać tego, co tam było skupione. Przedrukowano więc najprzód zbiór znany w bibliografii, pod napisem „Jan Kochanowski“, a następnie dołączono do niego druki oddzielne: *Jezdy do Moskwy*, *Fraszek* i *Fragmentów*. Czy ta bojaźliwość w tykaniu wydań pierwotnych, a mianowicie owego zbioru, p. n. „Jan Kochanowski“, była wynikiem poszanowania woli poety? Ależ nie wiemy o tém napewno, czy Kochanowski sam zbiór powyższy układał. Wyszedł on wprawdzie rychło po jego śmierci, bo w r. 1585; możnaby więc było przypuszczać, iż już sam poeta przygotował je do druku. Tymczasem z przedmowy Januszowskiego, który się zajmował pierwszém owém zbiorowém wydaniem, wynika co innego. Mówi wprawdzie Januszowski, iż przed laty umawiał się z nim poeta o wydanie wszystkich swoich utworów, ale dodaje, że zamiar ten do skutku nie przyszedł. Daléj opowiada tenże Januszowski, iż dopiero po śmierci poety, żona jego „zebrawszy część rzeczy pisanych (tj. rękopismów) i tych co już w druku przedtym były“ posłała je do rąk Januszowskiego, aby „jedne przy drugich, wszystkie, *które wydać się godziły*, kosztem swoim na świat wydał“. Z tych słów jasno wynika,

że jeżeli wyborem pism miał się zająć Januszowski, to niewątpliwie i układ ich w pierwszém wydaniu zbiorowém do niego należy. Jeżeli tedy po trzystu latach zatrzymuje się porządek tego zbioru, to wyrządza się cześć nie Kochanowskiemu, ale Januszowskiemu. Szczególny to pietyzm... dla wydawców i drukarzy. Januszowski był zapewne i bardzo rozsądnym i bardzo wykształconym człowiekiem, aleź nie mógł przecież wiedzieć, jakie będą wymagania umiejętne względem wydań autorów w wieku XIX.

Komitet redakcyjny wydania pomnikowego odważył się na śmiałość wyjęcia z tego zbioru jednego utworu, mianowicie „Pieśni"; które przeniósł do tomu pierwszego; dlaczegoż zabrakło mu téj zbawiennéj śmiałości względem reszty zbioru, którą należało naukowo uporządkować; dlaczego wolał pójść za amatorstwem bibliograficznėm, zamiast za głosem umiejętnéj krytyki?.. Cały zbiór zatytułowany „Jan Kochanowski" należało uporządkować według zasady chronologiczno-rzeczowéj: oddzieliwszy prozę od poezyi, utwory poetyczne uszeregować chronologicznie, ponieważ prawie wszystkie dadzą się co do czasu oznaczyć, do poematów przyłączyć *Fraszki* i *Jezdę do Moskwy*; *Fragmenta* tylko, jako zbiór utworów, albo ułamkowych, albo ostatecznie niewykończonych, można było podać jako całość samę w sobie.

Nastaję na ten ważny punkt w kwestyi wydawniczéj, nie dla tego, ażeby mi sprawiało przyjemność wykazywanie usterek, popełnionych przez komitet redakcyjny, ale dlatego, ażeby jego powaga nie wprowadziła w błąd przyszłych wydawców. Zdawało się, że komitet redakcyjny wydania pomnikowego, mający tak wysokie kwalifikacye naukowe, stworzy w edycyi Kochanowskiego wzór, według którego wszystkie inne tego rodzaju przedsięwzięcia kierować się będą mogły. I istotnie pod wielu innemi względami komitet wzór taki pozostawi; ale co do układu utworów, pozostał on, niestety, na stanowisku dawnych, niekrytycznych wydawców-amatorów. W téj mierze naśladować go niepodobna.

A teraz przejdźmy do samych opracowań.

Najlepszemi z nich, najszczegółowszemi i najwięcéj światła rzucającemi na całość i szczegóły są: *Satyr* w obrobieniu p. Kazimierza Morawskiego, *Odprawa posłów greckich*, w opracowaniu p. Władysława Nehringa, *Jezda do Moskwy*, objaśniona przez p. Adolfa Pawińskiego i *Fraszki*, skomentowane przez p. Józefa Przyborowskiego.

Dla czytelników *Ateneum* nie będzie już nowością to, iż p. Morawski doszedł do ścisłego oznaczenia daty napisania *Satyra*, oraz wykazał nader blizki związek, zachodzący pomiędzy tym utworem

naszego poety, a mową Piotra Myszkowskiego, mianą na sejmie r. 1563; artykuł bowiem jego o tém pomieściło pismo nasze przed dwoma laty (1882, listopad). Nowém natomiast będzie i dla nich zestawienie satyry niemieckiéj i francuskiéj z polską w wieku XVI, oraz wskazanie, iż pod tąż samą datą, co *Satyr* Kochanowskiego, wyszedł wiersz dydaktyczny Ronsarda, w którym tak samo jak w *Satyrze* wspomniany jest Chiron jako nauczyciel Achillesa. Objaśnienia dodane do tekstu są obfite i pouczające; główny w nich nacisk na stronę wewnętrzną, treściową. Żałuję tylko, że nie mogę pochwały téj rozciągnąć do języka, jakim pisze p. Morawski; są w nim bowiem wyrażenia bardzo niepoprawne; nie mówi się przecież: „głos rozbrzmiewa *się* na komnatach“, a zamiast pisać o „dworza*ni*nach“ lepiéj—o „dworzanach“. Trudno téż zgadnąć, dlaczego wyraz Chiron pisze p. M. stale przez *y* (*Chyron*), gdy takiéj pisowni ani etymologia ani zwyczaj polski nie upoważnia. Że na str. 55 wydrukowano: Heironos hypothekai zamiast *Ch*eironos, należy to oczywiście poczytać za błąd drukarski, niesprostowany jednak w *Erratach.*

Odprawę posłów greckich poprzedził p. Nehring obszerną rozprawą, w któréj zestawił utwór Kochanowskiego z tragedyą starożytną, oraz ze współczesną poecie naszemu tragedyą włoską i francuską. Bardzo-to staranna praca i cenny przyczynek do poznania doniosłości dramatu naszego. Zajęcie się ogólniejszemi kwestyami nie dozwoliło autorowi śledzić szczegółowo, jakie wpływy starożytne działały na Kochanowskiego przy pisaniu *Odprawy*: dlatego téż ważném uzupełnieniem jego pracy jest rozprawka p. Kallenbacha, o któréj pisałem już poprzednio w *Ateneum.* Ze szczegółów zaznaczyć tu muszę, iż niezrozumiałém jest dla mnie, co autor mówi o dyalogu między Aleksandrem-Parysem a Antenorem (str. 83). Antenor w téj rozmowie wcale nie „ostrzega o nieszczęściu“, ale prowadzi spór z Parysem, dotyczący pytania, po czyjéj stronie stanąć mu wypada na radzie królewskiéj. Trudno téż mi odgadnąć, jakim sposobem znalazła się na str. 87 forma *stasimoi* zamiast *stasima.* Zamiast wyrażenia „skargi na odrodzenie się młodzieży od przodków, lepiéj było chyba użyć wyrazu: wyrodzenia się, gdy przymiotnika *odrodny* zwykle z przeczeniem tylko używamy (nieodrodny).

Jezdę do Moskwy opatrzył p. Pawiński ciekawym wstępem historycznym, wykazującym wartość do pewnego stopnia źródłową tego utworu. Zdaniem komentatora poemat ten „urósł na podstawie opisu sporządzonego przez kogoś, co sam *przyjmował* (!) udział w téj dalekiéj wyprawie wojennéj, a prawdopodobnie przez samego Radziwiłła; z tego téż powodu poemat nabiera wartości historycznéj, jako źródło do skreślenia dziejów téj pamiętnéj i ważnéj wyprawy“.

Zaniedbał tylko p. Pawiński podać krótkiéj oceny estetycznéj, która według programu wydawnictwa winna się we *wstępach* do utworów, mieścić. Błędném jest wyrażenie, znajdujące się przy końcu wstępu jakoby wiersze *Jezdy* od 159—169 „powtórzone dosłownie znajdują się w Epitalamium“. Ponieważ Epitalamium jest chronologicznie wcześniejsze, należało powiedzieć, iż w *Jeździe* są te wiersze z Epitalamium wzięte. Nie godziłbym się też na objaśnienie wiersza: „Nazajutrz, kiedy słońce z *morza* wychadzało“. P. Pawiński sądzi, że z *morza* znaczy z *jeziora pskowskiego*. Zdaje mi się, że wyrażenie to ma znaczenie ogólniejsze, a źródło jego w wyobrażeniach starożytnych, według których słońce zawsze się z morza wynurzało. Bardzo przykra, a niesprostowana jest omyłka w nocie 68, gdzie zamiast *Newel*, wydrukowano: *nawet* i tym sposobem sens całego zdania zepsuto, które, oprócz tego pod koniec, pod względem gramatycznym mocno szwankuje (*nawet* nad wielkim jeziorem, które strumień Jemienka łączy z rzeką Łowatem (!) ze trzech stron otaczającym zamek i miasto *zdobyty* w r. 1580). Niektóre nomenklatury pozostały nieobjaśnione; jeżeli ich nie można było odszukać dzisiaj, wypadało o tém ostrzedz czytelnika, jak to co do pewnych innych zrobiono.

Fraszkami Kochanowskiego zajmował się p. Przyborowski już oddawna, bo w pierwszéj swéj pracy, dotyczącéj naszego poety poddał je krytycznéj rewizyi co do ich oryginalności. Obecnie zaznacza, że z ogólnéj liczby Fraszek (294), o ile dotąd wykryto, szósta część, czyli fraszek 57 jest tłómaczona lub naśladowana z greckiego lub łacińskiego. Pochodzenie to wskazane jest pod odpowiedniemi fraszkami. Objaśnienia są dosyć skąpe; czytelnik słusznie skarżyć się niekiedy może, iż nie będzie miał wiadomości o ludziach wzmiankowanych w tém, co czyta. Na niektóre komentarze zgodzić się trudno. Tak np. fraszkę „do Jana“ odnosi p. Przyborowski do samego poety. Ależ zaraz pierwszy wiersz wskazaje dostatecznie, iż to być nie może. Wiersz ten brzmi: „Janie, mój drużbo“. Wyraz *drużba*, jak to sam p. Przyborowski o kilkanaście kart daléj (dlaczego nie w tém miejscu?..) objaśnia, znaczy: imiennik; a więc wiersz „do Jana“ odnosi się najwidoczniéj do imiennika poety, nie zaś do samego poety. Na pozór pomyłka to małoznacząca; w gruncie jednak ważna. Gdyby bowiem ktoś z wiersza tego, zrozumianego tak, jak go komentator przedstawił, wysnuł wnioski i odniósł do losów samego poety, popełniłby błąd i stworzyłby fałsz biograficzny, oparty niby na wyznaniu samego autora. Fraszki 92 (*Do Paniéj*), w księdze I, nie możemy uważać za sonet, gdyż jakkolwiek składa się z 14 wierszy, ma za dużo jak na sonet rymów, bo siedem, czego w sonecie nie bywa. W objaśnieniu końcowych wierszy fraszki I, w księ-

dze III zdaje mi się, że komentator szukał trudności tam, gdzie jéj wcale niema. Wiersze te brzmią:

Daléj co będzie? srebrne w głowie nici,
A ja z tym trzymam, kto co w czas uchwyci.

Ponieważ poprzednio poeta opowiedział swoje dotychczasowe, a wielce różnorodne losy, tak, że się do Proteusza porównał, naturalną chyba jest rzeczą przypuścić, iż przez srebrne nici w głowie rozumie poprostu siwiejące włosy. Tymczasem komentator w tych srebrnych niciach dostrzega „pomysły głowę poety zajmujące, z których jak z przędzy srebrnéj, wysnuwał swoje utwory“. Są téż tu ważne omyłki drukarskie, których nie sprostowano. Na str. 330, w zdaniu: „wolimy *dodatni* obraz ówczesnych, lubo nieco swobodniejszych obyczajów, niż blade i bezbarwne naszkicowanie jednéj tylko strony życia“, trzeba chyba czytać zamiast dodatni — *dosadny*, gdyż bez takiéj zmiany trudno znaczenie zdania pochwycić. Na str. 354 zamiast „dowcip polega na tym, że owéj pani legat oznacza tego, według rozumienia, który się chętnie wylega“ należy czytać: „d. p. n. t., że według rozumienia owéj pani legat o. t., ktory s. ch. w.“. Na str. 380 zamiast „*Józef* Glac“, należy czytać Just czy Jóst Glac..

Jeżelim tu dokładniéj trochę tylko o tych czterech opracowaniach wspomniał, nie znaczy to bynajmniéj, ażeby inne nie posiadały wartości. Owszem z wszelkiém uznaniem należy wspomnieć o wielce sumiennych objaśnieniach, danych przez p. Bądzkiewicza do *Proporca*“, o starannem porównaniu przekładu *Monomachia Parysowa* z oryginałem przez p. Bronisława Bieńkowskiego, o komentarzach p. Nowcy do *Marszałka i Zgody*, p. Wł. Niedźwiedzkiego do *Szachów*, *Brody*, *Wróżek*, p. Bronisława Grabowskiego do historyi o *Czechu i Lechu*, p. Loewenfelda do *Trenów* i *Carmen macaronicum*, p. Okołowa do *Fenomenów*, p. Plenkiewicza do *Muzy* (gdzie sprostował trafnie jedno wyrażenie we wszystkich edycyach błędnie powtarzane) i do *Omenu*, p. Tadeusza Włoszka do *Wykładu Cnoty* i rzeczy O *pijaństwie*, p. Floryana Łagowskiego do *Zuzanny* i *Fragmentów*, p. Kryńskiego do *Epitalamium*, p. Święcickiego do *Dryady Zamechskiéj*, p. Smolikowskiego do *Dziewosłęba* i drugiego *Epitalamium*. Prócz tego dodać trzeba, iż p. Wincenty Korotyński dał objaśnienie gry w szachy, a p. Józef Przyborowski do *Wzoru pań mężnych*.

We wszystkich tych opracowaniach widoczna jest dbałość o należyte wywiązanie się z przyjętego na siebie zobowiązania, wmyślenie się w utwory poety i staranie o zwięzłe objaśnienia. Niedopatrzenia się lub mniéj udatne objaśnienia zdarzają się tu naturalnie, ale nie są tak liczne, ażeby należało surowo je wytykać. Najgorsze

są chyba takie objaśnienia, które zaznaczają wątpliwości tam, gdzie ich wcale niema. Któż np. czytając następujące wiersze:

Ale na świecie, kto tak głupi żywie,
Żeby nie pragnął przejechać szczęśliwie,—

domagać się będzie komentarza. Tymczasem p. Łagowski widzi tu niejasność i dodaje do wyrazu *głupi* objaśnienie: „Tutaj spodziewalibyśmy się przysłówka *głupie, zamiast dzisiejszego głupio...*“ Niepoprawność wyrażeń wielu można darować; ale trudno się zgodzić z myślą, iż w wydaniu pomnikowém dzieł Kochanowskiego pozostanie takie wyrażenie: „Kupiłby *możność umrzeć* starym“ (str. 500). Inny znów komentator (p. Niedźwiedzki) do wyrażenia: uczynili primatem arcybiskupa gnieźnieńskiego“, dodaje objaśnienie: „*prymat*, wyraz utworzony od tematu łacińskiego primat — późniejszy *prymas*“, zapomniawszy, zapewne na chwilę, iż w wyrażeniu Kochanowskiego *primatem* jest *accusativus* formy łacińskiéj, nie zaś *ablativus* formy polskiéj. To znów w wyrażeniu „chybabyś chciał oratores *posły* wykładać“, formę *posły* bierze za narzędnik, gdy to jest widocznie biernik.

Skończmy z drobiazgami. Usterki szpecą zapewne wydanie pomnikowe; lecz wielkich jego zalet bynajmniéj nie przeważają.

P. Ch.

Przegląd Polski. Miesiąc sierpień 1884 w Krakowie str. VI, 193—496.

Jestto zeszyt pamiątkowy, cały poświęcony wyłącznie Kochanowskiemu i czasowi, w którym żył. Pięknie i poważnie przedstawia się z zewnątrz, zajmującemi i cennemi napełniony jest artykułami wewnątrz. Zdobi go najprzód fotodruk z portretu, którym mistrz Matejko przyozdobił salę Wystawy zabytków z czasów Kochanowskiego. Portret ten wykonany w duchu renesansu włoskiego nie przypomina wprawdzie rysów naszego wieszcza przekazanych przez pomnik grobowy ale wyobraża humanistę—poetę w pełni sił i zdrowia, lecz z pewną zadumą w świat poglądającego. Podpis pod tym konterfektem, jakoby z aktów Rzeczypospolitéj Babińskiéj wyjęty, iż „malarz Włoch w Czarnolesie farby udanemi imaginował pisarza zacnego, księciem poetów w Polonii zwanego,“ nie wiem, czy swoim charakterem maskaradowym odpowiada poważnemu nastrojowi 300-letniéj pamiątki zgonu, a błędem językowym (farby zam. farbami) zdradza aż nadto swoję nieautentyczność. Ostatni zaś wiersz podpisu (Cantor atque pictor totius Reipublicae), wzięty w znacze-

niu satyry babińskiéj, wygląda na żart z saméj roboty portretu, w rozumieniu prostém natomiast lepiéj żeby przez kogoś innego był napisany aniżeli przez autora portretu.

Wiersze „w rocznicę śmierci Jana Kochanowskiego“ rozpoczynające zeszyt a przez *T. W.* i *M. F. S.* napisane, są, niestety wierszami tylko a nie poezyą. Nie dopisuje nam ona dzisiaj wogóle; nic tedy dziwnego, że i przy rozpamiętywaniu rocznicy zgonu wielkiego poety nie ubłogosławiła twórców natchnieniem.

Z prawdziwą zato przyjemnością przechodzimy do prozy.

P. Antoni Małecki napisał i miał na publiczném posiedzeniu Akademii Umiejętnosci w dniu 28 maja r. b. wygłosić rzecz p. t. „Jana Kochanowskiego młodość.“ Okoliczności nie dozwoliły mu przybyć do Krakowa i zastąpił go w odczytaniu p. Estreicher; a redakcya „Przeglądu Polskiego“ pomieściła tę rozprawkę na czele prac poświęconych Kochanowskiemu. Na rozprawce téj znać oczywiście cechy jéj właściwego przeznaczenia; jest ona mową, mającą charakter raczéj pamiątkowy niż ściśle badawczy. Zebrał tu autor wszystko, co dotychczas o najwcześniejszych latach życia Jana odkryto i w piękną ułożył całostkę. Z domysłów autora zaznaczyć należy, iż pierwsze próby poetyckiéj twórczości Kochanowskiego gotów datować (podobnie jak p. Bronisław Chlebowski, lubo z innych motywów) już od krakowskiéj życia jego epoki, oraz że *Carmen macaronicum* skłonny jest poczytywać za zabytek z bujnéj studenckiéj pory pobytu we Włoszech. Jak wszyscy dotychczas tak i p. Małecki przyjmuje bez zastrzeżenia podanie, iż pieśń „Czego chcesz od nas panie za twe hojne dary“ pochodzi w takiéj formie, jak ją w Dziełach czytamy, z czasu studyów zagranicznych, a mianowicie z roku najpóźniéj 1555. Zwrócenie uwagi na doskonałość formy poetyckiéj w téj pieśni i zestawienie jéj ze znanemi utworami drukowanemi od r. 1562, w których i technika wierszopisarska i dykcya poetycka o wiele jest słabszą niż w owéj pieśni, byłoby ostrzegło, iż wieść o odczytywaniu jéj w przytomności Reja i Zamojskiego należy poddać ściślejszéj krytyce. Nie przecząc, iż pieśń podobna istotnie była napisana przez naszego poetę w owym czasie, należy przypuścić, iż miała inną formę, którą późniéj poeta udoskonalił a może zupełnie przelał. Przykład analogiczny mamy przecież w *pieśni o potopie*, która się przechowała i w pierwodruku i w późniejszéj przeróbce.

Za tą pracą idzie znów odczyt p. Wacława Gosztowta, miany na walném posiedzeniu Towarzystwa historyczno-literackiego w Paryżu dnia 3 maja r. b. Tytuł odczytu: „Poezya europejska XVI wieku w stosunku do Jana Kochanowskiego“ zapowiada, iż nie można od niego wymagać wyczerpania przedmiotu, iż przeciwnie będzie to

tylko ogólny zarys, a może tylko przypomnienie stanu literatury europejskiéj wieku XVI. Treść nie zadaje kłamu zapowiedzi tytułu. Jestto właściwie szkic literatury włoskiéj i francuskiéj z pobieżną wzmianką o hiszpańskiéj, angielskiéj, niemieckiéj i polskiéj. O stosunku tych literatur do Kochanowskiego mówi autor przygodnie względnie do tego, jaki poeta zdaniem jego wywarł lub nie wywarł wpływu na naszego wieszcza. Spodziewaliśmy się, że autor mieszkający we Francyi i znający zapewne dobrze literaturę francuską, powie coś gruntowniejszego niż dotychczas o domniemanym wpływie Ronsarda na Kochanowskiego. Niestety, doznaliśmy zawodu. Rozpowiada wprawdzie p. Gasztowt o plejadzie poetów ówczesnych to, co w każdym podręczniku literatury francuskiéj wyczytać można; zbyt śmiało (bo bez żadnego dowodu) przypuszcza, iż Kochanowski znał się z przedstawicielami téj plejady; ale nie stara się o głębsze zbadanie samego stosunku Ronsarda do naszego poety. Wprawdzie w przypisku podaje w całém brzmieniu odę Ronsarda do Kassandry i fraszkę Kochanowskiego *Na różą*, pomiędzy któremi zachodzi myślowe podobieństwo; ale zaraz sam wzmiankuje, iż zarówno Ronsard jak Kochanowski czerpali pomysły ze wspólnego źródła, z Antologii łacińskiéj. O kwestyi zaś ogólnéj wpływu Ronsarda to tylko podaje zdanie: „Nie pisma same Ronsarda, ale przedsięwzięcie nowatora literackiego uderzyło zapewne naszego poetę i pobudziło go do podobnegoż dzieła, w którém *nie z jego poezyi*, ale z tych samych co on czerpał źródeł, to jest wyłącznie z łacińskich i greckich.“ Druga połowa tego zdania jest niewątpliwie słuszna, ale pierwsza nie wytrzymuje krytyki. Jeżeli chodzi o to nowatorstwo, żeby według wzorów starożytnych pisać w języku ojczystym, to nie potrzebował Kochanowski brać przykładu z Ronsarda, gdyż o wiele wcześniéj zrobiono to we Włoszech, gdzie poeta nasz bawił wpierw niż we Francyi. Przykład zaś pisania w języku ojczystym miał już Kochanowski i w kraju własnym.—Ciekawą i nową jest wzmianka p. Gasztowta co do *Sobótki*. Powiada on: „Jeżeli w dziełach Kochanowskiego znajdziemy coś przypominającego z bardzo daleka dramat włoski, to chyba jego pieśń świętojańską o *Sobótce* porównamy z sielanką Jakóba Sannazara p. t. *Arcadia*; chociaż i tu więcéj czerpał z życia swojskiego, *jak* (zam. niż) z obcych wzorów“ (str. 230). Szkoda wielka, iż wzmianki téj, bodaj w przypisku, nie rozwinął i nie udowodnił.—Przytoczenie odpowiedzi Kochanowskiego na zaczepkę poety francuskiego Desportes, przełożonéj (zapewne przez p. Gasztowta) z łaciny na język francuski, nie wiem doprawdy, jaki ma cel w piśmie polskiém.

Po tych pracach ogólniejszego charakteru spotkamy się już tylko ze specyalnemi.

A najprzód odczytujemy bardzo interesujący i bardzo żywo napisany artykuł p. Kazimierza Morawskiego p. t. „Z życia towarzyskiego w epoce Zygmunta Augusta.“ Nie podobna mi tu streszczać bogatego materyału, jaki autor w szczupłych stosunkowo ramach zawrzéć potrafił; powiem tylko, że p. Morawski, nawiązując osnowę swéj pracy do rożnobarwnéj treści *Fraszek* Kochanowskiego, dał zarys obyczajowości wyższych stanów, jaka się pod wpływem włoskiego Odrodzenia w kraju naszemu za Zygmunta Augusta wyrobiła, a zarys ten oparty na faktach niewątpliwych, już to znanych, już to przez autora na jaw wydobytych, pełen jest życia i prawdy. Świeccy i duchowni, ziemianie i dworzanie, biskupi i mnisi, dostojne panie i kobiety podejrzanego życia, jadło i napój, biesiady i muzyka, rozmowy i tańce, trafne odpowiedzi i anegdoty: wszystko to jak we *Fraszkach* snuje się i roi, świadcząc na każdym kroku o bujności objawów żywota napół-zwierzęcego, napół-duchowego: „Zasklepiano się—powiada autor—we własnéj osobie i jéj (!) prywacie; zasklepiano się także w dniu bieżącym i jego sprawach. *Carpe diem*—używaj chwili—wołały dojrzałe i przejrzałe pokolenia starożytności, któréj dni były już policzone, i t*e* sam*e* (!) hasło z wskrzeszoną starożytnością przeniesiono na nasz grunt młodociany—przedwcześnie! Rozbrzmiewało ono w izbach szlachty i znalazło najwyższy swój wyraz w słynném dojutrkowstwie Zygmunta Augusta. Odrodzenie u nas rozbudziło indywidualności, a nie wzmocniło ani skrzepiło państwa; to téż stanowi jego świetną i nieszczęsną zarazem stronę“ (str. 278). Jaka szkoda, że ten piękny artykuł szwankuje pod względem języka i stylu! Gramatyka nie pozwala pisać t*e* bujne życie, t*e* dziwowanie się itp. Gramatyka również zakłada protest przeciw używaniu czwartego przypadku po słowach z przeczeniem; a więc nie: *co* tamtemu nie dostawało, lecz *czego* tamtemu n. d. Zwyczaj zaś językowy ostrzega, że giermanizmami są wyrażenia: „wśród rzemieślników co chwilę (dlaczego nie: co chwila?) włoskie nazwiska *powracają*“ (str. 276); „nie śmielibyśmy zaprzeczyć, że ta ciemna strona była większą i szerszą, ale *podnieść* nam wypada, że była inna“ itd. (str. 260). Stylistyka słusznie może się oburzyć na tak złączone zdania: „*Ale* te niepokoje o przyszłość gnębiły w chwilach skupienia i powagi; *ale* nie obejmowały ogółu“ (str. 255).

P. Michał Bobrzyński dał nam rozprawę określającą „Stanowisko polityczne Jana Kochanowskiego.“ Utworami, z których głównie wysnuł swe wnioski są: *Zgoda*, *Satyr* i *Wróżki*. Wykazuje, że *Zgoda* jest parafrazą mowy Filipa Padniewskiego, mianéj 23 listopada 1562; o *Satyrze* zaś wiadomo z pracy p. Morawskiego, iż jest podobną parafrazą mowy Piotra Myszkowskiego z r. 1563. Oba utwo-

ry, zdaniem p. Bobrzyńskiego, „dadzą się może łatwiéj wytłómaczyć ze stanowiska tych, którzy im dostarczyli treści, niż ze stanowiska tego, który im użyczył poetycznéj formy.“ Co do *Wróżek*, których napisanie na r. 1569 naznacza, a w których też same myśli polityczne, co i w dwu wspomnianych utworach, są rozwinięte, p. Bobrzyński widzi się zmuszonym do następnego wyznania: „*Wróżki* są dla nas nie tylko ciekawym i ważnym komentarzem do *Satyra* i *Zgody*, lecz zarazem są nam cenném świadectwem, że Kochanowski przejął się naprawdę myślami politycznemi Padniewskiego i Myszkowskiego i mimo różnicy stanowiska i osobistego interesu, w zupełności je sobie przyswoił.“ Wyszukuje więc wspólnéj podstawy, która tych ludzi z sobą łączyła, która pogląd polityczny podkanclerzych uczyniła rzeczą dostępną i przemawiającą do umysłu młodego poety. Podstawę tę wspólną widzi w ukształceniu humanistyczném. A wykazawszy wpływy autorów, klasycznych na poglądy polityczne Kochanowskiego, kończy ustęp ten słowami, prostującemi to, co poprzednio wyrzekł: „Jest więc Kochanowski w utworach swoich politycznych tłómaczem *nie tyle* mów Padniewskiego i Myszkowskiego, jak humanizmu, który dla owych mów jest również podstawą i źródłem.“ Program Padniewskiego i Myszkowskiego potępia autor ze swego stanowiska surowo, nazywa go „smutnym i jałowym“; ale Kochanowskiego sądzi pobłażliwiéj; bo „tajników polityki ówczesnéj zbadać, sprężyn istotnych rozpoznać, warunków praktycznych ocenić nie mógł poeta, który w czynnéj polityce żadnego nie wziął udziału i wkrótce do wiejskiego schronił się zacisza.“ Według autora Kochanowski „kwestyj ściśle politycznych właściwie nie dotknął, na polu etyki społecznéj się zatrzymał. Widział wiele objawów złego trawiącego rzeczpospolitą, i z odwagą je społeczeństwu odsłaniał. Mówił prawdę bez ubocznych względów, z głębi przekonania, w poczuciu swego wobec ojczyzny obowiązku. Podniósł wiele myśli prawdziwie pięknych, z których nie jego było rzeczą wyciągać praktyczne, polityczne wnioski. W swoim zakresie dał przykład pogodzenia dwóch czynników nowszéj cywilizacyi: humanizmu i chrześcijaństwa; budował tém samém *podstawę, na któréj inni powinni byli wznieść gmach polityczny*“ (str. 301). Zestawiwszy te pochlebne zdania z potępieniem stanowczém programu Padniewskiego i Myszkowskiego, trudno opędzić się myśli, iż albo autor zanadto był surowym w ocenie tego programu, albo też zanadto ustępstw dla jubileuszu Kochanowskiego porobił.—W ostatniéj części swéj rozprawy p. Bobrzyński z wielkiém uznaniem mówi o zachowaniu się Kochanowskiego podczas bezkrólewia i za czasów Stefana Batorego. Z liryków łacińskich, z *Odprawy posłów*, z *Dryady* i z innych utworów

zaznacza ustępy, w których poeta pragnie silnego rządu, karci zniewieściałość i zepsucie młodzieży, zagrzewa nie tylko do obrony, ale i do wojny zaczepnéj. Na to, co w téj części mówi autor, w zupełności zgodzić się można; dodałbym tylko, że owo nawoływanie do obudzenia w sobie ducha rycerskiego, które tak się podoba p. Bobrzyńskiemu w *Odprawie Posłów*, istnieje również w *Satyrze*, a jednakże tam zostało przezeń skrytykowaném. Zdaje się, że ten właśnie rys poglądów Kochanowskiego należało uwydatnić, jako wspólny jego młodości i wiekowi dojrzałemu.

P. Maryan Sokołowski z okazyi Wystawy zabytków z czasów Jana Kochanowskiego, przedstawił wielce nauczający artykuł „O wpływach włoskich na sztukę Odrodzenia u nas.“ W pierwszym ustępie mówi o budownictwie naszém w wieku XVI i o budowniczych Włochach. W streszczeniu powiada, że „architektura i sztuka na naszéj ziemi, zapożyczając najlepsze swe siły we Włoszech, czerpała je zawsze w tych źródłach, które w danym momencie najgłówniejszą i najwybitniejszą w nich grały rolę. Na początku XVI wieku we Florencyi i Syenie, ku środkowi stulecia we Włoszech północnych, w Weronie i Padwie, w drugiéj połowie—we Florencyi znowu, a pod koniec—w Rzymie.“ W drugim ustępie rozpowiada o zabytkach malarstwa, o portretach naturalnéj wielkości, o miniaturach, medalach pamiątkowych, o przemyśle artystycznym (stolarstwo, złotnictwo, oprawa książek), o drzeworytach. Wreszcie wskazawszy, iż artystami u nas byli cudzoziemcy, nie każe się tém gorszyć i tak określa stosunek naszych przodków do świata artystycznego: „Pradziadowie nasi nie wchodzili w estetyczne subtelności, w swéj surowéj jeszcze prostocie, ale byli w stanie zrozumiéć, co piękne, i podnieść nastrój swych uczuć do wyższego ideału.“ Ogólnik-to nie wiele mówiący; ale bo téż wartość pracy p. Sokołowskiego, nie na zdaniach ogólnych, ale na wyjaśnieniu szczegółów polega.

P. Stanisław Tomkowicz dał notatkę p. n. „Kochanowski i poeci niemieccy XVII wieku.“ Zawiera się tu przytoczenie znanego wśród pracowników na polu literatury ustępu z dzieła Gervinusa o tém, iż Kochanowski wpływał na poetów niemieckich wieku XVII, oraz nieznanéj, przynajmniéj dla mnie książki Zinkgrefa: Apophthegmata z r. 1628—1631, gdzie również wzmianka o Kochanowskim się znajduje, lubo w samych apoftegmatach niema śladu, żeby z naszego poety Zinkgref coś zaczerpnął. Relacya znanych rzeczy o Marcinie Opitzu kończy tę notatkę.

Ks. Ignacy Polkowski dostarczył rękopism poematu Kochanowskiego: *Zgoda*. Jest-to widocznie odpis i to odpis bardzo błędny. Przy bliższém badaniu może okazać się użytecznym.

Pod tytułem „Studya pomniejsze przez uczniów Uniwersytetu Jagiellońskiego“ mieści się cztery rozprawki. Najprzód zajmująca wielce „Geneza fraszki Kochanowskiego do Anny“ wykazana przez p. Jana Bystronia, który bardzo zręcznie zestawił wpływ Katulla i Safony na utworzenie tego utworu a nadto rzucił trafny domysł, w jaki zewnętrzny sposób mógł Kochanowski wpływowi temu uledz (w weneckiém wydaniu Katulla z r. 1554 oryginał grecki jest wydrukowany obok przeróbki łacińskiéj).—P. Jan Pawlikowski podał wyciąg z obszerniejszéj owéj pracy, w któréj wykazuje stosunek Kochanowskiego w elegiach łacińskich do Tybulla.—P. Józef Kallenbach przedstawił interesujący artykulik o „książce ofiarowanéj Grzepskiemu przez Kochanowskiego.“ Książka ta—to tragiedye Seneki w wydaniu bazylejskiém z r. 1541. Na zewnętrznéj stronie okładziny znajduje się „starannie napisany“ czterowiersz z podpisem J. K. Treść czterowiersza utwierdza w domyśle, na który naprowadzają litery podpisu: Oto ten czterowiersz:

Dum mihi tam magnus late peragrabitur orbis,
Hoc tibi perpetui pignus amoris erit,
Exigui, fateor, sed tu, charissime Grebsi,
Quantulacumque animo dona metire meo.

Frazeologia tego wiersza, jak wykazuje p. Kallenbach, przypomina wyrażenia, używane przez Kochanowskiego w poezyach łacińskich. Ponieważ, jak z osnowy wiersza wypada, powstał on przed odjazdem Jana za granicę, byłby to najwcześniejszy zabytek twórczości jego z dosyć pewną datą 1550—1. Inne notatki na okładzinach mają daty 1551, 1552.—P. Gustaw Blatt streścił swoje „Spostrzeżenia nad językiem Jana Kochanowskiego“. Z nich okazuje się, że język poety czarnoleskiego, zwłaszcza w zakresie deklinacyi, przedstawia jeszcze liczne starsze formy, które żywo przypominają język zabytków XIV i XV wieku; że jednak obok nich napotykamy już *nowotwory analogiczne*, stanowiące niejako przejście do dzisiejszego języka piśmiennego; w jednych kategoryach gramatycznych występują one jeszcze sporadycznie, tak, iż stanowią dopiero zawiązek nowych procesów; w innych dorównywają już liczebnie formacyom starszym, lub je nawet przewyższają (str. 376).

Pod koniec zeszytu pomieszczono obszerną rozprawę p. Stanisława Tarnowskiego p. t. „Co u nas o Kochanowskim pisano.“ Jestto, jak autor skromnie powiada, inwentarz artykułów i opracowań, jakie się przez ciąg lat trzystu u nas nagromadziły w kwestyi życia i twórczości Jana z Czarnolasu. Inwentarz to bardzo sumienny, jakkolwiek wyczerpującym nazwać go nie można, gdyż bez podejmowania

nawet osobnych studyów przypominamy sobie drobniejsze prace w nim pominięte. W każdym razie jestto praca bardzo pożądana, gdyż niewiele mamy tego rodzaju zestawień w piśmiennictwie naszém. Rezultat z rozprawy téj wynikający, jest ten, iż w przeciągu ostatnich lat dwudziestu kilku więcéj zrobiono względem Kochanowskiego, aniżeli przez poprzednie stulecia, że już wiele dokonano, ale jeszcze więcéj dokonać przyjdzie. Na sądy autora o pracach nad Kochanowskim po większéj części zgodzić się można w zupełności; na uszeregowanie tych prac—o wiele mniéj. Nie myślę tu jednak roztaczać moich wątpliwości; zaznaczę tylko jeden błąd, który trudno pominąć milczeniem, gdy jest mowa o artykule historyczno-literackim pisanym przez historyka literatury. P. Tarnowski nie zajrzawszy do bibliografii, sądzi że w r. 1843 wyszły wszystkie trzy tomy *Listów z Krakowa* i pod tą datą mówi o sądzie Kremera dotyczącym Kochanowskiego, gdy sąd ten znajduje się w tomie trzecim, który po raz pierwszy wyszedł dopiero w 13 lat potém tj. 1856.

Sprawozdanie p. Ludwika Ćwiklińskiego o Zjeździe historyczno-literackim imienia Kochanowskiego odbytym w Krakowie w końcu maja r. b. zamyka ten pamiątkowy zeszyt „Przeglądu Polskiego,“ który dla wszystkich pracujących nad wiekiem XVI nader miłym będzie upominkiem. Wyszedł on także jako książka oddzielna.

P. Ch.

Ferdynand Bostel, Zakaz Miechowity.—Odbitka z Przewodnika Naukowego i Literackiego. we Lwowie 1884.

Pierwsza znana konfiskata w naszéj literaturze dotknęła pierwsze dzieło historyczne, jakie okazało się z druku. Była to kronika Miechowity czyli Macieja z Miechowa, wydana nakładem Josta Ludwika Decyusza, u Hieronima Wietora w Krakowie w r. 1519. Dopiero w trzy lata późniéj pozwolono puścić w obieg drugie wydanie dzieła po dokonaniu rozmaitych zmian szczególniéj w ostatniéj części, obejmującéj lata od 1480 do 1516 roku. Zakaz pierwszej edycyi był tak ściśle wykonany, że niebawem zapomniano o jéj istnieniu; nie widział jéj prawdopodobnie nawet Kromer, kreślący dzieje polskie w połowie XVI wieku; nigdzie przynajmniéj ani on ani Bielski nic o niéj nie wspominają; niema téż śladu aby z niéj korzystali. Dopiero w ostatnich czasach odnaleziono jeden egzemplarz wydania z r. 1519 u Karmelitów we Lwowie, drugie nabyła w r. 1870 biblioteka Jagiellońska. Odtąd zwrócono uwagę na różnicę wydań; Szujski wydał część od r. 1480 w 2-gim tomie *Scriptores rerum polonicarum*

oznaczając odmiennym drukiem miejsca zmienione (jak się jednak okazało wywiązał się z téj pracy bardzo niedokładnie); wiele trafnych uwag poczynili: dr. Hirschberg w rozbiorze kroniki Decyusza a Stanisław Lukas w rozprawie o podługoszowéj części Wapowskiego.

Wyczerpujące jednak i dokładne zbadanie całéj kwestyi nadzwyczaj ciekawéj nie było jeszcze dokonane. Ciekawą zaś ze wszech miar i ważną była historya téj pierwszéj konfiskaty i dla dziejów epoki, objętéj opowiadaniem Miechowity i dla dziejów czasu, w którym dokonano konfiskaty, dla stosunków ówczesnych politycznych i literackich. Zakaz wyszedł wprawdzie w imieniu króla, ale wydawca Decyusz napomknął w przypisku do drugiego wydania, że „niektóre rzeczy dodane, niektóre wyrzucone zostały na rozkaz *senatu*. Któż więc był właściwym sprawcą konfiskaty; król czy senat? w czyim głównie podjęta była interesie, kogo pierwsze wydanie obrażało? A daléj jakie to były zmiany, które porobiono w r. 1521, w jakim je zrobiono celu; czy to może były zmiany na lepsze czy raczéj naruszały z gruntu prawdę dziejową? Pytania te łączą się wzajem i bez wspólnego ich rozpatrzenia dojść do pewnych rezultatów nie było można. Potrzeba było naprzód raz jeszcze troskliwie obadwa wydania porównać, każdą zmianę gruntownie zbadać, a nadto poznać dokładnie chwilę konfiskaty, stronictwa polityczne w kraju, aby na jakikolwiek pewniejszy wpaść domysł.

Trudnéj téj pracy podjął się p. Ferdynand Bostel, jeden z najmłodszych uczniów profesora Liskego, i powiedzmy z góry wywiązał się z niéj znakomicie. Oprócz niniejszego studyum ogłosił autor dotychczas, o ile wiemy, tylko obszerniejszą rzecz o przeniesieniu lenna pruskiego na dom brandenburski, także w Przewodniku naukowym i literackim z r. 1883. Obiedwie rozprawy wykazują obok studyów gruntownych jasne i zajmujące ujęcie przedmiotu i zapowiadają w p. Bostlu siłę bardzo pożyteczną dla naszego dziejopisarstwa.

Konfiskata Miechowity nie pociągnęła za sobą, jak to się dzisiaj dziać zwykło, zniszczenia całego dzieła. Losowi temu uległy tylko karty od strony 347 do końca, a nadto jeszcze, jak to pierwszy na to zwrócił uwagę autor niniejszéj rozprawy, karta 287/8, w któréj miejsce wszyto inną. Opowiadał na niéj Miechowita o znanym procesie królowéj Zofii ostatniéj żony Jagiełły, posądzonéj o niedozwolone stosunki z kilku senatorami; odpisał wprawdzie rzecz całą z Długosza, ale dzieje Długosza zalegały dotąd w rękopisie, drukowana zaś kronika Macieja przechodziła w ręce ogółu. Nie pomogło nic, że autor jéj zastrzegł się z góry, iż obwinieniu nie daje wiary, że wi-

dział portret Władysława Jagiełły i znalazł, iż Kazimierz był do niego zupełnie podobny. Władza wyrzuciła cały ten ustęp, zapewne w interesie samego króla, który nie mógł znieść myśli aby niechętni wyprowadzali z kroniki obelżywe dla jego pochodzenia wnioski.

Reszta zmian odnosi się do panowania Olbrachta i Aleksandra. Najbliższa z rzędu dotyczy saméj elekcyi Olbrachta. Nastąpiło wtedy smutne rozerwanie unii Litwy z Polską, bo Litwini nie oglądając się na Koronę wybrali sobie sami czemprędzéj księciem Aleksandra. Niechciano przypominać tego separatyzmu, by zły przykład przeszłości nie podziałał na przyszłość. Rozkazano więc kronikarzowi dodać, że wybór dokonany był „po myśli i woli Kazimierza który umierając objawił Litwinom takie życzenie.“ Oprócz tego występował przy elekcyi Olbrachta w Polsce po raz pierwszy jako kandydat do korony Zygmunt, poparty przez książąt mazowieckich, Zbigniewa Oleśnickiego i przez rody herbu Róża i Topór. Miało już prawie przyjść do bratniéj krwi rozlewu; dopiero pomoc Elżbiety matki królewiczów na rzecz Olbrachta spowodowała Zygmunta do cofnięcia się. Przypomnienie tych zajść było widocznie królowi nie na rękę—polecono rzecz tak przedstawić, że to tylko pozornie popierali Zygmunta Toporczycy i inni, w istocie zaś chcieli oni przeprowadzić wybór księcia mazowieckiego. Ta zmiana była także prawie na pewne w interesie samego króla.

To samo da się powiedzieć o zjeździe w Lewoczy, z r. 1497, podjętym przeważnie w celach dynastycznych, przedstawionym w 2-giem wydaniu w fałszywém świetle, bo jakoby celem jego była wyprawa na Turków i pomszczenie śmierci Władysława Warneńczyka. Także sam opis wyprawy z r. 1497 uległ odpowiednim zmianom: klęska stała się nie tak dotkliwą, wróżb złych było o wiele mniéj, o niezabezpieczeniu powrotu wojska niema mowy wcale, a winę nieszczęścia zepchnięto na rady znienawidzonego Kallimacha. Opowiadanie o nieporadności rządu i władz podczas pożaru Krakowa w tymże roku, kiedy to posłowie tureccy opuścili Kraków, nie wyczekując nawet odpowiedzi królewskiéj i nazywając naród polski „głupim, nieporadnym i gminnym“ a daléj o skutkach częstych napadów tatarskich, opuszczono lub zredukowano do bardzo małych rozmiarów.

Panowanie Aleksandra jeszcze gruntowniejszym podlega zmianom, bo je pierwotnie autor określił zgodnie z prawdą w barwach rażącéj bezradności i niedbałości; a więc inaczéj opisano wyprawę na Moskwę, z r. 1500, która spełzła na niczém, stanowisko Władysława króla Czech i Węgier, który wedle najpewniejszych świadectw sam chciał zostać królem i tronu bratu bynajmniéj dobrowolnie nie ustępował, i w końcu sprawę Szach-achmeta, którego mimo przyjaźń

i traktaty po zawarciu przymierza z jego przeciwnikiem Mendligerejem długo i niesprawiedliwie więziono. Ustęp, którym piętnował to postępowanie Miechowita w pierwszém wydaniu wołając: „O sroga okrutności, więzić przyjaciół i związanych sojuszem“, ustęp ten został w drugiém opuszczony.

Te i inne drobniejsze zmiany wykazawszy, zapytuje p. Bostel, kto właściwie mógł je spowodować, w czyim najbardziéj leżały interesie? Jest to najciekawsza część rozprawy.

Autor po raz pierwszy stawia mianowicie twierdzenie i popiera je dowodami, że to głównie arcybiskup gnieźnieński Jan Łaski i jego partya byli powodem zmian, że jego to zabiegom, jako kanclerza potępionych przez kronikarza rządów, zawdzięcza dzieło konfiskatę. Znaczenie Łaskiego i wpływ jego na opisane fakty mało uwidocznione w pierwszém wydaniu obszernie uwzględnia drugie. „Występuje on w 2 wyd. jako ideał męża stanu, jako wcielona mądrość i zacność charakteru; jest on duchem opiekuńczym, aniołem stróżem Aleksandra. On łagodzi gniew królewski przeciw panom litewskim i grozi, że powróci raczéj do Królestwa, niżeli miałby być obecnym zbrodniczemu błędowi króla itd.“ Nie tylko jednak o sobie pamięta Łaski w poprawkach 2 wydania, o krewnych, znajomych swoich wprowadza zmiany korzystne. Aż pięć wypadków takich naliczył autor.

Przyznajemy chętnie, że p. Bostel przekonał nas temi dowodami, że w interesie Łaskiego i jego stronników, znajomych i krewnych dokonano zmian większéj części 2-go wydania. Nie możemy jednak zgodzić się z nim, aby z jednego wyrażenia pod r. 1497 iż „szlachta uchwaliła odtąd królów nie puszczać na wojny przeciw Turkom“ wywnioskować, że zmiany w ogóle nie wprowadzono w interesie lub z rozkazu króla. Podnieśliśmy umyślnie poprawki, które na pewne z powodu króla nakazano. Zresztą przypomnieć także wypada, że podobne wyrażenie wówczas nawet mogło leżéć w interesie korony, która, w obec nalegań posłów węgierskich i austryackich, chciała usposobić naród przeciw wyprawie na Turka.

Autor w ogóle z góry postawił sobie tezę, że Miechowita tak uczciwy, tak dobroczynny, po żywocie tak chwalebnym, nie mógł sam, choćby z rozkazu, przyłożyć ręki do drugiego wydania, do ohydnych poprawek, może w jakiejś części prawdziwych ale w ogóle z sumieniem historyka niezgodnych.

I my radzibyśmy także postać akademika krakowskiego zachować piękną i nieskalaną, ale dotąd nie mamy żadnych dowodów, że na zmiany nie zezwolił. Dziwném zdaje mi się argumentowanie auto-

ra, że „dopóki niebędziemy mieli pewnych wiadomości, nie możemy poprawek 2-go wydania Miechowicie przypisywać.“ Dla mnie rzecz się ma przeciwnie. Dopóki nie mam dowodu, że Miechowita, którego imię wydrukowane na tytule dzieła, na zmiany nie zezwolił, dopóty czynię go za nie odpowiedzialnym, przynajmniéj o tyle o ile odpowiedzialnym jest człowiek, który nie potrafi dla prawdy ponieść prześladowania i ugnie się przed przemocą. Miechowita zajmował ważne stanowisko, był kilkakroć rektorem akademii, był lekarzem królewskim; imieniem jego pewnie nie było wolno bezkarnie rzucać. Nie słyszymy tymczasem wcale ani o jakimkolwiek proteście z jego strony lub choćby skardze, nie traci niczyich względów, żyje daléj w pokoju. Tak nie robią męczennicy za prawdę. Już to chyba na karb sentymentalizmu policzyć należy autorowi jeżeli domyśla się i po dwakroć powtarza, że „kto wie czy los kroniki nie wpłynął na skrócenie jego żywota“ (str. 12 i 53) tj. że po *dwóch* latach po dokonanéj konfiskacie w 66-ym roku życia umarł. Motto które Miechowita położył na czele swéj kroniki, że „nikt ze zdrowym rozsądkiem nie hańbi swéj ojczyzny i nie kala swego gniazda oszczerstwami i niezgodnemi z prawdą pismami, lecz walczy za nią i wyświeca przed obcymi, co jest szlachetne i sprawiedliwe“ niczego nie dowodzi, bo znajdowało się już na pierwszém wydaniu i da się chyba tłómaczyć ogólnie wówczas przyjętą zasadą fałszywą, że w interesie swéj ojczyzny nawet coś zamilczyć złego nie jest grzechem dla historyka. Nie nazywamy oczywista bez dowodu Miechowity „fałszerzem dziejów,“ ale drugie wydanie kroniki „mianem fałszerstwa“ nazwać się godzi, sam autor mówi na str. 33, że jawnie w niéj występuje „fałsz i tendencyjność.“

Jeszcze kilka usterek chcielibyśmy wytknąć autorowi. W wyliczeniu dzieł Miechowity powołuje on się często na Chodynickiego Dykcyonarz uczonych Polaków. Jest to źródło nie dające żadnéj rękojmi; bo Chodynicki żadnych studyów oryginalnych nie robił i po prostu przepisał wszystko z innych dzieł. Ustęp na str. 13 mający oznaczyć czas zredagowania kroniki nie ma żadnéj wartości, jeżeli nie posiadamy rękopisu oryginalnego autora, bo wszystkie zdania odnoszące się do późniejszych zdarzeń mógł autor dodać, choćby w korekcie.

Jan Polak (o którym autor pisze na str. 30) był rzeczywiście identyczną osobistością z Janem Karnkowskim. Wspomina o nim pierwszy nie Bielski ale Kromer, który miał wiadomość od Karnkowskiego biskupa kujawskiego.

Przeciwnie uwagę o radach Kallimacha (na str. 28), że tak jak do nas przeszły są zmieszane prawdziwe z podrobionemi, uważamy za bardzo trafną.

L. F.—l.

Gmina i wojt. — Rukowodstwo dla czinow ujezdnoj administracij i dla gminnych wojtow, upołnomoczennych, pisarej i dr. dołżnostnych lic gminnaho samouprawlenia w gubernijach Carstwa Polskaho. — Sostawił i izdał Czinownik osobych poruczenij pri Warszawskom Gubernatorie N. Maewskij. Warszawa. 1884. (8⁰, str. 136. LXXII i 44.)

Pod powyższym tytułem opuściła niedawno prasę w języku urzędowym książka, która ze względu na przedmiot, jakim się zajmuje, na bliższy zasługuje rozbiór. Gmina, jako najpierwsze ogniwo administracyi, a nadto, jako jedyna niemal instytucya ogólno - społeczna, pozostawiona w rękach ludności miejscowéj, powinna baczną na siebie zwrócić uwagę. Niestety jednak, obok luźnych artykułów i rozpraw, literatura nasza nie posiada dotąd pracy, któraby traktowała o cało-kształcie życia gminnego. Do niedawna władze gminne nie miały nawet żadnego drogowskazu, którym-by kierować się mogły przy spełnieniu różnorodnych, a zawiłych swych czynności. Po ukazaniu się w roku zeszłym pierwszéj próby w tym rodzaju w języku polskim, literatura rosyjska przynosi nam z kolei drugą. Niestety jednak, pierwszy zarzut, jaki zrobić musimy, dotyczy właśnie języka książki. Jako z natury swéj przeznaczona głównie dla władz, rekrutujących się po większéj części ze sfer włościańskich i małomiejskich, powinna-by przynajmniéj obok tekstu urzędowego polskie obejmować tłómaczenie. Trudno wymagać aby ledwie piśmienni wojci zrozumiéć mogli przepisy, jedynie w języku urzędowym ogłoszone, témbardziéj, jeśli jak autor książki tego pragnie, ma ona być podręcznikiem dla instytucyj gminnych.

Pomijając pewną, we wstępie zawartą, niedokładność, iż książka, przez autora wydana, nowość zupełną stanowi, przechodzimy wprost do rzeczy. Podręcznik dzieli się na 4 części: pierwsza obejmuje organizacyą gmin wiejskich i gromad wiejskich; druga zawiera szczegółowy spis obowiązków wójtów gmin; część III zatytułowaną jest „dodatki", część IV wreszcie zawiera spis alfabetyczny gmin wiejskich w królestwie Polskiém. Pomimo pozornego rozdzielenia przepisów, w podręczniku zawartych, na odnoszące się do organizacyi gmin i na dotyczące obowiązków władz gminnych, w rzeczywistości segregacya ta ściśle przeprowadzoną nie jest. Niezmiernie ważne przepisy o szkołach początkowych i o kasach zaliczkowych, zamieszczone są w części pierwszéj i to w rozdziale, obejmującym

dodatki. Dalej w części III dodatkowej znajdujemy również doniosłego znaczenia przepisy o podziale obowiązków i praw między strażą ziemską, a burmistrzami a wójtami, dalej przepisy o transportowaniu aresztanttów. Jeśli z takiego pomięszania przepisów czynimy zarzut, to naprzód dlatego, iż porządek taki uwłacza stronie formalnej, a powtóre, iż uniemożliwia oryentowanie się, szczególniej tak słabo rozwiniętym czytelnikom, jacy rekrutować się mają z pośród urzędników gminnych. Właśnie ze względu na tę sferę należało jak największej ścisłości przestrzegać.

Drugi zarzut formalny, jaki rzuca się w oczy, jest ta okoliczność, iż autor wprowadził dowolną numeracyą paragrafów, niezgodną z artykułami pojedyńczych przepisów. Ponieważ podręcznik p. Majewskiego miał na celu objęcie praw i rozporządzeń, w obrębie gmin obowiązujących, to należało ściśle się tego trzymać i systematyzując te przepisy, powoływać odnośne ustępy pojedyńczych ustaw przy zachowaniu właściwej numeracyi. W taki tylko sposób umożliwiłby autor korzystanie z książki przy czynnościach urzędowych, gdzie niezbędną jest *dosłówna* znajomość tekstu.

Częściowo uwzględnił ten warunek p. M.; tak np. ustawę o kasach zaliczkowo-oszczędnościowych przytacza w dosłownem brzmieniu. Wreszcie najważniejsza wada ogólna podręcznika jest pominięcie bardzo wielu obowiązujących przepisów. Zarzut ten, który poniżej uzasadnimy, poddaje w wątpliwość doniosłość książki. Gdyby zbiór, przez autora wydany, był pierwszym, brak powyższy byłby usprawiedliwiony. Obecnie jednak druga z kolei próba, jaką jest książka p. M., powinna-by obejmować rozporządzenia w polskim podręczniku opuszczone. Inaczej cel jest chybiony. Szczegółowy rozbiór pojedyńczych rozdziałów usprawiedliwi ten zarzut.

Rozdział 1-szy, traktujący o składzie gmin i ich zarządzie, pomija niezmiernie ważną instrukcyą, zawartą w cyrkularzu członka komitetu urządzającego, z d. 9 stycznia 1865 r., iż książki do zapisywania uchwał gminnych mogą być prowadzone w języku polskim, w języku rosyjskim zaś tam tylko, gdzie rosyanie stanowią większość mieszkańców gminy. Jak wiadomo, w rzeczywistości przepis ten nie jest stosowanym, gdyż wszędzie prawie wymienione książki prowadzą się w języku urzędowym, co jest niezmiernie szkodliwem dla interesów gminy. Podpisujący decyzyą powinien znać jej treść, zwłaszcza, że uchwały gminne obejmują sprawy, dotyczące wszystkich dziedzin życia gminnego. Ztąd opuszczenie tego przepisu w obec powołania zresztą rzeczonego okólnika, stanowi bardzo ważny brak.

Przepisy, odnoszące się do wójta gminy i sołtysów, rozrzucone w kilku miejscach. Rozporządzenia, dotyczące mianowania wójtów

znajdują się w rozdziale osobnym, gdy tymczasem ten ostatni poprzedzonym został przez przepisy, traktujące ogólnie o czynnościach wójtów. P. M. przytaczając rozporządzenie, wzbraniające wójtom pełnienia innych obowiązków urzędowych, pomija przepisy, zakazujące im zajmowania się niektóremi czynnościami prywatnemi. Tu należy utrzymywanie szynków (post. z d. 5 grudnia 1864 roku) i pełnienie obowiązków nauczycieli, lub kantorów w parafiach ewangielickich (cyrkularz z d. 5 sierpnia 1864 r.).

W rozdziale o pełnomocnikach gminnych, autor nie przytacza przepisu, dotyczącego wyboru plenipotentów, obowiązki których, odmienne od czynności pierwszych, ściągają się do załatwienia danéj ściśle określonéj sprawy. Należało w tem miejscu o pełnomocnikach prywatnych pomówić, aby ustalić w umyśle czytelnika różnicę między nimi, a urzędnikami gminnymi, powołanymi przez rozporządzenie prawodawcze z d. 22 grudnia st. s. 1879 r. Nadto przepisy o mianowaniu i wyborze pełnomocników zamieszcza p. M. w rozdziale o mianowaniu urzędników gminnych w ogóle, gdy przecież ukaz z r. 1879 obejmuje specyalne co do tego przedmiotu rozporządzenia. Jest to znowu przeszkoda w należytém oryentowaniu się i zobrazowaniu całéj téj instytucyi.

Z wykładu rozporządzeń, dotyczących pisarza gminnego, trudno nabrać przekonania, czy urzędnik ten musi znajdować się w każdéj gminie, czy téż nie pochodzi to z przyczyny pominięcia art. 11 ustawy, podług którego gminy mogą mieć osobnych pisarzy gminnych, w *razie uznanéj potrzeby*.

Pan Majewski pomija daléj ważny bardzo cyrkularz członka, zawiadującego czynnościami komitetu urządzającego, z d. 17 (29) maja 1874 r., a dotyczący tranzlokowania pisarzy przez naczelników gminnych. Cyrkularz ten, jako wyjaśniający pośrednio prawa wójtów, pełnomocników gminnych i sołtysów, we względzie nominacyi pisarzy, stanowi doniosły nader przyczynek w téj materyi.

Rozdział III, traktujący o wynagrodzeniu urzędników gminnych, zawiera jednocześnie rozporządzenia, odnoszące się do gospodarstwa publicznego gminy. Niezmiernie ważny ten przedmiot omówiony jest w skutek tego dodatkowo. Nie spotykamy tu wzmianki o cyrkularzu prezesa komisyi włościańskiéj z d. 17 (29) maja 1874 r., który stanowczo orzeka, iż rozkład składki gminnéj, sporządzony przez zebranie gminne, nie wymaga wcale zatwierdzenia przez naczelnika powiatu. Rozporządzenia tego nie godziło się pominąć témbardziéj, iż interwencya władz administracyjnych do spraw samorządu gminnego powinna być jak najdokładniéj przedstawioną w podręczniku, przeznaczonym dla władz gminnych. Daléj w liczbie źró-

deł dochodowych gminy zamieścić należało zapomogi na budowę domów na pomieszczenie kancelaryj gminnych (post. kom. urządz. z d. 12 listopada n. s. 1864 r.); wreszcie pominiętym tu jest cyrkularz z d. 21 września 1874 r., opiewający, że czyste zyski kas zaliczkowo-wkładowych mogą być przelewane do dochodów gminnych. Przepis ten jest z tego względu ważny, iż kasy te, pomimo swego charakteru specyalnie włościańskiego, mogą stanowić źródło dochodu dla całych gmin, jak wiadomo obejmujących wszystkie klasy ludności.

W końcu p. M. nie zamieścił wcale cyrkularza dyrektora głównego b. komisyi spraw wewnętrznych i postanowienia b. komitetu urządzającego, z d. 1 (13) marca 1868 r., w sprawie rachunkowości gminnéj. Rozporządzenia te obejmują wskazówki co do prowadzenia ksiąg rachunkowych, ztąd ważniejsze są niemal od samych wzorów tych ksiąg. Autor na str. 32 wspomina tylko, iż rachunkowość w gminach prowadzoną być winna według przepisanych wzorów, lecz nie wyjaśnia wcale, dla czego ułożone zostały takie właśnie formularze.

Nie wytłómaczoną jest zupełnie rzeczą, dla czego ustawa o kasach zaliczkowo-oszczędnościowych zamieszczoną została w dodatkach do części pierwszéj. Ustawa z d. 18 (31) lipca 1869 r. nie wyczerpuje zresztą przedmiotu. Brak tu post. komitetu urz. z d. 15 (27) stycznia 1871 r. o ulgach, nadanych kasyerom tych kas, daléj cyrkularz prezesa komisyi włościańskiéj z d. 4 lipca 1872 r., cyrkularze z d. 11 lutego 1874 r. i innych przepisów, wydanych w rozwinięciu pierwiastkowéj ustawy. Ten sam zarzut uczynić należy drugiemu dodatkowi, obejmującemu przepisy o szkołach elementarnych. I tu nie spotykamy szeregu rozporządzeń dopełniających zasadniczą ustawę. Należą tu post. kom. urządz., z d. 6 (18) sierpnia 1866 r., o wyznaczeniu ziemi dla szkół ludowych z gruntów poduchownych, daléj post. z d. 31 października (12 listopada) 1864 r., post. kom. urz. z d. 28 października (9 listopada) 1864 r., post. z d. 22 lutego (6 marca) 1865 r., post. z d. 28 października (9 listopada) 1864 r. i inne, odnoszące się do utrzymania szkół, a głównie do zasiłków skarbowych na ich budowę. Wreszcie sama ustawa z d. 30 sierpnia (11 września) 1864 r. o szkołach początkowych została przytoczoną tylko w wyjątkach.

Też same grzechy, jakie przytoczyliśmy powyżéj, ciążą i na części drugiéj podręcznika, traktującéj o obowiązkach wójtów gmin.

Zadaleko byśmy zaszli, rozbierając szczegółowo każdy pojedyńczy rozdział. Nadmienić tu tylko musimy, iż wszystkie zawarte w nim rozporządzenia, streszczone są tylko w ogólnych zarysach, że nie ma ani jednego przedmiotu, któryby został wyczerpany całkowicie.

Mogło to być dobre, gdyby autor chciał ogólny dać obraz samorządu gminnego i związanych z nim atrybucyj. Dla władz wszakże gminnych jest to zbyt mało. Jako powołane przez prawo do spełniania różnorodnych czynności, powinny-by mieć w swych rękach książkę, która-by je dokładnie o przedmiocie informowała. Nie wystarcza im wyliczenie poruczonych atrybucyj; niezbędném jest dla nich dokładne zobrazowanie tychże, oparte na wszystkich obowiązujących władze gminne przepisach. Inaczéj cel jest chybiony a nawet podręcznik, częściowe tylko obejmujący rozporządzenia, może przynieść szkodę, jako wadliwy dla instytucyj gminnych drogowskaz. Książka streszczająca przepisy, w gminach obowiązujące, jest bardzo pożądaną, lecz aby odpowiadała swemu celowi, potrzeba iżby była zupełną.

Henryk Konic.

= Lwów obdarzył historyków naszych nowym upominkiem. Z zapisu Aleksandra hrabiego Stadnickiego, wychodzi tam od lat wielu zbiór pomników dziejowych, pod napisem: „**Akta grodzkie i ziemskie z czasów rzeczypospolitéj Polskiéj**, z *Archiwum tak zwanego bernardyńskiego we Lwowie*“, obejmujący dokumenta przeważnie Małopolski i Rusi, po większéj części z XIV i XV wieku. Gorliwa i umiejętna praca profesora dra Xawerego Liskego posunęła już to wydawnictwo do liczby dziesięciu tomów. Ostatni tom, obejmujący 543 strony, który mamy obecnie przed sobą, wyróżnia się treścią od poprzednich. Prof. Liske, pragnąc ułatwić światu naukowemu poszukiwania historyczne, podał tu w krótkiém streszczeniu spis przeszło 7,500 dokumentów, oblatowanych różnemi czasy w aktach lwowskich. Żeby téj pracy dokonać, należało przejrzéć troskliwie 1,272 tomy ksiąg grodzkich i ziemskich, wydobyć z nich oblaty, uporządkować je chronologicznie, a wreszcie ułożyć skorowidz wspomnianych osób, miejscowości i ważniejszych rzeczy, dający możność rozpatrzenia się w tym ogromnym zbiorze i korzystania zeń doraźnego. Nazwisko prof. Liskego daje nam dostateczną rękojmię na to, że trafnie obmyślane przedsięwzięcie naukowe, wykonane zostało starannie. Mamy więc tutaj streszczenie 28-iu aktów z wieku XIV. 154-ech z XV w., 1705-ciu z XVI, 3497-miu z XVII w., i 1060-ciu aktów z XVIII wieku; pomijamy jeden akt z XI wieku i dwa dyplomata z XIII w. jako widoczne fabrykaty późniejszego czasu. Dzieje nasze wewnętrzne, dzieje miast, kultury, administracyi krajowéj, rodów pańskich i szlacheckich, znajdują w tych materyałach wielką ilość ważnych szczegółów; dla dziejów politycznych całego kraju przybędzie nie jedna ciekawa wskazówka. Konstytucye sejmowe,

konfederacye, uchwały sejmików, przywileje, edykta królewskie w przedmiotach skarbowych, administracyjnych, policyjnych, sądowych itd., rejestry podatkowe, lustracye starostw, spisy wojska, nominacye urzędników, nadania monarsze i prywatne, zatargi pomiędzy osobami i instytucyami i inne różnorodne przedmioty, między któremi nie brak nawet utworów wierszowanych, przewijają się jedne za drugiemi, tworząc niby dziwną ale zajmującą mozajkę. Gdyby akta innych grodów i ziemstw streszczone zostały w podobny sposób, jak to uczynił dr. Liske dla aktów lwowskich, nasza znajomość przeszłości stałaby się głębszą i obszerniejszą, a badaczom dziejowym oszczędziłoby się wiele czasu i wiele mozolnego a niekiedy daremnego trudu. Długo jednak zapewne czekać będzie trzeba zanim życzenie to spełni się, jeżeli się kiedyś spełni. Nie wielu jest Aleksandrów Stadnickich, którzyby kończąc chwalebnie żywot pracy naukowéj poświęcony, pomyśleli jeszcze o zabezpieczeniu funduszów na dalsze przedsięwzięcia naukowe i zabezpieczyć je byli w stanie. Nie wielu bywa między nami Aleksandrów Stadnickich, ale się jednak zdarzają; a więc *sursum corda* — znajdą oni i następców.

= W dziewiątym, tj. wrześniowym zeszycie **Przewodnika bibliograficznego**, wydawanego w Krakowie przez dra Władysława Wisłockiego, znajduje się notatka o komedyi Marcina Bielskiego, ogłoszonéj w r. 1557 p. n. „Komedya Justyna i Konstancyéj". Czytamy w niéj, że książka ta — to „biały kruk w całém znaczeniu, *dotychczas z treści swojéj zgoła nieznany*". Podano więc jéj opis bibliograficzny według egzemplarza, pochodzącego z księgozbioru p. Zygmunta Czarneckiego w Rusku pod Borkiem (w W. ks. Poznańskiém), a nadto przytoczono z wierszowanéj przedmowy spory ustęp. Ponieważ za „Przewodnikiem bibliograficznym" powtórzyło wiadomość tę i kilka pism innych, uważamy za potrzebne, w imię ścisłości bibliograficznéj i w imię prawdy, zawarte w niéj twierdzenia sprostować. Komedya Marcina Bielskiego należy istotnie do rzadkich druków, jak to sprawdzić można, poszukując jéj w zamożnych nawet bibliotekach; ale z *treści swojéj* znaną już jest, a przynajmniéj znaną być powinna bibliografom i historykom literatury, gdyż dwadzieścia pięć lat temu pisano o niéj w „Bibliotece Warszawskiéj". W tomie trzecim tego czasopisma z r. 1860 w dziale Rozmaitości znajduje się artykulik p. n. *Rzadkie druki dzieł polskich* (str. 513 — 515), a w nim na pierwszém miejscu podany mamy tytuł, treść i wyjątki z „komedyi Justyna i Konstancyéj". Tytuł, oraz opis bibliograficzny jest dokładniejszy, aniżeli obecnie w „Przewodniku" i z zachowaniem dawnéj pisowni; treść jest wprawdzie ogólnikowo tylko zaznaczona, ale bądź—co bądź, szczegółowiéj niż w „Przewodniku", nareszcie wyjątki z przed-

mowy wierszowanéj (*Mistrz ku swoim książkom mówi*) są obficiéj przywiedzione. Z tych to wyjątków możemy poprawić parę błędów, jakie się wcisnęły do cytaty w „Przewodniku bibliograficznym". Autor posyłając swe książki w świat, radzi im, żeby zaszły najprzód do króla, o którym powiada między innemi:

Człowiek-ci też jako drugi
Trzeba mu rad, trzeba sługi,
Trzeba pisarzów, kantorów,
.....Krotofil, doktorów.

Wykropkowane miejsce zapełnione jest w „Przewodniku" wyrazem: *gońców*, niezbyt stosownym w tém miejscu. „Biblioteka Warszawska" podała wyraz: *geńców* i opatrzyła go znakiem zapytania (?), co jest wskazówką, iż autor wzmianki skopiował dokładnie litery z pierwodruku, ale go nie zrozumiał. Wyraz ten jest prawdopodobnie nieortograficznie napisaném i w pierwodruku odbitém słowem: *gędźców* (tj. muzyków).—W dalszéj przemowie do króla „Przewodnik." Widocznie błędnie podaje: *Racz-cie* go z łaski darować." „Biblioteka Warszawska" ma w tém miejscu „*Racz że* go z łaski darować." Nakoniec wiersz „A gdy będziecie *na* Mazoszu" ma jednę zgłoskę zadużo. „Bibl. Warsz." poprawniéj ma: „A gdy będziecie w Mazoszu."—Uwagi te robimy w téj myśli, ażeby przypomnieć nawet bardzo sumiennym pracownikom na polu bibliografii i piśmiennictwa potrzeby pilnego badania tego, co już poprzednicy zrobili, ażeby rzeczy dawno znane nie przedstawiały się jako najzupełniejsza nowość. Nawiasowo dodamy, że „komedya Justyna i Konstancyéj" była przypomniana czytelnikom polskim w sierpniu r. b. (Zob. artykuł P. Chmielowskiego: „Szkice z dziejów dramatu Polskiego" w *Echu Muzycznèm i Teatralném*, N. 46).

† **Bernard Kalicki** zmarł we Lwowie d. 21 września. Szczegółów jego życia bliżéj nie znając, ograniczymy się na uwadze, iż nie otrzymawszy wyższego uniwersyteckiego wykształcenia własną pracą, pod kierunkiem Szajnochy, wyrobił się na pożytecznego pracownika na polu dziejo-pisarskiém. Zawód jego piśmienniczy rozpoczyna się około r. 1860. Był wtedy spółpracownikiem czasopism dla młodzieży („Przyjaciel Dzieci" Zimmermanowéj) i dla ludu („Dzwonek"). W r. 1862 ogłosił „Dzieje Poski, do czytania w chatach i szkółkach wiejskich", ale władza policyjna lwowska natychmiast cały nakład zabrała. Dopiero w siedem lat wyszło to dziełko (str. 96), jakoby w drugiém wydaniu. Od roku 1867 został przez lat kilka dosyć czynnym spółpracownikiem świeżo wtedy w Krakowie założonego

„Przeglądu Polskiego“. Pomieścił tu mianowicie następujące szkice historyczne, oraz rozprawki publicystyczne: „Swaty w roku 1637“, „O kwestyi ruskiéj“, „Władysław IV królem chłopów“, „Święta Dorota i Wallenrod“, „Zasady rewolucyjne“, „Szkice polityczne hr. Münster“, „Karol Szajnocha, wspomnienie pośmiertne“, „Lachy na Rusi“, „W wieku XVI, w Polsce i w zagranicy“, „Pogadanki o niektórych kwestyach bieżących“, „Dwie pierwsze kobiety historyczne w Polsce“. Osobno ogłosił r. 1869: „Zarysy historyczne“ (str. 301), przeznaczając cały dochód z ich rozprzedaży na fundacyą imienia Karola Szajnochy. W r. 1871 wydrukował: „Opowiadania z dziejów Polski. Część I: Epoka Piastowska“ (str. 258), lecz dalsze części dotychczas się jeszcze nie pojawiły. Lat sześć trwała przerwa w jego działalności literackiéj. Nanowo wystąpił dopiero w r. 1877 z broszurką spowodowaną nieprzychylnemi głosami, jakie się odezwały w prasie lwowskiéj, z powodu mowy Józefa Szujskiego nad grobem Antoniego Walewskiego; broszurka ta ma napis: „Quousque tandem!“ W roku następnym wydrukował w „Przeglądzie Polskim“ i osobno szkic historyczny p. n. „Bogusław Radziwiłł, koniuszy litewski“ (str. 194). Ostatnią wreszcie pracą, ogłoszoną osobno, jest przedruk z „Przeglądu Lwowskiego“ krytyki p. n. „Najnowsze sądy o Karolu Szajnosze, z powodu książki *Dzieje Polski w zarysie przez Michała Bobrzyńskiego*“. W roku 1882 i 1883 występował jako prelegent w Sali Ratuszowéj w Warszawie; ale oba jego odczyty były tylko skróconą parafrazą tego, co już dawniéj drukiem ogłosił; mianowicie mówił o Szajnosze i porównywał wiek XVI w Polsce z témże stuleciem za granicą.

Wydawca, **W. Spasowicz.** — Redaktor, **Piotr Chmielowski.**

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „Ateneum“

w ciągu m. Września 1884 r.

---

1. **Zbiór praw** i przepisów towarzystwa Kredytowego ziemskiego w Królestwie Polskiem. Tom czwarty. Część pierwsza (rok 1884). Warszawa 1884 (8-o, str. VII. 287 i tablica litografowana).
2. **Ueber die bis jetzt unbekannt gebliebenen Gedichte von Zbigniew Morsztyn**. Inaugural-Dissertation von *Jan von Rzepecki* Posen 1884 (8-o, str. 71).
3. **Archaizmy w języku Jana Kochanowskiego** zebrał i opracował *Gustaw Blatt*, kandydat nauk filologicznych (Odbitka z III tomu Sprawozdań Komisyi językowej Akademii Umiejętności). Kraków. 1884 (8-o, str. 25).
4. **Początki rodziny**. Stany społeczne, poprzedzające ustrój patryarchalny. Przez *Giraud Teulon'a* Przełożył z francuskiego *T. Wr.* Warszawa. 1884 Nakładem B. U. D. G. (8-o, str. 183). Cena rs. 1.
5. Dzieła **J. U. Niemcewicza** Tom I. powieści poetyczne oryginalne i tłomaczone (str. 247). Tom II. Komedye (str. 276). Wydawnictwo Kazimierza Bartoszewicza tomy XVII i XVIII. Kraków 1884. (małe 8-o).
6. *Teodor Jeske-Choiński.* Z miłości, Opowieść jakich wiele. Kraków 1884 (8-o, str. 109).
7. **Akta grodzkie i ziemskie** z czasów rzeczypospolitej polskiej z Archiwum tak zwanego *bernardyńskiego* we Lwowie. Wskutek fundacyi ś. p. Aleksandra hr. Stadnickiego wydane staraniem Galicyjskiego wydziału krajowego. Tom X. Lwów 1884. (4-o str. VI i 542).
8. **O Wpływach włoskich**, na sztukę odrodzenia u nas zpowodu wystawy zabytków z czasów Jana Kochanowskiego napisał *Maryan Sokołowski.* Kraków 1884 (8-o, str. 25).
9. **Dr. Ernest Haeckel**. *Królestwo pierwotniaków* popularny przegląd najniższych żyjących istot z dodatkiem naukowym. zawierającym system pierwotniaków. Przełożył z Niemieckiego *Julijan Steinhaus* Warszawa. Wende i sp. 1885. (8-o str. 96 Cena rs. 1).
10. **Z wystawy Tow. przyjaciół sztuk pięknych w Krakowie** (Styczeń-Lipiec 1884). *Mieczysław Pawlikowski*, odbitka z „Nowej Reformy.“ Kraków 1884 (8-o str. 114).
11. *Biblioteka umiejętności przyrodniczych.* **Zasady Chemii Ogólnej**. Napisał Bronisław Znatowicz. Z drzeworytami w tekście. Wydawnictwo Gebethnera i Wolfa. Warszawa. 1884 str. VII + 392 + VI.
12. **Socyalizm spółczesny** przez Emila de Laveleye. Tłomaczenie dokonane z drugiego wydania francuskiego. Warszawa. u Gebethnera i Wolffa 1884 str. XLI + 294.

Дозволено Цензурою. Варшава. 20 Сентября 1884 г.